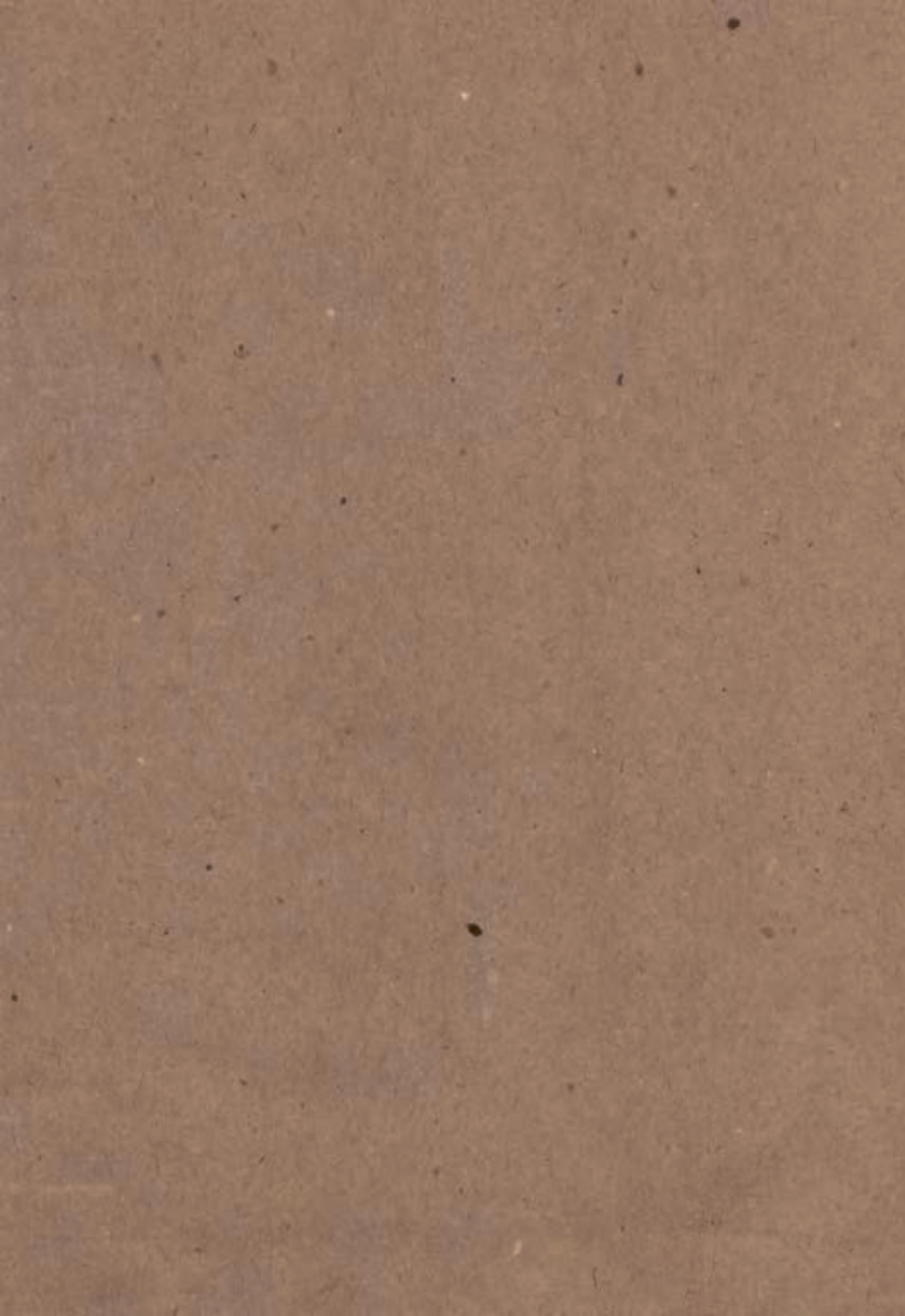




I-90493/95



EX LIBRIS
WOJEWODZKIEJ i MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARŚAŁKA
JÓZEFA PIĘSUŚKIEGO
W ŁODZI



doir p. dyt kempy

7 BODIEM NAD BODIEM

A.F.

B.O.



KORCZEW.

PAMIĘTNIK

NAUKOWO-LITERACKI.

R. 1851

1431-A

PAMIĘTNIK NAUKOWO-LITERACKI,

P I S M O

LITERATURZE, UMIEJĘTNOŚCIOM I SZTUCE

POŚWIĘCONE

POD REDAKCYĄ

Romualda Podbereskiego.

ODDZIAŁ DRUGI,

ZESZYT I.

WARSZAWA.

W Drukarni Józefa Unger.

—
1851.



I-90493/95

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie dnia 2 (14) Listopada 1850 roku.

Cenzor, **P. Dubrowski.**

POEZJA.

JENIEC KAUKAZKI *

POEMAT ALEXANDRA PUSZKINA.

Pieśń 1.

W aule na sakli progach 1)
Siedzą Czerkiesy spokojnie;
I gwarzą Kaukazu syny
O zgubnych najazdów trwogach,
O dziarskich koniach, o wojnie. —
Wspominają dawnych czasów
Śmiałe, bezkarne napady,
Pamiętne walecznych czyny,
Przedajnych uzdenów zdrady, 2)
Cięcia szaszek, celne strzały 3)
Co w dziejach krwawych zapasów
Chlubą i dziwem zostały. —
Inni znowu z dziką dumą
Opowiadają dla tłumu
Pogrom wypraw zemstą tchnących;
Z perzyn sioł, stanic kwitnących,

* W 1842 r. Redakcyja Biblioteki Warszawskiej ogłosiła moje tłumaczenie poematu Puszkina *Cygany*, o którym polskie i rosyjskie pisma wyrzekły najpochlebniejsze zdania. — Dziś stając przed publicznością z przekładem drugiego poetycznego utworu wielkiego poety Rosyi, wyglądam dla téj mojej pracy, nie tyle pochwał ile pobłażania ziomków; szczęśliwy, jeżeli ten obraz wojowniczego Kaukazu w rodzinnej przedstawiony mowie, życzliwém udarują spółczuciem.

Leon Janiszewski.

Zwycięzkie z łupem powroty,
I pięknych branek pieszczoty.—

Brzmi cisza gwary wspólnemi,
Lśni xiężyc w nocnym tumanie;
Wtém staje Czerkies przed niemi
Wlokąc jeńca na arkanie.
„Ruski! Ruski!“ góral woła:
I auł zbiega się cały;
I wnet tłuszcza rozbójnicza
Otacza jeńca do koła.—
Lecz on niemy, odrętwiały,
Nie widzi wrogów oblicza,
Urągań tłumu nie słyszy,
Zraniony — w zdartej odzieży
Jak trup nieruchomy leży,
I pierś rzadka — ciężko dyszy;
Bo nad nim skrzydłem złowieszczém
Śmierć wieje zniszczenia dreszczem.—

Długo — długo jeniec młody
Leżał w martwém odrętwieniu.
I już na niebios sklepieniu,
Blaskiem wesołej pogody,
Południowe słońce tłało,
Gdy jego ciepłem wskrzeszony
Podniósł głowę ociężałą;
Z ust uleciał jęk stłumiony,
Powiódł wkoło błędne oko
I widzi — nad nim wysoko
Nieprzystępnych gór przegrody;
Góralskich plemion dziedzina,
Warownie dzikięj swobody.—
On zbiera myśli — wspomina,
A w myślach stają obrazy
Jak sny straszne — pełne trwogi;
Zadrzał — i zakute nogi
Ciężkiemi brzękły żelazy.—
Zrozumiał okropne hasło,

Co się w tym brzęku ozwało;
 I znów w oczach życie zgasło!...
 Żegnaj więc marzona chwało,
 Rodzino! wolności święta!
 Żegnajcie! — zakuty w pęta
 On niewolnik!!...

Za sakłami

Leży bez straży przy płocie.
 Ludzie w polu, na robocie;
 Milczy aul opuszczony.—
 W około obszar zielony
 Stepowych równin rozkryty;
 A dalej — stoją rzędami
 Milczące pagórków szczyty.—
 Po stepie droga wybiegła
 I w mglistej przestrzeni znika;
 I nagle pierś niewolnika
 Ciężka tęsknota zaległa.—

Ta droga idzie daleko
 W kochaną stronę ojczystą,
 Gdzie wszczął młodość płomienistą
 Pod lepszych losów opieką.
 Gdzie pierwszych rozkoszy chwile
 Błysły w zjawiskach przelotnych;
 Gdzie tyle kochał — i tyle
 Wylał łez cierpień samotnych! —
 Poznał on, choć w życia kwiecie,
 Świat, ludzi, i co na świecie
 Szczęścia nazywa się marą; —
 A nie chcąc stać się ofiarą
 I przyjacielskich potwarzy,
 I zdrazieckich pochwał wrogów,
 Spoczynku serca spragniony,
 Zrzekł się świata dla przyrody,
 I z cichych rodzinnych progów
 Puścił się w dalekie strony,
 Z lubém marzeniem swobody.—

Stało się! — losów kolejną
 Już teraz wszystko stracone. —
 Ostatnie myśli pieszczone
 Znikły z ostatnią nadzieją. —
 On jeniec! — padła znękany
 Na kamień własną krwią zlany,
 I tknięty przedśmiertnym chłodem
 Czeka martwy, obojętny,
 Żeby zgasł z słońca zachodem
 Ostatek życia natrętny!

Gaśnie słońce za górami,
 W dali słychać gwar ochoczy,
 Z pola w aul lud roboczy
 Wraca, migając kosami. —
 Przyszli — w saklach ognie płoną;
 Lecz zwolna tłumią się gwary,
 Nikną w mgle stepu obszary,
 Ciemna noc ogarnia góry,
 I tuli aul ponury
 Na ciche spoczynku łono.
 Zdała, po urwiskach głazu,
 Srebrzy się potok spieniony;
 Drzemiące szczyty Kaukazu
 Skryły się w mgliste osłony. —
 Lecz któż wśród ciszy głębokiej,
 Przy bladym świetle księżyca,
 Trwożnemi zbliża się kroki?...
 Ocknął się jeniec — spoziera —
 Przed nim Czerkieska dziewica
 W postawie niemiej bojaźni.
 On rozpierzchnęły myśli zbiera...
 Senze to? — czy twór zwodniczy
 Rozprzężonej wyobraźni?...
 Ona tymczasem nieśmiało,
 Z uśmiechem pełnym słodyczy,
 Staje przed nim na kolana,
 I do ust spiekłych młodziana

• Przybliża kumys chłodzący; 4)
 Lecz on zdziwiony, milczący,
 Zapomina o pragnieniu,
 Chwyta myślą nateżoną
 Góralki mowę pieszczoną,
 I w jój się gubi spojrzeniu. —
 On nie rozumie jój mowy,
 Ale wzruszenie młodzieńcze,
 Ogień twarzy — serca bicie —
 Język dźwięczny chociaż nowy,
 Zdają się mówić: „żyj jeńcze!“
 I wraca jeńcowi życie. —
 Zebrawszy niknące siły,
 Powstaje na rozkaz miły,
 I usta zapiekle znojem
 Odwilża chłodnym napojem;
 A zmęczony uczuć walką
 Znowu na kamień się skłania,
 Zwracając wzrok przywiązania
 Za opiekuńczą góralką. —
 Długo tak dziewica, długo
 W dumaniu przy nim siedziała,
 Jakby pocieszyć go chciała
 Niemą, przychylną usługą. —
 Często usta niecierpliwe
 Nieznane szeptały słowo,
 Czasem westchnęła — to znowu
 Błyszczwały w oczach łzy tkliwe. —

 Jak cień nikną dni niezwrotne,
 Jeniec zakuty w kajdany
 Pędzi w górach dni samotne,
 Pasąc czerkieskie barany.
 Od skwaru letniego słońca
 Znalazł w pieczarze ochronę;
 A gdy księżyc tarcz lśniącą
 Wyrzy nad góry ocmionę,
 W czasie wieczornego chłodu,
 Czerkieska ciemną drożyną

Niesie dla lubego jeńca
 Kukurużę, kumys, wino
 I plastry wonnego miodu.—
 Skromną wieczerzę młodzieńca
 Tajemnie dzieli z nim razem,
 I w twarz miłą zapatrzona,
 Burzę dziewiczego łona
 I mowę niezrozumiałą
 Tłumaczy czule — nieśmiało,
 Gestów i spojrzeń wyrazem.—
 To znów z pieśczętą dziecinną
 Śpiewa mu piosnkę rodzinną,
 Lub pięknej Gruzji piosenki;—
 A potem z chęcią skwapliwą
 Obcego języka dźwięki
 Wpaja w pamięć niecierpliwą.—
 Ach! ona pierwszy raz w życiu
 Pokochała duszą całą!...
 Czemuż się jój serca biciu
 Serce jeńca nie ozwało?...
 O! bo w niém dawno przetlały
 Młodzieńczych uczuć zapęły;
 Nie mógł on dzielić wzajemnie
 Czystej, otwartej miłości;
 Lub może bał się tajemnie
 Z uśpionych wspomnień przeszłości
 Burzę serca niespodzianą
 Zbudzić miłość zapomnianą!

 Zwolna wędnie kwiat młodości,
 Zwolna cichnie serca bicie;
 I rozkosze i radości
 Choć późno, barwią nam życie.
 Lecz ów błysk serdecznej burzy
 Co pierwszą miłość roznieci,
 Raz tylko w życiu nam świeci
 I więcej się nie powtórzy!!—

 Zdało się, że jeniec młody
 Już przywykł do losu zmiany,

I uśpił w duszy stroskanéj
 Namiętną żądzę swobody.
 On często w porannéj porze
 Pnąc się na urwisk bezdroże,
 Wpatrywał się nieruchomy
 W oddalonych gór ogromy.
 Jakiż tam obraz wspaniały!...
 Gdzie tylko oko zasięga
 Ich szczyty siwe, rumiane,
 Wiecznemi śniegi owiane
 Złudnym oczom się zdały,
 Jak zastygłe chmur nawały
 Na granicach widnokregu.
 A w środku Elbrus dwugłowy
 W lśniącej się lodów koronie,
 Wydźwignął olbrzymie skronie
 Pod strop niebios lazuruwy.

Często, gdy zwiastując burzę
 Grzmot huczał między skałami,
 On lubił siedzieć na górze
 Co powisa nad sakłami.
 Pod nim dymiły się chmury,
 Step zanosły kłęby kurzu,
 Pędził jeleń między góry
 Szukać schronienia przed burzą;
 Orły z urwisk się zrywały
 I w niebiosach odzywały.
 Ryk stad i tentent tabunów
 Mieszał się z gromem piorunów.—
 A w tém czarnych chmurzysk brzemie,
 Sród błyskawic płomienistych,
 Wywnętrzyło gdzieś na ziemię
 Zamieć gradu — deszczu rzeki;
 I lunęły górne ścieki,
 Ryjąc w skałach rozpadliny
 I odłamy skał wieczystych
 Tłocząc z grzmiotem na doliny.—

A on samotny nietknięty,
 Nad piorunowym obłokiem,
 Patrzył niezmrużoném okiem
 W kipiące burzą odmęty,
 Słuchając z rozkoszą dziką
 Bezsilnego wichrów ryku.

Smutnym rozrządzając wczasem
 Jeniec go próżno nie tracił,
 I myśl młodzieńczą bogacił
 Badań, postrzeżeń zapasem.
 Sledził myślą badającą
 Ten naród dziki, ciekawy;
 Jego wiarę, byt, zabawy,
 I żądzę bojów gorącą.—
 Lubił ich życia prostotę,
 Wrodzoną górali cnotę;
 Gościnność — i dzielność broni,
 Lekkość biegu, siłę dłoni.
 Często samotny, z ustronia,
 Patrzył z rozkoszą tajemną,
 Jak Czerkies dosiadłszy konia
 W sutój czapce — burkę ciemną
 Zarzuciwszy na ramiona,
 Zgrabnie wsparty o strzemiona,
 Z najezdniczemi wykrzyki
 Hasał, gdzie niósł rumak dziki.
 Wprawiając się już za młodu
 Do krwawego bitw zawodu.
 Zachwycała go prostota,
 Pół wdzięk niewymuszony
 W dzikim ubiorze górali;
 Czerkies bronią obwieszony,
 W niéj jego przepych — pieszczota.
 Na nim zwyczajnie kołczuga,
 Łuk, kołczan, arkan zdradliwy,
 Gwintówka, kindżał straszliwy,
 I szaszka z niezłomnej stali
 Wierna towarzyszka, sługa,

I w krwawych wojny zapasach
 I w cichych domowych wczasach.
 A nic jemu nie zacięży,
 Nic nie brzęknie — nie zmitręży
 Swobody ruchów i meztwa.
 Konny, pieszy — góral wszędzie
 Jednakowym umie zostać.
 Zawsze też rycerska postać,
 Zawsze ożywiać ją będzie
 Duma i pewność zwycięstwa.
 Wspólnik najeźdźniczej chwały,
 Wierny, pokorny jak dziecko,
 Koń dzielny, jego skarb cały.
 Z nim Czerkies — postrach Kozaków,
 W pieczarze, wśród skał lub krzaków,
 Ukryty, czyha zdradziecko.
 Nagle — na stepie szerokim
 Bystrém dostrzeżony okiem,
 Daleki mignął podróżny.
 Mgnienie... już Czerkies na koniu,
 Znika przestrzeń — już, już zbliżka
 Huczy wystrzał — szaszka błyska,
 I wprawną rzucony dłonią
 Już wlecze arkan usługny
 Ofiarę z pobojowiska.
 Czując że unosi wroga,
 Pędzi rumak lotem strzały;
 Bór, błoto, parowy, skały,
 Wszędzie jemu dobra droga;
 Za nim ślad krwią się rumieni,
 I głuchy tentent w przestrzeni.
 Przed nim szumi potok wzdęty;
 Góral w pienne odmęty
 Rzuca się; za nim wleczony
 Niewolnik po dnie głębokiem,
 Mętą falą zaduszony,
 Czuje że mierć pożądana
 Czarnym ogarnia go mrokiem,

Już go dreszcz śmiertelny ściska;
 W tém koń dziarski śmiałym skokiem
 Wrywa go z topieliska,
 I już niewstrzymany w biegu
 Pędzi po przeciwnym brzegu.

Lub gdy nocy mgliste szaty
 Spadną mrokiem nieprzejrzanym,
 Schwyciwszy karcz rosochaty,
 Spchnięty w rzekę uraganem,
 Na krzywe sęki, korzenie,
 Wiesza swój rynsztunek cały:
 Burkę, tarczę, łuk z kołczanem,
 Chełm, pancerz — i w jedno mgnienie
 Sam za nim rzuca się w wały.
 Wre powódź nurtów spienionych;
 Bystry prąd niesie górala
 Około brzegów uśpionych,
 Gdzie stoi kurhan strażniczy,
 I kozak na długiej straży,
 Oparty o pikę marzy.
 A tymczasem ciemna fala
 Niesie oręż rozbójniczy
 O czém ty marzysz kozaku?
 Czy o dawnych bojach sławnych,
 Czy o wesołym biwaku
 Na krwawém pobojuwisku?
 O obchodach świąt pułkowych?
 Czy o miłszych wczasach owych,
 Gdzieś — przy rodzinném ognisku?!...
 Oh! zwodnicze te marzenia
 Ostatnią twoją pociechą!
 Żegnajcie wolne stanice,
 Czarnobrewa młodocyce;
 Żegnaj stara ojców strzecho,
 I rodzinne Donu brzegi,
 I bitne braci szeregi;
 Żegnajcie! — bo do kurhana

Żadnym nie zdradzony dźwiękiem
Już podpłynął wróg tajemny;
Wydobył strzałę z kołczana,
Świsnęła — i z głuchym jękiem
Zsunął się kozak w nurt ciemny.

Lecz gdy w czasie niepogody,
Swą rodziną otoczony,
Używa Czerkies spokojny
Wywczasu po trudach wojny,
A wtém do jego zagrody
Trudną jazdą opóźniony,
Wejdzie lękliwy podróżny,
Zaraz gospodarz usłużny
Z szczerém powitaniem wstaje,
I gościa sadzając zbliżka
U domowego ogniska,
Rzeźwiący czyhir podaje. 5)
I wkrótce drogą zmęczony
Zasypia przybysz snem błogim,
A nazajutrz orzeźwiony
Z gościnnym zegna się progiem. 6)

Bywało, w święto Bajranu 7)
Młodzież zebrana tłumami,
Wesołe sprawia igrzyska.
To rozebrawszy z kołczanu
Strzały celu niechybiące,
Przeszywa orły krążące
Wysoko — pod obłokami.
To z spadzistego urwiska,
Na hasło, rączą gromadą,
Jak popłoszone łań stado,
Dążą w wyścigach do celu.
Pędzi szereg za szeregiem,
Tętni ziemia drużnym biegiem,
I chmury kurzu się ścielą.

Lecz te serca tchnące wojną,
Dzikszą przenoszą zabawę;

I nierzadko grę spokojną
 Zamienia igrzysko krwawe.
 I nagle — dłonie szaleńców
 Błyskają szaszką morderczą,
 I padają głowy jeńców,
 A dzieci skaczą szyderczo!

Jeniec patrzył obojętnie
 Na te zabójcze zabawy.
 Kiedyś, i on sam namiętnie
 Pragnął dzikić bojów sławy,
 I pałał żądzą zniszczenia.
 Ślepe honoru igrzysko,
 W pojedynkach — bez wzruszenia,
 Niraz śmierć widywał blisko;
 I niósł dumnie pierś zuchwałą
 Przeciw morderczego strzału.
 A czy mu z wspomnień przeszłości
 Stawały w myślach z kolei,
 Dni zawiedzionych nadziei,
 Czcze ofiary — ciężkie straty,
 Lub burzliwe dni młodości,
 Gdy wśród orgij nieskończonych
 Skarby serca — uczuć kwiały
 Marnował w zbytkach szalonych;
 Czy wpatrywał się ciekawy
 W dzikić prostoty zabawy,
 I z nich dobywał rozwałę
 Bytu ludu prawdę nagą;
 Milczenie chował głębokie;
 Nigdy przeniewiercze słowo
 Wzruszeń serca nie zdradzało,
 I jego czoło wysokie
 Zawsze jednako jaśniało
 Pogodą cichą — surową.
 Groźnych Czerkiesów dziwiła
 Ta niezgięta woli siła
 I obojętność młodzieńca;
 I pyszni taką zdobyczą,

Gwarząc z sobą tajemniczo,
Z chlubą patrzali na jeńca.

Pieśń II.

Tyś je poznała góralko,
Lube serca niepokój!
I namiętną uczuć walką
Zajaśniały oczy twoje!
A gdy miły w ciemni nocy
Drżał w twych uściskach omdlały,
Ty tając w słodkiej niemocy,
Zapominałaś świat cały,
I ustami pragnęciami
Szeptając: „drogi! mój miły!
Przestań tęsknić do swój ziemi!
Z mych uścisków dokąd spieszyć?
Za wszystkich kochać cię, cieszyć,
W mém sercu wystarczy siły.
Królu méj duszy! jam twoją!
Chcę żyć dla ciebie jedynie.
Ujdźmy stąd w skały, pustynie
Dla nas się w kwiaty ustroją.
Kochaj mnie! — dotąd nikt jeszcze
Nie całował oczu moich;
Pierwszego ciebie ja pieszcę
I pieszczot pożądam twoich.
Do méj samotnej pościeli,
W spóźnioną nocą godzinę,
I najzuchwalsi z aulu
Dotąd zbliżyć się nie śmieli,
Bo z dziewcząt ja tutaj słyne,
Nieprzystępną i nieczułą.
Ja wiem co mi przeznaczone;
Ojciec i brat są gotowi
Zaprzedać mnie w cudzą stronę
Niemilemu człowiekowi.

Ja ich przebłagam — lub biada!
 Nie zadrzy kindżał w potrzebie.
 Najdroższy! — ja kocham ciebie!
 Ciebie pragnę — przy twym boku
 Z zbytku szczęścia, czuć natłoku
 Me serce się nie posiada!...

Jeniec słuchał zamyślony
 Namiętnych wyznań miłości,
 I wśród ciężkiej uczuć walki
 Nie spuszczał z biednej góralki
 Spojrzenia nieměj litości.
 Bo przed nim stanął wskrzeszony
 Złoty marzeń obraz miły;
 Bo mu znów w sercu ożyły
 Kochania bez wzajemności
 Dawne męczarnie — nadzieje!
 I nagle łyzy ciche, rzewne
 Strumieniem z ocz się polały,
 A usta drżące, niepewne,
 Tak wreszcie wypowiedziały
 Zbolałego serca dzieje.

— „O! porzuć biednego jeńca
 W jego cierpieniach samotnych;
 Nie trać próżno chwil niezwrótnych,
 Innego kochaj młodzieńca.
 Ja'm niewart twojēj miłości!
 W mojej duszy odrętwiałej
 Czują wzajemność nie gości.
 Kto inny podzieli chętnie
 Twojego serca zapalę;
 Jak ty — pokocha namiętnie,
 Tobie poświęci się cały.
 Kto inny czulēj odpowie
 Burzliwěj uczuć twych mowie,
 Lepiej odemnie oceni
 Błask wdzięków, urok spojrzenia,

I pocałunki dziewicze,
 I nocnych pieszczot słodczyce.
 Moje nadzieje — życzenia,
 Dawno uwiedły, zmarniały,
 I tylko ślady zniszczenia
 Po burzy serca zostały!
 Porzuć mnie! — o nieszczęśliwym
 Wspomnij niekiedy z żalobą!
 Czemużem w życiu burzliwém
 Wcześniej nie spotkał się z tobą?
 W czasach, gdy w sercu młodziana
 Urokiem marzeń odziana
 Żył nadzieja i wiara!
 Dziś — ja'm dla szczęścia umarły;
 Pierzchła już nadziei mara,
 Barwy marzeń się zatarły,
 I twój kochanek niechętny
 Już na wszystko obojętny.

Przykro zimnemi ustami
 Całować usta namiętne,
 Od oczu zalanych łzami,
 Kryć spójrzenia obojętne.
 A gdy w myślach podejrzliwych
 Utkwią zazdrości pociski,
 O jakże ciężko! bolesno!
 Udawać czułość niewczesną,
 A myślą — z uścisków tkliwych
 Lecieć — po miłsze uściski!!

„Gdy tak namiętne, tak chciwie
 Ssiesz moje usta omdłone,
 I chwile niepostrzeżone
 Lecą ci bystro — szczęśliwie,
 Ja natenczas, tłumiąc łkania,
 Widzę w słodkiem zapomnieniu,
 Jak gdyby w senném marzeniu,
 Przedmiot dawnego kochania.

I z urzeczoną pamięcią
 Padając na twoje łono,
 Nie ciebie... lecz w mém objęciu
 Pieszczę postać wymarzoną.
 Ona wszędzie, wiecznie ze mną!
 Dla niej się tyle łez lało!
 Ona tęsknotą tajemną
 Ćmi duszę osierociałą!

„Nie żądam więc uczuć zmiany!
 Zostaw mi moje kajdany,
 Żal, łzy i przeszłe kochanie;
 Tyś ich podzielić nie w stanie.
 Bolesne słyszałaś słowa;
 W nich moja spowiedź serdeczna.
 Daj rękę — żegnaj! — bądź zdrowa!
 Nie smuć się! — boleść rozstania
 W sercu kobiety niewieczna!
 Z początku, z zbytku kochania
 Trochę potęskni — poszło cha
 I pomarzy sama jedna:
 Potém się znudzi — i biedna!...
 Z nudów — innego pokocha!“

Tak mówił jeniec — a ona,
 Tając oddech — tłumiąc łkania,
 Błada, drżąca, zadziwiona,
 Z niemą skargą w łzawém oku,
 Słuchała w słowach wyznania
 Swego straszego wyroku.
 Jęj dłoń rozpaczą zdrętwiona
 W rękę kochanka leżała.
 Nareszcie boleść tłumiona
 Taką się skargą wylała.

— „Czemuż wprzód niżliż poznała
 Twą tajemnicę serdeczną,
 Jużem ciebie pokochała.
 Miłością niezmienną, wieczną?“

O! czemuż, czemuż tak mało
 Dni błogich — nocy pieszczonych
 Na twoich piersiach spędzonych
 W nagrodę mi się dostało?
 Na zawsze szczęście zmieniło?
 Znikłaż radość bez powrotu?
 Mój drogi! trudnoż ci było
 Choćby przez litość jedynie,
 Odpłacić biednej dziewczynie
 Jój miłość wielką, namiętą,
 Choć przyjaźnią obojętną
 Choćby zmyśloną pieszczotą?
 O! jakżeby ci słodziła
 Twój los zaćmiony żałobą!
 We dnie jabym ci służyła
 W nocy czuwała nad tobą!
 Nie chciałeś — ja pogardzona
 Dla kogo? — powiedz! — kto ona?
 Kochaś cię więcéj odemnie?
 I ty ją kochasz wzajemnie?
 Luby! — ja ciebie nie winię!
 Lecz i ty — chociaż z litości
 Przebaczyć dzikiéj gór dziewczynie
 Skargę wzgardzonej miłości!“

Umilkła — łyzi się polały
 I łkania ścisnęły łożo,
 A usta — już bez słów, drgały
 Bolescią nie domówioną.
 Bez oddechu — martwa, zbladła,
 Do kolan jeńca przypadła
 Rozpaczającym uściskiem.
 A on — podnosząc strapioną
 Tak mówił: — „nie płacz daremnie!
 Wszak ja sam jestem wzajemnie
 Smutnego losu igrzyskiem.
 Kochający — niekochany
 Po próżnych mękach, ofiarach,

Wlokąc dni osierocone,
 Teraz gasnę zapomniani
 Jak gdzieś tam w stepu obszarach
 Ognisko dymem przyćmione!
 Już nie wrócę w stronę miłą!
 Dla zwłok tułacza wzgardzonych
 Step nagi będzie mogiłą;
 Chyba je wicher zawieje;
 A na mych kościach żelźonych
 Ciężki łańcuch zardzawieje!..“

Nocnych światła orszak błąd
 Rzadził, gasnął wśród błękitu,
 I w przezroczystych mgłach świtu
 W dali — na krańcach stepowych
 Dźwignęły się gór gromady
 W swoich całunach śniegowych,
 Kiedy przejęci żałobą,
 Milcząc rozstali się z sobą.

Odtąd włócząc swe kajdany,
 Tuła się jeniec stroskany
 Koło aulu samotnie.
 A tymczasem niepowrotnie
 Upływają dni i noce!
 Znekany ciężką tęsknotą
 Pragnie swobody — powrotu
 Do swojej rodzinnej strony.
 I często, czy ptak spłoszony
 Po gałęziach zatrzepioce,
 Czy sarna przemknie wśród krzaków,
 On zrywa się — wzrokiem, słuchem,
 Bada przestrzeń i noc ciemną;
 Woła — i trzęsie łańcuchem
 Łudząc się myślą tajemną,
 Że oto — słyszy kozaków
 Odważnych zbawców, mścicieli
 I aulów burzycieli;

I że oni nocną ciszą
 Bratnie wołanie usłyszą.
 Niestety! próżne marzenie!
 W koło znów głucho milczenie.
 Tylko gdzieś tam słychać w dali
 Poświst wichru — łoskot fali;
 Tylko zwierz wietrząc człowieka
 W ciemną pustynię ucieka.

Raz nagle, ań spokojny
 Zawrzał cały hasłem wojny.
 „Do tabunu! do tabunu!“
 Krzyczą Czerkiesy, i spieszą
 Zewsząd wojowniczą rzeszą.
 Brzęczą uzdeczki miedziane,
 Czernieją burki — broń świeci;
 I rżą konie osiodłane
 I w mgnieniu, dzikie gór dzieci
 Już gotowe do nabiegu.
 I oto — jak wzdęte wały
 Ich zastępy z gór się zwały,
 Pędząc po Kubani brzegu
 W ciche Ruskich osad strony,
 Zbierać haracz wymuszony.

Już okrzyki wojownicze
 Ucichły między górami,
 Ań pusty — psy strażnicze
 Śpią na słońcu przed sakłami.
 Nagie chłopaki wesoło
 Sprawiają dziecinne harce;
 Ich pradiady — siwe starce
 Zasiadłszy w poważne koło
 Palą lulki — i z rozkoszą
 W młodsze lata myśl unoszą,
 Przysłuchując się w milczeniu
 Znajomemu dziewcząt pieniu.

PIEŚŃ CZERKIESKA.

I.

Szumi w rzece nurt spieniony;
 W górach mrok już rozpostarty,
 Zadrzemał Kozak znużony
 O swoją pikę oparty.
 Nie śpij kozaku! — sen zwodzi!
 Za rzeką Czeczeniec chodzi!!

II.

Kozak zdala od biwaku
 Płynie w łódce — rzuca sieci,
 Oj! utoniesz ty kozaku
 Jak toną kąpiąc się dzieci.
 Nie dowierzaj swojej łodzi!
 Za rzeką Czeczeniec chodzi!!

III.

Nad brzegami cichój wody
 Kwitną bogate stanice;
 I zebrane w korowody
 Tańczą ruskie młodyce.
 Oj dziewczęta! — noc nadchodzi
 Za rzeką Czeczeniec chodzi!!

A jeniec siedząc nad brzegiem
 Puścił myśli z fali biegiem,
 Żadzą ucieczki miotany,
 Lecz próżno! — ciężkie kajdany,



Bystra i głęboka rzeka.
 A tymczasem noc powleka
 Szczyty skał i step uśpiony;
 A nieżyć chmurami ómiony
 Niepewnym blaskiem się tuła
 Po białych saklach auła.

Śpią jelenie nad wodami,
 Ścichły późne orłów krzyki,
 Przyległ w gęstwinie zwierz dziki,
 Tylko gdzieś, między górami
 Tentent tabunów brzmi głucho.
 Cóż to? — czy go zwodzi ucho?
 Jeniec bliski szelest słyszy
 Ogląda się — przed nim ona....
 Biedna góralka wzgardzona
 Stanęła — i ledwie dyszy.
 Drżą usta mową niepewną;
 Oczy zamglone łzą rzewną;
 Policzki ogniem się palą,
 A kędziory czarną falą
 Spływają na jej ramiona.
 W jednej ręce błyszczy piła
 W drugiej kindżał obosieczny,
 Jakby dziewica spieszyła
 Na bój tajny, niebezpieczny.
 I łzawe podnosząc oczy
 Mówi: — „uciekaj, mój drogi!
 Weź kindżał i idź bez trwogi;
 Nigdzie pogoń nie zaskoczy.

1431-A

Schyła się — ręka zadrzała
 Skrzypi żelazo pod piłą,
 I mocniej serce zabiło,
 Z piersi uleciał jęk głuchy,
 I cicha żalu łza zlała
 Spadaj ące z nóg łańcuchy.

„Tyś wolny! — spiesz — w nocnym mroku
 Nikt twych śladów nie zobaczy“.
 Rzekła: — a zamyśl rozpacz
 Błysnął w obłąkanym wzroku.
 Wstała — lecz ciężar boleści
 Bezwładną bez ruchu trzyma,
 A wiatr jęj zasłonę wzdyma
 I po wybrzeżu szeleści.
 Więzień zaś oswobodzony
 Woła w wdzięczności zachwycie:
 „Najmilsza — ja'm twój do grobu!
 Pójdź ze mną! — są lepsze strony,
 Tam po cierpieniach dla obu
 Szczęśliwsze zabłyśnie życie.
 Uchodźmy!“ — „O! nie — mój miły!
 Ja mam iść z tobą? — gdzie? — po co?
 Moja radość — twe pieszczoty
 Noce szczęścia — dni tęsknoty
 To wszystko — wszak to sny były!
 Znikły! — i więcéj nie wrócą!
 Ty kochasz inną — idź do niej.
 Tam spotkasz szczęście stateczne.
 Żegnaj! — twą drogę osłoni
 Błogosławieństwo serdeczne.
 Znajdziesz je w smutku, w weselu,
 W moich życzeniach gorących,
 Bądź zdrów dobry przyjacielu!
 Daj rękę do ust pragnących
 Przycisnąć, — czas już — dzień blizki
 Żegnaj mój drogi! — mój miły!...“
 I padła z jękiem słumionym
 W otwarte jeńca uściski,
 Głos skonał — zamarły łkania
 I usta ich się spoiły
 Niemym, długim, nieskończonym
 Pocałunkiem pożegnania!!

W tkliwém uczuć rozrzewnieniu
 Zstępują z nadbrzeżnej skały;
 Już jeniec rzuca się w wały,
 Już płynie — wody się pienią;
 On płynie pełen otuchy,
 I brzeg już blisko — w tém w dali
 Słychać szum plusnąwszej fali,
 A potem, niby jęk głuchy.
 On już na brzegu — i z trwogą
 W tamtą ogląda się stronę.
 Tam pusto — niema nikogo;
 Ucichły brzegi uśpione.
 On jeszcze stoi, i woła;
 Lecz próżno — znikła dziewica.
 Tylko przy świetle księżyca
 Po brzegach piany się ścielą,
 I nikną szerokie koła
 Nad tajemniczą topielą.

Zrozumiał — i rozrzewniony
 Ostatniem żegna spojrzeniem
 Dziki aul opuszczony,
 I pieczarę nad strumieniem,
 I pola gdzie pasał trzody,
 Skały gdzie włączył okowy,
 Gdy w górach Czerkies surowy
 Nucił pieśń dzikięj swobody.

Rzadził mrok nocy głęboki,
 Po ziemi przemknął świt hoży,
 I już się wschodnie obłoki
 Zatliły rumieńcem zorzy.
 On spieszy przez step zdziczały;
 I już przed nim śród tumanów
 Mignęły ruskie bagnety,
 I już kozackie pikiety
 Z blizkich strażniczych kurhanów
 Rodzinném łłasem zabrzmiały.

EPILOG.

Tak Muza z ojezystej strony
 Latała często w kraj inny,
 By zapleść w wieniec rodzinny
 Kwiat na Kaukazie uszczkniony.
 A gdy ją ubior zachwyca
 Owych plemion chciwych boju,
 Często mi się swawolnica
 W ich dzikim zjawiała stroju.
 I zwiedzając skał urwiska,
 Zgliszcza aułów zburzonych,
 Przy słuchiwała się zblizka
 Pieśniom żon osieroconych.
 Lub marząc o wielkich zmianach
 Którym te strony uległy,
 Na grobowcach i kurhanach
 Wspominała czas ubiegły.
 Lubiła wśród bojów wrzawy
 Życie bezpieczne i łatwe,
 Pełne burzliwej swobody,
 I tę dzielną Marsa działwę
 Co tam leci na bój krwawy,
 Jakby na weselne gody.
 A kiedyś, z podań potomków
 Z dawnych ofiar, z świeżych czynów,
 Uzbiera dla sławy ziomków
 Niezwiędły wieniec wawrzynów.
 I z starych dziejów opowie
 I Mścistawa pojedynek 8),
 I jak ginęli ziomkowie
 Na łonie mściwych Gruzinek.
 Lecz okres wszczyzna się nowy.
 Oto czując krwawe gody

Za kaukaskich gór przegrody
 Przeleciał orzeł dwugłowy.
 Dzikie wąwozy i skały
 Turkotem bębnow zabrzmiały,
 I postrach niewiernych Chanów
 Karząc zdradę przeniewierczą
 Jak Bóg wojny — Ciczjanów
 Poleciał na rzeź morderczą.
 Za nim jak piorun z chmur łona
 Kotlarewski — bicz Kaukazu;
 Gdzie stąpił — nikły plemiona
 Jakby zmienione zarazą.
 Teraz bliznami pokryty
 Bohatyr pieszczony sławą
 Spoczął — i zaszedł rzdzą krwawą
 Miecz kiedyś boju niesyty,
 Lecz cóż to?! zawył Wschód cały
 Z szczytu gór, z wnętrza padołów,
 Korz się Kaukazie struchlały!...

Idzie Jermołów!...

Napróżno swobód ofiary
 Z rozpaczą walczą i giną,
 Już nad ich górną dziedziną
 Wisi miecz pomsty i kary.
 Lecz oto po krwawym boju
 Kaukaz doczekał się zbawcy 9),
 I dłoń wodza prawodawcy,
 Choć zawiść miota się skrycie,
 Zatknie chorągiew pokoju
 Na uśmierzonych gór szczycie.
 Korzą się dzikie plemiona
 Przed zwyciężkami wojskami,
 I pierwszy raz nad Dargami 10)
 Powiały Ruskie znamiona.
 Wycięte puszczy ostępy 11),
 I nagle — na straży kraju
 Jak cudem z nagich skał wstają
 Nowych warowni zastępy.

Prędko już z dzikiej przestrzeni
Znikną rozbójnicze gniazda,
I błoga pokoju gwiazda
Cichy Kaukaz opromieni.
I z swojej górnej dziedziny
Drogą w wnętrzu gór przebitą 12),
Zstąpi góral na równiny
Podać rękę z krwi omytą.
Złączone bratniem przymierzem
Dzieci gór rzekną się wojny,
I pod swych zbawców puklerzem
Zakwitnie Kaukaz spokojny.

OBJAŚNIENIA.

- 1) *Aul*, wieś — *Sakla*, dom, chata.
- 2) *Uzden*, xiążę. — Arystokracja czerkieska.
- 3) *Szaszka*, szabla krzywa.
- 4) *Kumys*, napój z kobyłego mleka.
- 5) *Czyhir*, czerwone wino gruzyjskie.
- 6) Mieszkańcy gór święcie zachowują gościnność. Gospodarz domu, w którym zdarzy ci się być gościem, odpowiada za twoje bezpieczeństwo, staje się *kunakiem*, to jest przyjacielem, i może cię przeprowadzić w całości przez najdziksze i najwięcej rozbójnicze strony.
- 7) *Bajran* albo *Bajram*, zapusty u Muzułmanów.
- 8) Mściśław syn Śgo Włodzimierza, udzielny xiążę Tmutarakan (wyspa Taman), podług historyi, wojował z Kosogami, podobno terazniejszymi Czerkiesami, i w pojedynku zwyciężył ich dowódcę Rededia.
- 9) Przybycie na Kaukaz w r. 1844, i rządy xięcia Woroncowa, pod wszystkimi względami będą stanowić epokę w dziejach téj strony.
- 10) W wyprawie do Dagestanu i Jezkerii w 1845 r., wojska korpusu kaukazkiego, pod osobistém dowództwem Xięcia Namieśnika, przeszedłszy zwycięzko Andią, wzięły i zburzyły *Dargo*, dotychczasową rezydencyą Szamila.
- 11) W 1846 r., zaczął się wyrąb lasów w małej Czechenii, po linii głównej komunikacji od warowni Groźnej przez Ałdyńskie chutory; a w 1847 r., w ziemi Gałaszewców. Skutkiem tego wycięcia lasów, których przejście nie raz drogo kosztowało, jest: 1) zniszczenie mnóstwa osad czecheńskich; 2) zajęcie najbujniejszych pastwisk, przez co różne niepodległe plemiona zmuszone były albo przesiedlić się daleko w góry, albo zostając na miejscu poddać się zupełnie; 3) zajęcie najważniejszych punktów strategicz-

nych w nieprzyjacielskim kraju; 4) założenie w nich wielu warowni i stanic, ogradzających zdobytą przestrzeń kraju i wstrzymujących naboje. Wszystko to prawie było dokonane w przytomności samego Xięcia Namiestnika Kaukazkiego.

12) W niektórych ważnych, a dotąd bezdrożnych punktach gór robią się drogi, które skracając odległość komunikacji, bardzo przyspieszą obroty działań wojennych, a zatem ułatwią podbicie i uspokojenie nieprzyjacielskiego kraju. Właśnie przy robieniu takiej drogi w Szińskim wąwozie, 10 lipca 1846 r., w czasie burzy, zginął zalany górnym potokiem nasz ziomek, chorąży, Konstanty Zach, człowiek wielkiego hartu duszy, szlachetnych uczuć i najlepszego serca.

O ESTETYCZNÉM ZNACZENIU NOWSZEJ FORTEPIANOWEJ SZKOŁY.

*Scholastyka w muzyce. — Usiłowania fortepianu wyjść ze scholastycznej kolei. — Błyskotny styl koncertowy. — Wady jego. — Początek nowej szkoły. — Szopen i wpływ jego. — Reforma zaprowadzona przezeń w grze fortepianowej. — Liszt, Thalberg i Henselt. — Kompozycje Stanisława Moniuszki. **

Komu się nie zdarzało słyszeć spory o nowej grze fortepianowej? Można z pewnością powiedzieć, że w każdym domu, gdzie choć cokolwiek zajmują się muzyką, gdzie między polkami, walcami i kontredansami, znajdują się choć dwie, trzy sonaty Bethowena, tam koniecznie zdarzy się wam usłyszeć cośkolwiek z tego niewyczerpanego sporu. Muzycy podzielili się na dwa walczące obozy: stronnicy niemieckiej klasycznej muzyki z pogardą ruszają ramię, kiedy w ich obecności dają się słyszeć słowa: „nowa szkoła,” i popleczników jej zowią „zmysłowymi nieukami;” — stronnicy nowej szkoły daleko mniej drażliwi, z uśmiechem posyłają swym zajadłym przeciwni-

* Zwracamy uwagę czytelników na ten artykuł, w którym tak żywo i tak stosownie przedstawiono nieco muzykalnej scholastyki, która nam tak do żywego dojadła i w muzyce, i w filozofji, i w moralności i krytyce historii, politycznej ekonomji, w malarstwie, w rozmowie, w medycynie i w sprawach życia potocznego. Ale to przedmiot wart całego *in folio*. Przestajemy dziś na muzykalnej scholastyce.

kom jedno tylko weale niewinne przezwisko: „suchych pedantów.“ Od muzyków spór naturalnym sposobem musiał przejść do diletantów. Ale tu już stał się mniej jasnym i szczerym. Objasnimy to na przykładzie.

Był czas, i bardzo-niedawno, kiedy imiona Mozarta, Bethowena, Getego, Szellinga, Hegla — były symbolami najwygórowańszej sztuki i nauki, i na każdego, ktoby ośmielił się powątpiewać o ich doskonałości — poglądano jako na niedołężnego albo niemoralnego człowieka. Ludzie mają jakąś dziwną skłonność do fetyszyzmu — i na wstyd rozumowi ludzkiemu i cywilizacji wieku XIX, fanatyzm do tego stopnia opanował wielbicieli tych dwóch *transcendentalnych filozofów*, że gdyby byli w stanie, skazaliby się wzajemnie na spalenie na stosie. Ale w tém to jest cała wielkość nauki, że sama w sobie zawiera reakcję swoich objawów. Dziś imiona Getego, Szellinga i Hegla, już nie wzbudzają ku sobie fanatycznego ubóstwienia, choć nikt nie myśli zaprzeczać ich wielkiemu znaczeniu w literaturze niemieckiej; ale wiecież, że przed piętnastą laty, jeden frazes taki, jak: np. *czytałem Hegla* albo *pracuję nad Getem*, już sam przez się obudzał wysoki szacunek dla mówiącego. Byli i tacy, i nawet nie mało, którzy nie umiejąc po niemiecku, poważnie twierdzili, że przeczytali całego Hegla (Szellinga albo Getego, jak co się komu podobało), i samo to zapewnienie, rozumie się, umiejętnie podtrzymane wymowném milezeniem, dawało im powagę w ukształconém towarzystwie. Byli i tacy, którzy rzeczywiście i sumiennie czytali Szellinga i Hegla, ale ani żdźbła w nich nie rozumieli, a wszakże bardzo się lękali przyznać do tego, gdyż w owym pedantycznym wieku, takie wyznanie koniecznie ściągnęłoby nazwanie niedołęgi i półgłówka.

Prawie wszystko to com powiedział o adoracji autorytetu filozofów, można zastosować do adoracji powagi

Mozarta, Bethowena i wogólności — muzyki niemieckiej. Odkąd romantyczność wgnęła się do sztuki i literatury, każdy chciał się wznieść do wyższego tonu, i czém były w sferze filozofji imiona Szellinga i Hegla, tém w sferze muzyki stały się imiona Mozarta i Bethowena. Mówić: „lubię Mozarta“ albo: „rozkoszuję się Bethowenem“ znaczyło w oczach ludzi dobrodusznych, mieć wzniosłą i głęboką duszę. Z jednej strony część dla powagi, z drugiej chęć pokazania się z głębokiem i wzniosłym uczuciem, spowodowały w szeregach diletantów-pianistów toż samo, co się zdarzyło w szeregach filozofujących względem Szellinga i Hegla. Ubóstwienie Bethowena stało się dowodem i znajomości muzyki i głębokości uczucia. Uromantyków zaś raziła najwięcej — niepokonana chęć wydania się za ludzi głębokich i nadnaturalnych; i powiem nawiasem, że jeżeli romantycy są takimi nieznośnymi ludźmi, to dlatego, że wiecznie żywią w sobie zarozumiałe przekonanie o wzniosłości i głębokości swój duszy, i podług téj skali mierzą wszystkich innych ludzi. Były imiona które w romantycznej szkole uważały się za symbola szczytu sztuki; za te imiona chwyтали się ludzie romantyczni, i zaczęli się pod nie ukrywać ze swemi pretensjami. Między romantycznemi luminarzami imię Bethowena unosiło się wysoko, któremu dziś nikt nie ośmieli się zaprzeczać genialności. Ale ludzki fanatyzm to robi, że kiedy kogo uznają za wielkiego artystę, to już go uznają we wszystkiém, nie przypuszczając w nim najmniejszej niedoskonałości, nie pozwalając sobie najmniejszej, na zdrowym rozsądku opartej, krytyki. Wszystko szło dobrze i spokojnie do czasu pojawienia się nowój fortepianowej szkoły. Wprawdzie byli i wtedy wyłączeni zwolennicy kontrapunktu i Bacha, zarzucający utworom Bethowena zanadto swobody, nie dostateczną ilość fug, niewytrzymanie ich w całej surowości; lecz robiąc mu za-

rzuty, nie odejmowali wcale Bethowenowi niektórych przymiotów. Naturalnym porządkiem rzeczy, każdy romantyzm starzejąc, staje się z kolei klassycyzmem, to jest, okazując się z początku dążnością niewyraźną, stopniami wyjaśnia swoje potrzeby, wdraża się w pewną formę, i nareście zamienia się w stanowczy system. Toż samo stało się z muzyką, i fortepianowe utwory Bethowena z romantycznych, stały się utworami klasycznymi, a dawniejsi muzyczni romantycy zostali najuporczywszymi klassykami.

Ze zjawieniem się nowój muzycznej szkoły, pomiędzy muzykami zawiązał się spór uporczywy, który się wkrótce odezwał pomiędzy diletantami. Pianiści szkoły klassycznej zaczęli straszliwie napadać na pianistów nowój. Rzecz prawdę, powodem nienawiści klassyków, była nieudolność wykonywania utworów nowój szkoły; zaś dla diletantów, wychowanych podług zasad i manieri starój gry fortepianowój wszystko co było niezgodnem z ich rutyną — z tém do czego ucho ich oddawna przywykło — wszystko wydawało się złém i niepojętém. I czyż mogło być inaczej! Przywykłym słyszeć na fortepianie same fagowane passaze i styl kwartetowy, teraz przedstawiły się pełne życia, liryczne utwory Szopena, w których nie było zgoła kwartetowego stylu, a fortepian nabył nowój, dotąd niesłyszanej pełności. Ta to właśnie pełność im się nie podobala, jak np. pewnej klassie ludzi nie podoba się dobra prowancka oliwa; wolą oni swój konopny cuchnący olój, do którego od dzieciństwa przywykli. Publiczność, której uczucie rzadko się myli w rzeczach sztuki, wzięła stronę nowych pianistów, i znudziwszy się sonatami i koncertami, wolała słuchać kompozycji nowój szkoły. *

* Wiadomy jest z owój epoki ów sławny wykrzyknik Fontenella, który się powszechnie powtarzał: „Sonate, que me vexent?”

Nie myślę wcale obwiniać muzyków — klasyków, za ich wyłączne ubóstwianie swoich muzykalnych wzorów; były rzeczywiste przyczyny tego hołdu; dla jednych ów styl był prawdziwą rozkoszą; inni posiadając mniej więcej znajomości muzyki, lubili badać kontrapunktowe galimacje motywów, nie troszcząc się zresztą o wewnętrzną treść téj figurowej muzyki, i nie wymagając od niéj innéj, więcej poetycznéj przyjemności. Mieli oni zupełne prawo mieć swoje wyłączne słabości; lecz rozdrażnieni powodzeniem przed publicznością nowych wirtuozów, poszli dalej i zaczęli zaprzeczać innym prawa upatrywania wartości w nowéj fortepianowéj szkole, i lubić jéj styl liryczny. W dziedzinie sztuki nie powinno nie być wyłącznego, i prosta myśl Boala: *tous les genres sont bons hors le genre ennuyeux*, będzie zawsze prawdziwą. Lecz na nieszczęście, wszelka wyłączność w sztuce tak wywraca uczucie estetyczne, że ono traci nawet zdolność pojmowania piękna które się znajduje po za granicą jego teorii, i chce całą różnorodność twórczości scisnąć w wązkie granice jakiegóś własnéj estetyki, którą sama później może wyśmiewać. A z drugiéj strony ta sama śmieszna romantyczna pretensja, jakoby uwielbianie Bethowena było koniecznym dowodem głęboko czującej duszy, bywa przyczyną śmieszności, jak np. razu jednego, pewna nader miła i dobrego tonu kobiecina mówiła mi z powodu koncertu danego przez jakiegoś pianistę, iż nie może być na takich koncertach gdzie nie grają Bethowena. Sama zaś dość mierznie grała na fortepianie, nie miała żadnego wykształcenia muzykalnego, i o utworach Bethowena sądziła tylko z kilku sonat. Ileż świeżości fantazji, oryginalnych myśli, traci się pretensjami do wzniosłości uczuć, do idealności! I głęboką, serdeczną tęsknotę uczuwam zawsze kiedy słyszę od rozsądnego, szczerze obdarzonego od natury mężczyzny, albo kobiety — w imię jakiegóś

wyłącznej estetycznej teorii — lekceważenie dla wszelkiego oryginalnego objawu w sztuce.

Ale na tém wszystkiém nie kończy się spór o nową i starą fortepianową szkołę, zawsze dotyczący zaledwo powierzchni przedmiotów wziętych pod rozbiór. Ani we francuzkich, ani niemieckich muzykalnych dziennikach nie zdarzyło się nam czytać dokładnego sprawozdania krytyków z rzeczywistego znaczenia jednej albo drugiej szkoły, i zamiast sporów próżnych, spójrzenia na przedmiot prosto i bez uprzedzenia. Ośmielamy się naszej muzykalnej publiczności przedstawić próbkę wyjaśnienia tego nieskończonego sporu. Daleką jest od nas myśl — podawać nasze wnioski za niezbitę pewniki; przy całym spółczuciu dla wielkich pianistów starą szkołę, nie skrywamy przed sobą ciemnych stron utworów nową; nie powodując się żadną wcześnie przygotowaną teorią, nie stoczemy walki, tylko rozważemy strony niezgodne, aby wedle możliwości wykazać w czém mają a w czém nie mają słuszności, jak jedni tak drudzy.

Był czas w którym fortepian nie mając pretensji do samodzielności w świecie muzykalnym, spełniał tylko skromną i pokorną rolę instrumentu dla akompaniowania. Spółbracia jego, inne instrumenta poglądały nań z lekceważeniem, i jeżeli się zdarzyło im szukać jego towarzystwa, to chyba tylko dla tego aby za pomocą fortepianu mogły lepiej wydać się ich własne przymioty. Kompozytorowie widzieli w nim tylko środki pomocnicze dla kompozycji; mogli na nim, niby w lekkim zarysie, wydawać formy dźwięków powstających w ich głowach. W owym czasie klassyczni muzycy w Niemczech patrzyli na muzykę więcej jako na przedmiot uczoności i myśli, niżeli jako na sztukę swobodnej fantazji albo wyrażenie życia uczuciowego. Kontrapunkt panował w całej swój

scholastycznój nadętości. Wiadomy spór muzyka Grauna z matematykiem Naumannem zajmował wszystkie wówczas umysły muzyczne. Matematyk zaledwo nie dowiódł kapelmistrzowi że muzycy powinni uczyć się muzyki u matematyków, gdyż prawidła kontrapunktu wychodzą z zasad matematycznych. Trzeba przyznać że będąc w przeciągu kilku wieków przedmiotem uczonej i zimnej krytyki, muzyka wiele wygrała co do głębokości harmonji i rozwoju swych zasad. Lecz w gruncie swoim muzyka jest -- sztuką owych skrytych objawów ludzkiego uczucia, dla których ani obraz ani słowa nie wystarczają. Pomimo swój dostępności dla duszy ludzkiej muzyka rozwijała się powolnie i tępo, nawet wówczas gdy poezja, snycerstwo i malarstwo, stały na najwyższym stopniu swój doskonałości. Kontrapunkt silnie jeszcze trzymał muzykę w swych scholastycznych objęciach, nie pozwalając swobodnie się rozwijać muzycznemu natchnieniu. W całym ciągu średnich wieków i prawie do połowy XVIII muzyka miała na celu zamiast działać na uczucie, zaprzętać umysł kontrapunktowymi zwrótami. Lecz czém więcej było dążności do sztuki kontrapunktowej, tém więcej bezduszości w rezultacie, gdyż czém więcej bezdusznym jest temat, tém więcej poddaje się kontrapunktowemu wykończeniu. Wówczas kiedy Włochy miały utwory Rafaela, Michała Anioła i Tycjana, muzyka do tego stopnia pozbawioną była swego rzeczywistego charakteru, tak pogrążoną była w czysto-matematyczny zbiór dźwięków, że papież Marcelli (1550) postanowił bullą zakazać muzykę w kościołach, aby nie przeszkadzała mszy świętej swoim hałasem, zgółła nie zwracając uwagi ani na słowo modlitwy, ani na duch ofiary świętej. Nie podobna nie mieć szacunku dla muzycznego uczucia tego szanownego papieża! Palestrina ubłagał go o wstrzymanie ogło-

szenia téj bulli do chwili aż póki nie usłyszysz jego mszy własnej. Papież wysłuchał jój, i zachwycony prostotą i melodyjnością kompozycji, dał pokój swój bulli. Palestrina pierwszy ośmielił się oddalić od despotycznie panującego wówczas kontrapunktu; w jego mszy ani jednego kanonu, ani jednej fugi — co było nadzwyczajną zuchwałością wówczas! Gorące uczucie Włoch zerwało pęta kontrapunktu, i Palestrina pierwszy stworzył styl włoski muzyczny. W Niemczech zaś muzyka szła sobie swoją zwyczajną drogą; — nie racząc ludzi uznać za godnych, aby zejść do nich ze swego piedestału. Gardziła poufałością ludzi niepoświęconych w jój tajemnice. Najulubieńszém miejscem jój pobytu były ponure arkady gotyckich kościołów, gdzie starcia się namiętności ludzkiej nie mogły profanować surowego i mistycznego jój znaczenia. Być żywym wyrazem tego co radowało lub smuciło serce człowiecze — wydawało się jój wtedy poniżeniem własnej godności. W ciągłej górnosci unosiła się z dud swoich organów, wymagając od ludzi nie społeczenia, nie serdecznego udziału, lecz tylko jednego szacunku i poważania dla swego surowego wyrazu.

Gdy się ukazali Hajdn, Mozart i Beethoven, pod ich wpływem muzyka światowa (kamerowa) rozwiła się do wysokiej doskonałości. Pochodząc, z istoty form swoich i ducha, z muzyki organowej, rozrabiając jój pierwiastki, muzyka światowa rozwiła je do pewnego stopnia doskonałości i swobody, do jakich tylko z natury swój mogły osiągnąć. Porzuciwszy mistyczną pomrokę, muzyka światowa już nie patrzyła z dawniejszém uprzedzeniem na namiętności ludzkie, przeciwnie, zdawało się, że chcąc przyjąć w siebie ich pierwiastki, już nie zaspakajała się więcéj nadzmysłowém, nadnaturalném życiem, jakiem żyła uprzednio, szukała nie samego tylko uszanowania i zi-

mniej powagi, lecz żywego spólcucia ludzkiego serca, które gotowe było odezwać się swemi radościami i smutkami. Zresztą duch jój jeszcze przenikniony scholastyką i mistycyzmem, nie pozwalał jój zupełnie rozbratać się ze swoją zimną i suchą powagą. Przytém mowa jój zawsze surowa i beznamiętna, rzadko się poddawała porywom serdecznego uczucia, woląc przebierać się w formy zimnej rozwagi, a przeto nie mogła jeszcze być dostępną każdemu żywyszemu muzykalnemu uczuciu. Była już przystępniejszą dla ludzi, wszakże jeszcze nie mówiła językiem serdecznego uniesienia, lecz językiem tylko abstrakcyjnej myśli, zrozumianym dla tych tylko, co zbadawszy zewnętrzne jego formy, sympatyzowali rozumem z mistyczném znaczeniem jego ducha.

Wszakże zostawało jeszcze muzyce przebiedz krok jeden, to jest, odpowiedzieć na wszystko co tak tęsknie i namiętnie bije się w sercu ludzkim. Dotąd pyszniła się tęp, że stoi daleko od tłumu. Otoczona napudrowanemi głowami znawców, o innych słuchaczach ani pomyśliła. Lecz i nie znawcy byli dla niej zupełnie obojętni: mieli oni swoją muzykę — prostą, lecz pełną życia, mimowolnie wyrrywającą się z piersi ich, w chwili radości lub smutku; była to muzyka pieśni i romansów, na które muzyka scholastyczna poglądała z pogardą.

Lecz aby ztego bezmyślnego, naiwnego stanu dostać się do wyższej krainy sztuki, tkliwa muzyka narodowych pieni musiała odtworzyć się w sztuce. Dlatego potrzebną była poetyczna organizacja, która pojąwszy ją w całej jój prostocie dziecka natury, zarazem mogłaby pojąć całe znaczenie jój naiwnej i niedomówionej mowy. Wrażliwa i twórcza natura Mozarta wzięła się rozstrzygnąć to wielkie zadanie w Niemczech — zadanie, od którego zależał przyszły los muzyki: aby sztukę martwą, oderwaną i beznamiętną, zamienić w sztukę wciska-

jącą do serca z całą prostotą uczucia; musiała przeto przejść przez organ i uczoną powagę salonowego stylu, i objawić się w operze. Poważna, surowa, dotąd obca namiętnościom, tu się połączyła z ludzką radością i smutkiem. Odtąd przestała być dziedziną samych tylko uczonych muzyków; do niej zwróciła się miłość wszystkich. Za pomocą żywego i wszystkim dostępnego wrażenia które wywierała opera, muzyka weszła do kręgów salonowych i codziennych rozmów: wspomnienia słodkich dźwięków opery w teatrze zasłyszanych, obudzało niepokonaną żądzę powtórzenia ich u siebie, we własnem mieszkaniu.

Przy tej mimowolnej dążności zwrócono uwagę na fortepian, znany wówczas pod nazwaniem *clavi cembalo* — nazwanie dość wiernie charakteryzujące przymioty ówczasowego jego dźwięku. Tym instrumentem chciano dostarczyć salonom muzykę, jakiej orkiestra dostarczała teatrowi opery. Z zasobów harmonijnych fortepianu wnioskowano, że nie będzie zbyt trudnem przeniesienie nań w zupełności partytury opery. Lecz gdy kombinacja harmonijna i pełność partytury przedstawiały wielkie trudności, a nawet często fizyczne niepodobieństwo dla dziesięciu palców grającego, niedogodność tę usuniono, używając ku pomocy jeszcze drugie dziesięć palców, i takim sposobem przenoszono partyturę na cztery ręce. Zdawało się że tém osiągnięto wszystko co można było wymódl na fortepianie. Wkrótce jednak okazały się ważne niedostatki i wielka niedogodność tych przenoszeń. Różnodźwięk wydobyty tym sposobem z fortepianu przy pierwszych próbach mógł wydać się pełnym — albo może była to rzeczywiście pełność, lecz zupełnie fałszywa, gdyż nie udzielała melodji wyrazistości, tyle dlań ważnej, a przeciwnie, gniotła jej wyrazistość ciężkiemi massami swego różnodźwięku. Prócz tego, muzycy

starając się w podobnych przekładach zachowywać literalną wierność partytury, często byli zmuszani przenosić melodje na samą wyższą oktawę, gdzie dźwięk fortepianu jest pozbawiony wszelkiej wibracji i śpiewności. Rezultat był taki, że podobne przekłady oper nabrały charakteru jakiejś koniecznej trywialności i martwości. Odbijając takim sposobem partyturę opery, fortepian miał tę tylko dogodność, że partytura na nim mogła być odegrana bez trudności *à livre ouvert*; lecz we względzie estetycznym taka kopia partytury toż samo znaczyła co nędzna litografia z pięknego obrazu.

Zresztą tém nieudolném powtarzaniem operowej partytury, nie ograniczała się sfera czynności fortepianowej. Pomimo to że sam Sebastjan Bach napisał dlań wiadomy zbiór fug pod nazwaniem *le clavecin bien tempéré*, — zaczynając od Hajdna, Mozarta i Bethowena — fortepianu niejednokrotnie brał się za wykonanie rozmaitych sztuk stylu koncertowego, które w tym razie nie nazywały się już kwartetami, kwintetami, i t. p. lecz ogólném nazwaniem *sonat*. Niepowodzenie fortepianu przy pierwszej próbie przyswojenia sobie muzyki lirycznej, poszło ztąd szczególnie, że starano się zachować niewolniczą wierność partyturze, i że dźwięki fortepianu były wówczas nader ubogie; zapewne skutkiem tego ówcześni pianiści nie mogli pojąć że element liryczny opery może się łatwo oddzielić od dosłowności partytury, i wyrazić się w formach odpowiednich zasobom i naturze fortepianu. Prócz tego, przyczyna nieuniknionej suchości i szorstkości z jaką fortepian oddaje muzykę koncertową, zawiera się w samej istocie koncertowego stylu, którego zasadniczy pierwiastek jest w usiłowaniu dać każdemu ze swoich głosów pewny stopień samodzielności, dopuszczając zarazem wyłączne górowanie nad innemi. Tworząc z rozmaitych samodzielnych głosów jedną całość, ów styl

zarazem wymaga aby każdy z głosów zachował w zupełności wszystkie odcienia swego wyłącznego charakteru. Z instrumentów muzycznych same tylko smyczkowe posiadają niezbędne przymioty aby wydając *ensemble* koncertowej sztuki, zarazem oddać każdy głos osobno kolorytem i odcieniami, które są konieczne dla nadania koncertowej kompozycji żywego interessu. Fortepian może oddać tylko samo skupienie głosów koncertowej muzyki; nie posiadając środków podniesienia każdego z jej głosów, nie może odcienić je, i dać każdemu z nich przyzwoity charakter, a przeto niechybnie narusza i nawet niszczy myśl i wyrazistość całości.

Oto dla czego nawet fortepianowe sonaty Bethowena, wyborne utwory koncertowego stylu, zawierając w sobie wszystkie przymioty koncertowej muzyki, na fortepianie tracą ożywiającą ich siłę życia, którą mogą im nadać same tylko smyczkowe instrumenta. Jeżeli zaś pomiędzy bethovenowskimi sonatami znajdują się takie, co zarazem jako sztuki fortepianowe są pięknymi, to są właśnie owe, w których Bethowen śmiało odstępował od *form kontrapunktowych, panujących w innych jego sonatach*. Tak np. *sonata quasi fantasia* i *sonata (as-dur) con variationi, op. 26* — zbliżają się do rodzaju lirycznego. Trzeba sobie wspomnieć prześliczne *adagio*, sonaty *quasi fantasia* i *andante con variationi z Marche funebre*; — gdzież tam są formy kontrapunktu? Prócz kilku naśladowań, nie znajdziesz ich tam ani śladu.

Mówiąc o sprzecznościach społecznych szkół muzycznych, uważaliśmy za konieczne rzucić wzrok na postęp rozwoju muzyki w ogólności, gdyż wszystkie ważniejsze objawy jej rozwoju odbywały się w kierunku repertuaru fortepianowej muzyki. Dotąd widzieliśmy próby fortepianu przyswojenia sobie lirycznej muzyki, a potem niedoskonałość i suchość jego, kiedy chciano nim w koncerto-

wój muzyce zastąpić niczém niezamienione instrumenta smyczkowe. Teraz dotkniemy epoki, kiedy pianiści-kompozytorowie, chcąc zrobić z fortepianu instrument koncertowy, zaczęli tworzyć dlań nowy rodzaj sztuk, którym dali nazwanie *świetnych* (brillantes) i *koncertowych*. Zamierzając pobudzić tym nowym rodzajem nie tylko muzykantów z powołania, lecz ogół publiczności, odrzucili kontrapunktowe formułki, a wzięli się za tak nazwany styl *elegancki*. Wówczas to nieskończone mnóstwo koncertów, rondo, wariacji, zaległo świat muzykalny. W rzeczy samej, mało było sensu a jeszcze mniej poezji w tych koncertowych sztukach; choć z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że między tymi wirtuozami-kompozytorami bywali obdarzeni prawdziwą muzykalną twórczością, jak np. Hummel. Ale nie można też pominąć, że prawie wszystkie ówczesne kompozycje noszą piętno jakiegoś wymuszonego gadulstwa i prozaiczności. Unikając kontrapunktowej suchości, wpadli w inną ostateczność; postrzegłszy że fortepian więcej niż inne instrumenta daje obszernie pole dla tak zwanej *brawurności*, rzucili się na pokonanie trudności szybko i wprawną ekzekucją. Gammy i wszelkiego rodzaju w kształcie gam figuracje zaczęły grać najpierwszą rolę. Wdzięczna melodia zjawiała się rzadko, chwilowie, niby mimojazdem. Rzeczą główną było, aby kompozycja pędziła naprzód, bez przerwy, i w jak najszybszych notach; a dokąd pędziła tak szybko? — nie troszczono się wcale. Lecz gdy ówczesne w obszernych rozmiarach kompozycje, niepodobieństwem było ciągnąć bez przerwy, nie dawszy wypoczynku uszom słuchaczy, więc kompozytorowie sztuk błyskotnych przypominali sobie o szanownym staruszk — kontrapunkcie. Sztuki owe swemi błyskotnemi periodami dziś wywierają na nas wrażenie, podobne do szumu wodnego młyna dla ucha nieprzywykłego, a swemi

fugami i perjadami w kształcie fug, przypominają przechadzkę po błotnistej trzęsawicy.

Tymczasem gdy szanowni miemieccy kompozytorowie zaprzęтали głowy swoje szorstkim wdziękiem i napuszoną powagą, uczniowie paryzkiego konserwatorium idąc w ślady Niemców, swych wzorów, starali się ich prześcignąć błyskotnością i elegancją. Przed wszystkiemi odznaczył się Herz. Pojawszy do jakiego rodzaju dźwięków skłonny jest organizm Francuzów, wziął się za muzykę tańczową, osobliwie za francuskie kadryle. Do czego się tylko dotknął, — ronda, warjacji czy koncertu — wszędzie i zawsze przebijiała się owa tańcząca melodia; a gdy się z nią rozstawał, imał się drugiej połowy swego natchnienia — wołyżowania po klawiszach — a wówczas bieganie i skokom końca nie było. Wprawdzie wołyżowanie to wynagradzało się niekiedy jakimś szczęśliwym fraze-sem lub periodem, zawsze jednak całość wywierała wrażenie nie głębsze i nie miłsze od paplania próżnego gaduły. Pisał Hofman, że nie zna nic nieznośniejszego i głupszego jak fortepianowy koncert społecznych mu kompozytorów; cóżby powiedział, gdyby usłyszał ową francuską muzykę? Zresztą muzykalne owe grzechy przebaczały się wówczas wspańałowemu: starano się je usprawiedliwiać niewdzięcznością instrumentu, na którym dla braku środków, nie zostawało nic innego, jak popisywanie się biegłością palców.

A przeto cel kompozytorów, stworzyć dla fortepianu muzykę z charakterem świeckim, nieduchownym — został osiągniętym; wszakże byłato tylko gadanina bez końca, w której ani uczucia ani życia nie było. Dopiero po zjawieniu się Szopena — nieszcześnie fortepian, — który pod wpływem falangi muzykusów, ledwo się nie zamienił na pozytywek uliczny — nagle za powiewem jego jenu-szu ożywił się wysoką poezją.

Pod jego wpływem muzyka fortepianowa przyjęła zupełnie nowy charakter. Fortepian zaczął mówić językiem poezji i jakiś tęskno namiętnej romantyczności. Oryginalne melodie Szopena — melancholiczne i niejasne, zawsze są otoczone jakąś wieczorną pomroką, której dusza jego udziela otaczającej go wzniosłej harmonji. Wszystkie nie wielkie jego kompozycje — są prawdziwie liryczne natchnienia! Pierwszy Szopen porzucił rutynę społecznych pianistów, odrzuciwszy spowszedniałe passaże i figuracje, a zastąpiwszy je nowemi, rozkosznemi formami i harmonijną dźwięcznością. W tworzeniu melodij poetycznie natchnionych i obwianych najwspanialszemi akordami harmonji — Szopen dosięgł prawdziwej genialności. Nie można wszakże nie zauważać, że upędzając się zbyt nie za jakąś nienaturalną wyszukaną oryginalnością, wielki artysta niekiedy wpada z romantycznej mglistości w nieprzenikniętą pomrokę chaosu. Dziwaczna skłonność do zbytnej chromatyczności, wciąga go do tego chaosu; i właśnie ta zbytńia chromatyczność stanowi ciemną stronę jego genialności. Wszakże ten niedostatek rzadko się spotyka w mniejszych utworach. Może przyczyna tego jest w samej naturze Szopenowskiego talentu, który czuje swoją twórczość swobodniejszą i silniejszą tylko w sztukach na mniejszą skalę, a traci całą potęgę gdy się bierze za dzieło wyższe nad siły. Talent głębokoliryczny często upada i nudzi, kiedy zadając gwałt przyrodzonym zdolnościom, bierze się do tworzenia mżykalnych poematów.

Lecz jeżeli wdzięk i czarodziejstwo szopenowskiej muzyki zawiera się w mglistym i marzącym kolorycie, to z drugiej strony, dla téjże przyczyny przystępną ona jest tylko dla nader delikatnie i artystycznie rozwiniętego muzycznego uczucia. Znaczenia popularnego, do czego widocznie dąży muzyka fortepianowa, Szopen nie mógł

nadać, z przyczyny natury swego talentu. Pomimo to jednak wywarł on wpływ nie mały na społecznych pianistów-kompozytorów. Pod wpływem jego etiudów — rozwinęły się ze strony techniki, talenta Lista, Talberga i Henzelta. Nowej tej szkole zostało rozstrzygnąć pytanie: czy może fortepian przyswoić sobie muzykę liryczną nie wpadając w te niedostatki, jakie spotkał przy pierwszej próbie przyswojenia sobie lirycznego żywiołu?

Widzieliśmy że fortepian nie mógł pozostać przy samej tylko literalnej wierności partyturze, z powodu różności jego środków z orkiestrą. Trudność zagadnienia nowej szkoły była w tém, aby nie udalając się ze sfery środków instrumentu, wybrać takie przedstawienie melodji i harmonji, które odpowiadając fortepianowi, byłoby wstanie oddać jak najmocniej charakter przekładanej lirycznej sztuki. Pierwszą, zapewne mechaniczną, ale zawsze konieczną rzeczą było — nie przenosić melodji na wysokie oktawy fortepianu. Lecz fortepian i w średnich swych notach nie osiąga jeszcze pełnej śpiewności: czémże zastąpić ten niedostatek? Pozostawał jeden środek — dopełnić go bogactwem harmonijnych nie naciągnionych, nie sztucznych dodatków — któreby głuszyły wyrazistość melodji i polot lirycznego uczucia, ale dodatków wypływających wolnie i naturalnie z samej natury melodyjnego potoku. Trzeba było wsłuchać się z całą delikatnością organizacji muzykalnej we własności instrumentu, aby nadać melodji te dźwięki, które już były w samej naturze tej melodji, i tak ją otoczyć zgodnym korowodem harmonijnych akcesuarów, aby naiwny wdzięk melodji objawił się w nowym, wyższym uroku.

Że nowa szkoła nieraz rozstrzygała szczęśliwie to zadanie, można widzieć jeżeli nie ze wszystkich, to przynajmniej z wielkiej części przekładów Lista i Talberga. Mało znaczenia mający, jako oryginalny kompozytor —

Liszt pokazał wielki talent w przekładach, osobliwie melodij Szuberta. Lecz jeżeli nowa szkoła okazała fortepianowi prawdziwą usługę, odgadując formy, w których on może przyswoić sobie liryczną muzykę, zachowując swobodny jęj polot i wyraz namiętności, to nie można téż nie wyznać, że ta szkoła nie uniknęła i ważnych błędów. Nieszczęśliwa chęć zadziwiania trudnościami — często przyćmiewa jęj poetyczną piękność, zamieniając ją w balansistkę na linie. Tutajto właśnie odkrywa się ciemna i słaba strona nowęj szkoły. Ztąd pochodzi ta często napotykana sprzeczność rozmaitych zdań, z początku zdająca się niepojętą, co do zalet nowęj szkoły. Jedni znajdują że muzyka fortepianowa podniosła się przez nią do prawdziwie poetycznego wyrazu; inni przeciwnie, widzą w nięj tylko hałas i szum bez myśli. Rozważywszy rzecz z gruntu pokazuje się, że obie strony mają rację, lecz że zapatrują się na tenże sam przedmiot z dwóch stron zupełnie przeciwnych. Jedni mówiące o zaletach nowęj szkoły, rozumieją tylko sztuki liryczne, które swoją pociągającą estetycznością przystępne są dla wszelkiego żywego muzycznego uczucia; dla innych nowa muzyczna szkoła przedstawia się w tych ciężkich muzycznych niedostatkach, gdzie widać tylko chęć dziwienia trudnościami, mogącemi interessować chyba tych tylko, którzy chcą widziéć do jakiego stopnia biegłości ręce ludzkie są zdolne. Ale to niczego nie dowodzi przeciwko dobrej stronie nowęj szkoły. Nie odrzucając prawdziwych jęj zasług, zarzut ten objaśnia tylko, że kiedy fortepian brał się nie za swoją rzecz, zawsze był tylko prózną zabawką. Widzieliśmy wyżej co zrobili z muzyki fortepianowęj niemieccy i francuzcy pianiści, piszący koncerta, ronda i błyskotne warjacje na podziw dla oczu i na męczarnię dla ucha i muzycznego uczucia. Toż samo prawie znajdujemy i w nowęj szkole, gdy ta zapomniawszy

o swoim powołaniu, zaczyna muzykalnie woltyżować. Co się zaś dotyczy drugiego zarzutu, że stara się o efekt i nim się utrzymuje, to pochodzi ztąd, że krytycy nie mają sami dokładnego pojęcia wyrazu „*effekt*.“ Dotąd umiejętność pisania *effektowie* dla jakiegokolwiek instrumentu, uważała się nie tylko za wielki przymiot, ale nawet za konieczny dla piszącego *soła*. Ktoby chciał pisać dla skrzypcy i wiolonczeli, jak pisze się dla klarnetu albo fletu, — taki utwor nazwanoby niedorzecznością: dlaczegoż więc umiejętność pisania *effektowie* dla fortepianu, i stosownie do jego środków, zasługuje nie na pochwały, a na naganę? Nie rozumiemy dlaczego *effektowość* w znaczeniu wstrząśnienia uczuć, można uważać za rzecz mało ważną w takiej sztuce, której najwyższym celem jest — wstrząsając uczucia, odrywać duszę naszą od codzienną, spowszedniałą i nudną prozę życia, obudzać w niej inne, może nie zawsze osiągnięte, ale bliższe dla serca, wznioślejsze popędy. Zarzut efektowości wyraźnie wskazuje na swój scholastyczny początek. Każdy prawdziwie natchniony utwór sztuki, koniecznie musi być efektowym; takimi są utwory Murilla, Bajrona, symfonje Bethowena i t. d. Tylko pretensja do efektu, czyli innym wyrazem, *affektacja*, sprawia przykre wrażenie; ale na cóż ją mieszać z efektem, który jest niezbędnym w każdym rodzaju sztuk nadobnych.

Lecz nową szkołę można zrobić zarzut ważniejszy, to jest: brak oryginalnej twórczości. Niektórzy to przypisują jej warunkom, — lecz warunki nowej szkoły są spólnymi z liryzmem; gdyż sama ta szkoła jest tylko objawem liryzmu w kształcie, w jakim może go przyjąć i utworzyć fortepian. Sądziłibyśmy raczej że ta szczupłość utworów oryginalnych pochodzi z trudności muzykalnego liryzmu, który przedewszystkiem wymaga oryginalnych melodij; dla samej treści nowej szkoły, nie może

szukać podpory w kontrapunkcie, jakto kiedyś bywało, a tém mniej w brząkadłach tak nazywanych *błyskotnych passażów*. Jedném słowem nowa szkoła wymaga bogatej melodyjnej fantazji; dawniejsze krótkie motywy, które tak lekko było urozmaicać kontrapunktowi, — dla niej są niedostatecznymi. A że dar twórczości zdarza się dziś nader rzadko, więc nowa szkoła mimowolnie musi udawać się do przekładów czyli *transkrypcji*, któremi dotąd odznaczyła się i dała poznać publiczności.

Lecz w zarzutach nowój szkole objawiają się takie wymagania twórczości, o jakich nie było słyhać w starój. Dawniej, w braku lirycznego natchnienia, udawano się do kontrapunktu albo błyskotnego passażu i ukrywano pod nimi brak twórczości i ubóstwo fantazji. Tak w literaturze niegdyś retoryka i napuszone frazesa uchodziły za myśli. Dziś co innego święci się w literaturze i w muzyce. Wprawdzie i w nowój szkole, mierniejsi kompozytorowie nadstawiają się napuszonemi i próżnemi frazesami; wszakże figuracje i wyjścia kontrapunktowe, będące zasadą koncertowego stylu i dawniej szkoły, w nowój nie znajdują już dla siebie miejsca, a przeto kompozytorowie nie mają czém ukrywać suchot i obumarlkości swój fantazji. Dawniej można było zasłysznać kompozytorem, posiadając tylko znajomość muzyki; dziś tego zamało — dziś trzeba posiadać prawdziwy liryczny talent, oryginalność i pełność melodji. Mylą się bardzo, którzy sądzą, że w nowój szkole twórczość stała się nietrudną — przeciwnie! Ztego co się rzekło, widać że zagadnienie to w nowój szkole jest daleko trudniejsze niżeli w dawniej, i dziś więcćj pola dla talentu twórczego, przez oswobodzenie fortepianu od obcego stylu i figuracji kontrapunktowych. — Zapewne że nie brak kompozytorów w nowój szkole. Dość spojrzeć do najpierwszego katalogu nowości muzycznych, ile imion, ile utworów!

Lecz zarazem jaka bezbarwność tych utworów! Wszystko nudne, spowszedniałe, słabe, ani śladu twórczości, albo czegoś podobnego do natchnienia, tak, że mówiąc o kompozytorach nowéj szkoły, musimy ograniczyć się wskazaniem czysto-lirycznych utworów Szopena i kilku samoistnych utworów Talberga, Henzelta i Delera. Mówiliśmy już o utworach Szopena, główną cechą których jest namiętna melancholja, zawsze obwiana jakimś ponuro-mglistym kolorytem. Utwory Henzelta mają delikatną rzewno-namiętną cechę — lecz trocha zajednotonną — koloryt jego daleko jaśniejszy od szopenowskiego. Cechę utworów Talberga i szczególniej Delera, daleko jest trudniej skreślić: w nich mniej wybitności, gdyż daleko mniej oryginalności, niżeli w Szopenie i Henzelcie; posiadając świetniejszą formę, są oschlejsze i uboższe od utworów henzeltowskich.

Obok tych nielicznych, oryginalnych, prawdziwym talentem odznaczających się europejskich imion, nie wahał się postawić naszego Stanisława Moniuszki. Dla obfitości swoich melodij, siły uczucia i dramatycznego wyrazu — ma prawo stanąć obok nich, ten uczony i w wysokim stopniu narodowy kompozytor. W utworach jego niespotkasz tych, tak fałszywie nazwanych *fantazj*, do których nas przyuczają nowsi fortepianiści, a które zwykle są spowszedniałemi warjacjami na znane temata. W utworach Moniuszki główną jest treścią narodowość. Wszystkie są przepełnione serdeczną poezją i oryginalnością. *Halka*, *Milda*, *Krumine*, *Maciek obłąkany*, godne stanąć obok najpierwszych spółczesnych kompozycji muzycznych. Proszę przysłuchać się *Mildzie*: takie melodie tworzą się tylko w minutach prawdziwego natchnienia. Jak rzadko podobną twórczość spotkać w dziełach nowych kompozytorów-pianistów; jak rzadko pod nieskończonym szumem passażów, oktaw, tryków, zawita

do nich świeża, oryginalna melodja! Przytém głęboki, artystyczny takt objawia Moniuszko w opracowaniu swoich melodij. Piosnki jego zostawują w duszy wrażenie, jakie czynią w głębi ducha naszego poczute dramata, których świadkami uczynił nas przypadek; mało znamy osoby, nigdyśmy ich nie widzieli, nie wiemy z kąd pochodzi ich smutek, co je tak męczy na ziemi, ale głęboko zapada nam w duszę ich gorycz, — ta niema muzyka serca, da której na ziemi jest tylko jeden język — język dźwięków!

Nie idąc w ślady społecznych zawołanych kompozytorów, jak Felicjan Dawid i t. p. Stanisław Moniuszko nie wdaje się w próbki materialnego przedstawienia muzycznego malarstwa. Czuje on bowiem, że potęga muzyki nie jest w naśladownictwie objawów natury; nie obrazy ona w nas obudza, lecz uczucia, gdyż działa nie na wyobraźnię, lecz na duszę, na uczucie. Jeżeli chcąc określić charakter jakiej muzykalnej sztuki, udajemy się do obrazów natury, to nie dlatego, że przy dźwiękach tej muzyki przedstawiały się nam właśnie takowe obrazy: przeciwnie, dusza, uczucie — obojętne dla malarskich celów kompozytora, wymagają od muzyki — wesołego lub smutnego wzruszenia. Przy takich wrażeniach, uczucie nie przedstawia sobie obrazów — bo wówczas muzyka byłaby sztuką wyobraźni. Muzykalne czucie z natury swęj środkuje się w duszy, w wewnętrzném, serdeczném uczuciu. Jeżeli dla oznaczenia wrażeń wywartych na nas przez muzykę, bierzemy porównania z natury, to dlatego, że nie możemy inaczej ich oznaczyć jak za pomocą tych podobieństw, gdyż uczucie nie posiada swego bezpośredniego języka; — prosty jego język — to rzut oka, zwrót fizjonomji, uściśnienie ręki, — a przytém zawsze jest trudno i ciężko w słowach wyrazić to, co tak głęboko czuje się w duszy. Jeżeli mówimy że muzykal-

ny utwór obudza w nas poczucie wiosny, posępnego wieczora albo morza i t. p., to jedynie dlatego, że chcemy wyrazić nasze muzykalne uczucie, wynajdując w naturze obrazy, odpowiadające właśnie *owemu* uczuciu. Rzecz niezawodna, że jeżeli kompozytor głęboko poczuł swój utwór, jeśli go wylał w chwili natchnienia, to pewno dzieło jego odbije najwierniej ten stan duszy, w jakim powstało. W przeciwnym zdarzeniu, nazywajcie jak chcecie swój utwór, — ciszą na morzu, burzą, serenadą, rozezarowaniem, nadzieją i t. d. jeżeliście nie przeleli weń swego serca, wszelkie wasze nazwania i cała wasza muzyka malownicza będzie fałszywą; zaspokoi ona chyba te nie-muzykalne organizacje, które nie są w stanie porównać uczuciem przedmiot sztuki z jej nazwaniem, i wierzą tylko tytułowi wymyślonemu przez autora. Dla takich tworzy się muzyka malownicza, wschód słońca, burza, morze i t. d.

Szczególną mają wartość te niewielkie liryczne utwory, które z nową szkołą weszły do fortepianowego repertuaru. Któż nie pamięta uroku jaki wywierały mazurki Szopena, albo niewielkie liryczne kompozycje Henzelta (jak *poème d'amour* i t. d.)? Cenią się one wysoko, bo jest wielka trudność w ich kompozycji. Są pianiści, zręczni kompozytorowie sztuk brawurnych, którzy się wykazują z całą swoją miernością, jak tylko się wezmą za liryczne poemata, których koniecznym warunkiem jest szlachetna prostota i szczerłość uczucia. Pod tym względem na baczność uwagę zasługują wszystkie pieśni na temata narodowych pisarzy, pomieszczone w *śpiewniku domowym* pana Stanisława Moniuszki. Ileż w tym zbiorze sztuk najcharakterystyczniejszych, pełnych oryginalności i doskonale wykonanych. Tu ani śladu oschłej uczoności albo naciągania: od początku do końca panuje napiętny niepokój, zapadający w duszę od pierwszego motywu...

Jeżeliby muzykalne natchnienie społecznych kompozytorów-pianistów częściej się wyrażało z taką samoistością, nowa szkoła nie ściągłaby na siebie zarzutu braku oryginalnej twórczości. Utwory Moniuszki różnią się od zwyczajnych kompozycji nowego stylu, że w nich nie masz naśladownictwa, i każdy z nich odznacza się samodzielną twórczością. Ta samoistość objawia się nawet w jego utworach na temata obce.

Utwory pana Moniuszki należąc do nowej szkoły, odpowiadają najważniejszemu jej warunkowi, to jest: są przystępne dla każdego najprostszego uczucia muzykalnego. Dziwny los muzyki! Kiedy scholastyczność oddawna została wygnaną ze wszystkich sztuk, w jednej muzyce, tej sztuce serca i uczucia, dotąd się jeszcze zagnieżdża. Dotąd ludzie nie potrafili zdać sobie szczerze rachunku z ducha tej sztuki, i czując ją sercem, chcą ją zśrodkować w głowie. Z jakąż pogardą klassycy odzywają się o uczuciu w muzyce! I gdybyż to tylko sami klassycy! Przesady scholastyczne przeszły od nich do diletantów; posłuchajcie ich rozmowy o muzyce — na pierwszym planie stoi u nich znajomość muzykalnej techniki. W żadnej sztuce nie mają tak wielkiego uszanowania dla techniki jak w muzyce; jak gdyby ta sztuka albo pojęcie jej utworów, zawierało się tylko w samej technicznej nauce. Jeżeli jakimś dylettantowi uda się zachwycić jakich wiadomości o tonice, dominancie, paraleli i t. p.; obaczcie z jaką powagą ów jegomość rozprawia o muzyce! Dobroduszni jej czciciele uważają to za wielką mądrość, wcale nie wiedząc, że w sztuce mądrość ta ma takie znaczenie, jakie w literaturze mądrość poetyki i retoryki. Z jakąż zarozumiałością ci panowie, uzasadniając się na poetyce i retoryce muzykalnej, wydają wyroki o muzyce! Jeżeliby komukolwiek zamarzyło się na zasadach sztuki i myślowości, krytykować

utwory poetyczne Adama albo Bohdana, jakby się to śmiesznie wydało! dla czegoż więc nie śmiać się z muzycznych scholastyków, którzy wbili sobie w głowę, że znając gramatykę i retorykę, czyli innemi słowami — kontrapunkt, całkiem pojeli sztukę i przeniknęli ją do gruntu? Tym ichmościom ani się śniło, że bez żywego uczucia poezji, cała ich techniczna nauka jest próżną i na nie wartą. Proszę posłuchać uprawiających inne sztuki, np. malarzy: w ich zdaniach, obok uwag technicznych, zawsze daje się słyszeć sprawozdanie o wrażeniu obrazu, o uczuciu w nim panującym, o stosowności części do ogólnego wrażenia i t. d. Od klassycznych dyletantów nigdy nie podobnego usłyszeć nie można: cała ich krytyka ogranicza się uwagami o związaniu i rozwiciu motywów, o ich logiczném następstwie, o budowie frazesów i periodów — słowem, uwagami dotyczącemi tylko samej formy — a nigdy poetycznej treści utworu, działania jego na uczucie, i wrażenia które powinien wywierać. Nad gramatykę i retorykę, ci panowie nic nie widzą. Słuchając ich zdaje się, że cała sztuka muzyki zasadza się na powiązaniu głosów, w doborze rytmu, frazesów i periodów. Smutno powiedzieć na jak niskim stopniu jest dziś u nas uczona muzyczna krytyka, z łaski scholastycznego niepojmowania że przedewszystkiem jest sztuką serca i uczucia, nie zaś suchego rozmyślania, i że interessować kontrapunktowemi wykrętami — nie jest celem muzyki.

Muzyka fortepianowa zaledwo dziś w nowój szkole wstąpiła na drogę, na której dawno już znalazła się opera. Rozbrat z retoryką, rozbrat z scholastyką! Jak w operze, kiedy kompozytor nie jest pozbawiony melodji i dramatycznego wyrazu, najdelikatniejsza i najgruntowniejsza znajomość kontrapunktu, nie przyczyni mu najmniejszej korzyści, — tak w nowym fortepianowym stylu, nie

masz już miejsca dla kontrapunktowego mechanizmu, i dla nieudolnych kompozytorów pozostają albo brawurne passáže, albo staruszkowata, poważna forma sonaty z jój stylem kwartetowym. Ale proszę nie sądzić abyśmy napadali na znajomość techniki; — przeciwnie! znajomość ta jest konieczną: ona sama daje swobodny lot fantazji twórczój: bez niój talent nie rozwinie swój siły; ale trzeba pamiętać że talent muzyczny może tworzyć, nie dając sobie rachunku ze swój świadomości, gdy sama znajomość muzyki bez talentu — jest zupełnie daremną i ma to znaczenie w muzyce, co retoryka i poetyka w literaturze. Nawet takiemu co nie ma pretensji do twórczości, i przestaje na uczeniu się muzycznych utworów, zamało jest znajomości tylko techniki: potrzeba tu jeszcze poetycznego uczucia, potrzeba taktu artystycznego; bez nich zrozumie tylko muzyczną formę, a ducha nie pojmie. Zresztą nie mamy nic przeciwko tój scholastycznej, formalistowskiej nauce: taka praca ma nawet pewien interes, a przytém jest nader spokojną, ale nie daje najmniejszego prawa na ów ton dogmatyczny, jaki przyjmują na siebie muzyczni klassycy albo owi z dylettantów, którym udało się zrozumieć, co to jest tonika, i dozwolone albo nie dozwolone wyjścia. Kiedyż nastąpi czas że muzyczne utwory będą się rozbiegać już nie ze stanowiska retoryki i gramatyki, — kiedy muzyczna krytyka będzie się starać określić estetyczne znaczenie muzycznej sztuki, mówić o jój wpływie na uczucie, na duszę — słowem, nie o samój tylko jój formie, jak dziś, ale o treści, która w utworach muzycznych ma tak wielkie znaczenie? Wówczas tylko zginie ta ślepa i dziecinna cześć dla suchej formalności, z której dopiero się składa tak nazwana umiejętność muzyki, zniknie ślepy hołd klassycznym autorom i modnym znamienitościom — wówczas tylko zrozumieją, że ideałem mu-

zyki nie jest formalna regularność, niemniej więcęć do-
 weipne skojarzenie głosów, i retoryczne rozwodnienie je-
 dnej albo więcęć, myśli, lecz żywe i proste wyrażenie
 uczucia i życia serdecznego. Ze sztuki najbliższej duszy,
 scholastyka zrobiła muzykę sztuką najbardziej abstrak-
 cyjną, wyłącznie idącą z głowy i matematyczną; w miej-
 seu namiętności i uczucia wystawiła ośchły i zimny kon-
 trapunkt, a dla utrzymania swój pedantycznej wielkości,
 upewniła wszystkich że posiada znaczenie wyższe nad
 uczucie. Lecz istotna muzyka, dziecię serca i natchnie-
 nia, toruje sobie drogę naprzód; z opery wygnała już da-
 wno scholastykę, a teraz w postaci nowój szkoły, wy-
 gania ją z utworów fortepianowych zarazem z bezsen-
 sowym natłokiem błyskotnych frazesów, które w osta-
 tniech czasach zajęły miejsce dawnego kontrpunktu. Mo-
 że blizkim jest czas, kiedy muzyka wstąpi we właści-
 wą sobie sferę, kiedy zostanie wyrażeniem dum serdecz-
 nych i duchowego życia naszego; kiedy język jēj stanie
 się jasnym i pojętym dla każdego uczucia, a krytyka este-
 tyczna wejdzie do sfery muzykalnej.

Ale pora już skończyć: scholastycy mówią, że nowa
 szkoła jest dowodem upadku; my sądym przeciwnie: po-
 mimo że nowa szkoła fortepianowa jeszcze nie dopełni-
 ła swego posłannictwa, że w niej nader mało talentów
 twórczych, że racluby koncertowe przeszkadzają ciągle
 jēj lirycznemu natchnieniu — słowem, pomimo to wszy-
 stko, wielka jēj zasługa, dowodząca postępu sztuki mu-
 zycznej, zawiera się w tém, że uswoiła dla fortepianu
 muzykę liryczną, wygnała z kompozycji scholastykę,
 zbliżyła muzykę z żywém muzykalném natchnieniem,
 i wreście, że dowiodła najwyraźniej lichotę posiadania
 samėj tylko suchėj techniki.

(od Redakcji).

HISTORIA.

O FEUDALNOŚCI

ROZPRAWA

Włodzimierza Spasowicza.

Co jest feudalność?

I.

Czy istniał feudalny systemat na sławiańskiej ziemi? — Czy był on podstawą organizacji politycznej i prawa publicznego polskiego? — Oto są ważne pytania, które stoją na drodze każdemu badaczowi przeszłości naszego kraju. — Nauka mało jeszcze zrobiła odkryć na tej płodnej niwie; historycy dotąd szczególnie zajęci byli zbieraniem materiałów i skreśleniem zewnętrznej fizyognomji dziejów; nie mogli się jednak nie dotknąć tego przedmiotu. — Jedni z nich wszystkie nasze ustawy wywodzą z Niemiec, zaprzeczając im wszelkiej samoistości*; druzi —

* Maciejowski: *Historja prawodawstw Sławiańskich*: — Tenże: *O początkowych dziejach Polski i Litwy*. — Pan Maciejowski dziwną jakś znajduje różnicę między lennością a feudalnością, między feudalnym a lennym systematem. — Ktokolwiek pracował nad historją Średnich Wieków, przyzna zupełną bezzasadność tego twierdzenia, bo lehn i feudum są jednoznaczne słowa.

dzy chcieliby dowieść, że nakształt Minerwy występującej zbrojnie z głowy Jowisza, Polska się wyłoniła z najciemniejszej przeszłości w takimże stanie, w jakim pozostała aż ku końcowi bytu ze swoją burzliwą szlachtą, ze swoim sejmem możnowładzko-szlacheckim, bez żadnej styczności, żadnego podobieństwa z Zachodem. * — Pytanie samo zostaje nierozstrzygniętem, a prace koło niego podjęte, bardzo mało zasługują na uwagę.

Rozwiązanie tego pytania zależy od rozstrzygnięcia: na czém polega feudalność? — Jaka treść właściwa feudalnego systematu? — Jaka jego charakterystyczna cecha?

Mnie się zdaje, że tą cechą jest szczególna natura prawa ziemskiej feudalnej własności. — Tego założenia bronić będę w niniejszej rozprawce.

Jeżeli tak jest wistocie, natenczas niepodobno zaprzeczyć, że był u nas system feudalny czyli lenny, że on stanowił podstawę naszego prawa publicznego, chociaż nigdy się w takim stopniu nierozwiniął jak w innych krajach Europy zachodniej. — Kiedy się tworzyło państwo polskie pod ciągłym ciążeniem na Słowiańszczyznę Europy zachodniej, rozwiązała się stara słowiańska gmina, a Bolesław Chrobry i jego następcy, musieli pożyczać u Niemców ich organizację wojenną i polityczną. — Ślady tych urządzeń widoczne są nawet aż w Statucie Wiślickim. Do obrony ziemskiej, do wojska królewskiego powoływani są tylko będący *in jure militari*, tylko *milites*, to jest, rycerze obowiązani służbą wojenną na zasadzie ziemi, pod tym warunkiem sobie od króla nadanej. — Nadania które po śmierci Bolesława Krzywoustego spotykamy *jure hereditario et ducali*, są istne *immunitatis*, a wszystkie główne miasta Polski zostawały na prawie

* Zbiór rozpraw o rozmaitych przedmiotach polskiej historii, przez Karola S...

magdeburgskiem, a zatem kształciły się na wzór miast feudalnych niemieckich.

Dotąd wszystkie te przedmioty zaledwo są u nas dotknięte; mnóstwo ich leży nieporuszonych. — A jednak po wielkich wstrząśnieniach na Zachodzie, które stanowią przechód od XVIII do XIX wieku, po wielkiej rewolucji francuskiej, która nietylko świat polityczny przetworzyła, ale była również rewolucją w naukach i sztukach, historia mogąc się zagłębić w świat dotąd nieznanym a obumarłym, w świat średnio-wieczny, zadziwiająco poczyniła w nim odkrycia. — Olbrzymie prace szkoły historycznej niemieckiej i historyków francuskich, zapoznały nas z tym światem tak bliskim od nas; pokrewnym, tak jednak odmiennym, w którym spoczywają pomieszane zasady wszystkich form teraźniejszego społeczeństwa, wszystkich systematów filozoficznych, całego ruchu umysłowego wieków następnych, pod szeroką osłoną jedności kościoła, i w ciasnych korbach arystokracji feudalnej.

Później może będę się starał rozwinąć obszerne lecz trudne zadanie: czy istniał feudalizm w Polsce średnio-wiecznej? — Ponieważ zaś błędne pojęcia w tym przedmiocie, zdają mi się pochodzić z niezrozumienia istoty feudalizmu, ograniczę się na teraz wstępem do tej pracy i poprobuję skreślić co należy rozumieć pod feudalnym systematem w ogólności, co stanowi jego istotę, i okazać wkrótkości jak się rozwinęła w czasie całość ustaw politycznych noszących to nazwisko. Starłem się jedynie tylko w jedną całość ułożyć to co już odkryto, dowiedziono, co żadnej nie ulega wątpliwości w nauce. Nie będę obarczał czytelników moich mnóstwem cytatach niepotrzebnych w dziele, którego jedyną zaletą być może jasny i ścisły wykład dowiedzionych już faktów.

II.

Co należy rozumieć pod feudalnym systematem? — Odpowiedź na to pytanie łatwo możemy sformułować ze stanowiska czysto historycznego. — System feudalny z tego stanowiska uważany, jestto całość ustaw politycznych, które powstały po śmierci Karola Wielkiego w krajach jego państwem objętych, lub też takich, które te ustawy stamtąd przejęły.

Określenie to nie jest dostatecznem, nie mieści bowiem w sobie warunków dobrego określenia, które powinno się zasadzać na tém, co stanowi istotę rzeczy, na wewnętrznych jej przymiotach, nie zaś na przymiotach zewnętrznych, przypadkowych, z istoty rzeczy niewypływających. — Niedostateczność czysto historycznego poglądu, prowadzi nas do określenia feudalizmu ze stanowiska prawnego.

Feudalizm jestto możnowładztwo właścicieli ziemskich szczególnego rodzaju, *sui generis*. — Nie każde możnowładztwo ziemskich właścicieli jest feudalizmem. — Na początku historii każdego młodzieńczego ludu, kiedy człęk prawie wisi jeszcze u piersi matki natury, kiedy lud wyłącznie prawie jest ludem rolniczym, natenczas własność ziemską ogromną gra rolę w prawie, nadaje właścicielowi swemu polityczny charakter, polityczne znaczenie. — Eupatridowie w Atenach, patrycjuszowie w Rzymie, byli to również możnowładcy terytorjalni. Czémże się różnili oni od feudalnego barona?

Zarodkiem rzymskiego państwa było miasto, *civitas*, rozmierzone i zorientowane przez Augurów. — *Ager romanus*, *ager publicus*, pole rzymskie, ziemie rzymskie, — była częścią tego miasta, wchodziła w obręb *civitatis*. —

Patrycjusz dzierżył część tego pola nie we własności swojej (*proprietas*), ale tylko we władaniu (*possessio*), ziemia ta nie przestawała być ziemią miasta, państwa, *civitatis*. On mógł inne ziemie nabywać na własność, z tych czerpać swoje dochody; jednak tylko ta część *agri romani*, którą dzierżył, nadawała mu charakter polityczny, czyniła go członkiem *civitatis*, dawała mu prawo być członkiem wszechwładnego wieca (*comitis*). — Kiedy plebejuszowie wzmoгли się na siłach, i wszczęli walkę na śmierć z patrycjatem, czegoż się przedewszystkiem domagali? — Nadania sobie części *agri romani* — Mieli oni ziemie, rozdawano im łupy podbitych narodów, ale to wszystko niezadawalniało, bo oni chcieli praw obywatelstwa w panującym mieście, a obywatelstwa tego nie mogli dostać, jak tylko dzierżąc w obrębie miasta ziemię składającą część jego, rozmierzoną i rozgraniczoną podług świętych tajemnic augurów. — Co szczególnież uderza w pierwotnej organizacji rzymskiej, w prawie patrycjusza na *ager publicus*, jest to niewolniczość stosunków obywatelskich. — Nic nie pozostawiono indywidualnej woli człowieka. *Civitas* patrycjusza składa się z trzech kurij, każda kurja z dziesięciu *tryb*, tryba z dziesięciu *gentes*, ni mniej ni więcej. — *Paterfamilias* przedstawia sobą całą osobistość swego domu, którego członkowie w obec niego nie mają ani głosu, ani praw. — Ale on sam używa praw cywilnych i politycznych, nie jako człowiek, ale tylko jako obywatel i przedstawiciel swojego rodu. — Ziemią więc włada właściwie nie on, ale dom jego, ród jego, osoba niema, zbiorowa, której on widomym reprezentantem.

Porównajmyż patrycjusza rzymskiego do seniora feudalnego, owego drugiego możnowładcę terytoryalnego.

Ziemia cała bez wyjątku należy do króla lub cesarza; ten ją rozdaje swoim towarzyszom, swoim *vassi*, herzogom, grafom, baronom w wieczyste władanie * pod warunkiem służby osobistój — na wojnie w *heribannie* (wojsku) swoim, — w pokoju na dwórze swoim, kiedy król lub cesarz swoje *placitum regni*, swój wiec walny zwoływał. — Graf, herzog lub baron, na takichże warunkach część ziem swoich oddawał swoim wassalom, którzy byli już takim sposobem *arrière* — wassalami króla. — Przy suzerenie (Lehnsherr) zostawało próżne prawo własności, a wieczyste prawo, użytkowanie od tego prawa własności oddzielone, przynależało się wassalowi.

Król, baronowie i ich wassale, składali tylko wyższą warstwę społeczeństwa, klasę uprzywilejowaną, stan który w ekonomicznym względzie nazwalibyśmy materialnie nieprodukującym. — Pod tą warstwą była masa ludu pracującego na zaspokojenie materialnych potrzeb społeczeństwa, na wydobywanie środków bez których ono istnieć nie może. — Król, który nie całą ziemię swoją oddał baronom jako feuda, baron który nie wszystko oddał swym wassalom, wassal jego nakoniec, mieli na swych ziemiach ludność rolniczą. — Praca wyklęta i przez niewolnicze ręce sprawowana w starożytności, nabierała charakter ciemny jeszcze indywidualności i swobody. Właściciel ziemski feudalny, rozdawał część swych ziem rolnikom i niższej klasy ludziom, swoim poddanym (*Hoerige, servi, glaebae adscripti*) w wieczystą dzierżawę jako *villanagia*, pod warunkiem pańszczyzny, obrabiania reszty swoich posiadłości.

* Biorę tu system feudalny w pełnym jego rozwoju. Zapewne feuda nie od razu dawane były w wieczystą i dziedziczną dzierżawę, ale w późniejszych po Karolu Wielkim wiekach, wszystkie feuda były wieczyste i dziedziczne.

Co tu najbardziej uderza, jest to dowolność stosunków towarzyskich. — Forma społeczeństwa jest wprawdzie możnowładztwo właścicieli ziemskich, ale związek ich jest zupełnie osobisty, co się wyraża symbolicznie przez inwestyturę i hołd lennika suzerenowi. — Związek lennika z suzerenem oparty jest na wspólnej dobrowolnej ugodzie; lennik dzierży ziemię sam osobiście; ród jego na tę ziemię nie ma wcale prawa, i nie ogranicza go we władaniu. — Lennik może się pozbyć wszelkich obowiązków względem suzerena, uwolnić się od przysięgi, zwracając mu feudum. Związek zatem feudalny wynika z ugody dobrowolnej, obwarowanej ziemią feudalną i na odwrót, ziemia jest warunkiem wszelkich obowiązków wassala względem pana.

Ta dowolność stosunków społecznych jest wielkim krokiem postępu ludzkości. — Znać, że ona wyszła z ziemi niewoli starożytniej, ze starożytnego fatalizmu. — Wszędzie w średniowiecznych ustawach, mimo ich niedoskonałość, przewiewa swoboda człowieka świadomego swęj osobistości. — W Grecji i Rzymie on był wolny jako obywatel państwa; w świecie feudalnym on się staje wolnym jako człowiek. — Już nie przymiot obywatela, ale osobistość ludzka jego służy dlań źródłem wszelkich praw, których używa. — Wprawdzie w średnich wiekach myśl ta wielka i płodna, idea ta z nauki Chrystusowęj wprost wynikająca, zaledwo tlała w umysłach, zaledwo słabo wyznawana była. Jednak pod ciągłym a nieustannym wpływem tęj idei, kształciły się ustawy społeczeństwa. — Nie można położyć daty tego postępu, a jednak pomału praca stała się wolną; rolnik i wyrobnik, pracujące klasy społeczeństwa weszły w skład państwa, przestały być rzeczą, i już nie można do tych klass przystosować napisu, jaki Dante kładzie nad wejściem do swego piekła:

*Lasciate ogni speranza voi che entrate! **

Rezumując wszystko cośmy powiedzieli uprzednio, możemy dać następujące określenie feudalnego systematu:

System feudalny, było to możnowładztwo terytorialne ziemskich właścicieli, spójnych między sobą obowiązkami służb wojennych i dworskich na zasadzie i pod warunkiem ziemskiej posiadłości, którą obowiązujący, obowiązanemu nadawał; możnowładztwo, które się rozwinęło po śmierci Karola Wielkiego w krajach Europy zachodniej, jego państwem objętych, lub też takich które go ztamtąd przejęły.

Określiwszy istotę i dawszy pojęcie o feudalizmie, przejdźmy teraz do jego historii, i pokażmy jak się te ustawy organicznie rozwinęły, i jak logicznie wpływały z kolei politycznego rozwijania się społeczeństwa.

III.

Feudalizm niebył dziełem Karola Wielkiego, ani też któregośkolwiek z jego następców. — Był on koniecznym i logicznym wynikiem starcia się i zlania świata rzymskiego, zużytego i starego, ale posiadającego wysoko wykształcone prawo i cywilizacją, ze światem nowym germańskim, świeżą krew i siły wlewającym w żyły starego świata, i przynoszącym w sobie płodny pierwiastek dalszego kształcenia się. — Śladów więc feudalizmu szukać trzeba w pierwotnych patriarchalnych ustawach starożytnych Germanów, wprzód nim wystąpili na widownię historii, i w organizacji rzymskiego państwa, pod której

* Eduard Laboulaye w dziele swoim: *Histoire de la propriété foncière en Occident*. Paris 1839, ten epigraf kładzie nad rozdziałem: o niewolnikach.

wpływem modyfikowały się te ustawy, dając początek feudalności. — Jakież były pierwotne urządzenia Germanów u siebie w domu, w ich lasach i puszczach, tak jak nam je Cezar i Tacyt podali?

Urządzenia te organicznie się rozwijały ze swojego jądra, pierwiastka-rodziny. * Jak rodzina rozszerzając się i rzucając dalsze odpryski, przekształca się w ród, tak znowu rody germańskie rozszerzając się, przeradzały się w pokolenia — szersze stowarzyszenia ludzi spojnych jednością pochodzenia, na pierwowzór początkowej rodziny osnute. — Jak w rodzinie z dorosłych członków złożonej, wszyscy są równi, chociaż inni członkowie dla ojca okazują uszanowanie, tak i w pokoleniu rząd był w rękę całej gminy, całego pokolenia, wszystkich ludzi wolnych (*Freie*) i stąd stowarzyszenie nosiło nazwę *Friede, Freithum, mir* **, jako gmina złożona z ludzi zostających w stanie wolności (*Freiheit*), — Słowo to inne jeszcze ma znaczenie. — Ponieważ głównym i jedynym, można powiedzieć, celem takich stowarzyszeń było utrzymanie spokoju zewnątrz gminy i obrona jęj przeciw zewnętrznym nieprzyjaciołom, władzy zaś żadnej centralnej nie było, utrzymanie zatém tego spokoju leżało solidarnie na całej gminie, która zań ręczyła. — Spokój wewnętrzny który miała na celu gmina, nosił jednakowe z nią nazwisko, i zwał się również *Friede, mir*.

Jak w rodzinie pod przewodem ojca, majątkiem władała rodzina, i radziła o swych sprawach, tak w pokoleniu

* Organizacja starodawnych Germanów i ich instytucje, może dobrze objaśnić z talentem napisana manografia: *Essai sur l'organisation de la tribu* par N. Koutorha. Paris 1839.

** *Friede* domaczą sławiańskim słowem *mir*; *mallum*, d'ing słowem *wiec*, i. t. d; ponieważ odpowiednie tym słowom instytucje są téż same w istocie, a tylko nazwiskiem się różnią u rozmaitych narodów.

wszyscy *Freie* schodzili się na *wiec*, *ding*, *mal* pod przewodem swoich starców, grafów, (zapewne od *graus*—iwy pochodzące słowo), * — we wszystkich ogół dotyczących przypadkach. Nierzęba widzieć w tych urządzeniach nie systematycznie regularnego. Ponieważ prawa były tylko zwyczajowe, a węzeł społeczny nadzwyczaj jeszcze słaby, jedynymi przedmiotami wieca było sądzenie wynikłych pomiędzy członkami sporów i zająć. — Porządek nie miał nic stałego. — Zwyczajnie wybierano jednego ze starszych, aby kierował rozprawą *Richter* (od *richten*, sądzić, kierować). — Naokoło spierających się stawała gromada, i wysłuchawszy rozstrzygała kto miał słuszość, a starce wydawali wyrok na starodawnych zwyczajów zasadzie, którego wykonanie leżało na samym obrażonym, jego rodzinie (prawo zemsty), nakoniec na całej gromadzie solidarnie zobowiązanej utrzymywać spokój, *mir*, *Friede*.

Podobny stan właściwy jest mniej więcej wszystkim ludom koczownicze życie prowadzącym. — Jeszcze tu niema ani niewolników, ani posiadłości ziemskiej. W takim stanie byli zapewne Germani, kiedy w przedhistorycznych czasach ciągnęli drogą wszystkich europejskich ludów ze Wschodu na Zachód. — W chwili kiedy Cezar i Tacyt podali nam swoje wiarodawne opisy Germanów, ludy germańskie zostawały na przejściu z życia koczowego ku życiu rolniczemu, nie stałego w ich osadach, ciągle falowanie i ciągle zmiany siedlisk. — Wystawmy sobie jakiegokolwiek plemię germańskie które się przenosi z miejsca na miejsce, i posuwa się z całym swoim dobytkiem. — Najczęściej wędrowka ta dzieje się bardzo zwolna; prawie zawsze kierownikami służą strony świata

* Tacitus, Geron.... Des majoribus rebus principes consulant, de minoribus omnes.

i bieg rzek. — Cóż się stanie gdy to plemię wędrowne uderzy o drugie już osiadłe i podbije go? — Oczywiście stan polityczny obydwóch musi się zmienić. — Podbicie to daje początek dwóm klassom: zwycięzców i zwyciężonych, i tu jest początek niewoli. * Jakież stosunki zwycięzcowe do zwyciężonych? — Jakże się podzielią zwycięzcy łupami i ziemią?

Odtąd na jednej i téjże przestrzeni będą dwie klasy ludzi, dwie rasy oddzielne: 1) Wolni (*freie, liberi*) i 2) niewolnicy (*Unfreie, servi*). — Między temi dwoma rasami żadnego pojednania. — Dziecię zrodzone z matki wolnej, a ojca niewolnika, albo téż z matki niewolnicy a ojca wolnego, staje się niewolnikiem. **

Wolny człowiek (*Mann*) posiadał jeden wyłącznie następujące prawa: I) prawo obrony; II) prawo należenia do wieca; III) prawo posiadania nieruchomój ziemskiej własności.

I. *Prawo obrony*. Dopóki społeczeństwo dotyla jest słabe, że niemoże samo zabezpieczyć obrony i bezpieczeństwa członkom i wykonania praw, dopóty musi zostawić je każdemu obywatelowi w szczególności. — W rodzącem się społeczeństwie prawo obrony (*Fehderecht*) jest najważniejszém prawem i cechą wolnego człowieka, jest warownią wszystkich innych jego praw politycznych i cywilnych. — Wolny człowiek u Germanów uważany z tego stanowiska, t. j. jako posiadający prawo obrony, zwał się *war* albo *wer* (często łączyło się to słowo z *mann*, na przykład *warmann*. — Nazwa *war* albo *wer* nieoznaczała ani godności jak np. grafa albo herzoga, ale wprost ka-

* Najoczywistsza wzmianka o takim pochodzeniu niewoli u Germanów, znajduje się w jednym z najstarszych pomników prawa Niemieckiego: *Sachsenspiegel* B. 3. Art. 44 (Cod. Quedlimb. art. 40).

** „Das Kind folgt der ärgeren Hand,” *Haltaus: Glossarium* p. 795.

zdego wolnego człowieka, mającego prawo obrony.* Nazwa ta przechowała się aż do naszego czasu w słowie *baron* (*barus, baro, waro*) które oznaczało w średnich wiekach całą wyższą szlachtę w ogóle, a w niemieckim języku tłómaczy się słowem *Freiherr*.

Prawo obrony wyraża się trojako: a) w prawie prowadzenia wojny; b) w prawie noszenia oręża**; c) w prawie uzbrojenia swojego mieszkania, otoczenia go murem, fossą, wałem.

Kiedy następowała konieczność ogólniej obrony przeciwko zewnętrznym nieprzyjaciołom, natenczas wszyscy Freie z kilku pokoleń czyli *gauwo* (*gau* odpowiada naszemu: opole, powiat) stawali pod bronią, tworzyli pospolite ruszenie (*Heribannum, Heerbann*) i wybierali sobie wodza, *Herzoga*, którego godność ustawała z przeminieniem niebezpieczeństwa.

II. *Prawo należenia do wieca* (*mál, ding, placitum*). — Niewolnicy i wyzwolenie (lati, lazzi) zupełnie od wieca wyłączonemi byli.

III. *Prawo posiadania ziemskiej własności*. — Tylko wolny człowiek w pełnem znaczeniu posiadał ziemię. — Coż pozostawiano niewolnikom? — Jak się dzielił ziemią zwycięzcy? — Oto są ważne pytania, bez zgłębienia których niemożna pojąć natury alodjalnej, posiadłości służącej podstawą feodalnego systematu.

W XVIII wieku, zdaniem panującym w tej materji, zdaniem przyjętym przez masę historyków i filozofów, było, że jak tylko po raz pierwszy człowiek oderwał się od piersi matki natury, u których wisiał jak niemowlę, jak

* Imię to postrzegamy w nazwach wielu ludów germańskich, z czasu Tacyty: *Contuarii, Chat-uarii, Vidi-varii* etc.

** „*Servi lanceas non portent; qui inventus fuerit post bannum hasta frangatur in dorso ejus.*” — *Capit. V. 247; VI. 271.*

tylko przechodzić począł ze stanu natury do stanu społeczeństwa, natychmiast pierwszym dziełem jego było przywłaszczenie osobiste, egoistyczne, ziemi wspólnej dotąd wszystkim ludziom. — Ziemię jako *res nullius* zajmował *primus occupans*, i własność ziemską poczęła się od monopolu. — Ztąd wymowne deklamacje przeciw pierwszemu kto wynalazł własność; ztąd zdanie, że ten człowiek był pierwszym złodziejem w obliczu ludzkości, kto pierwszy sobie kawał ziemi ogrodził, i rzekł: „ta ziemia jest moja.“ *

Poszukiwania późniejsze zadały fałsz temu paradoksowi. — Pomniki historii greckiej (szczególnie prawodawstwo Sparty) i rzymskiej, księga Josue, a najbardziej ze wszechmiar wiarogodne opisy Cezara i Tacyta przekonywają nas, że ziemia w patriarchalnym bycie uważaną była za własność wspólną całego pokolenia, a podziałowi pomiędzy członków przewodniczyły pewne i niezmiennie prawa. — Zwykle ziemię dzielono na ilość części odpowiednią liczbie członków, a podział sam dzielił się losem, który rozstrzygał do kogo jaka częśćka należeć będzie. — Tak niezawodnie było u Żydów po zdobyciu przez nich ziemi obiecanej; tak było i u Germanów. — Ziemia tak podzielona sama nosiła nazwę *losu* (po łacinie *sors*, po niemiecku *loos*, *lot*, po anglosax. *hloth*, z kąd potem wynikła nazwa: *alot*, *alodis*, ziemia alodjalna. ** Dość przeczytać następujące miejsca u Cezara i Tacyta,

* I. I. Rousseau.

** Guizot w dziele; *Essais sur l'histoire de France* p. 92 bardzo prawdopodobną podał nam etymologią tego słowa, najdawniejsza bowiem jego forma jest *alodis*, a nie *alloidium*. — Inaczej dowodzą Blackstone, J. Grimm i inni którzy rozkładają słowo to na *all* i *od*, niezgadując się jednak na ich znaczenie. Zwykle tłumaczyą *od* przez własność, a *al* przez pełną, nieograniczoną,

aby się przekonać w nieomyślności tego twierdzenia. — Cezar widział Germanów jeszcze w stanie koczującym. W komentarzach jego na wojnę galską, znajdują dwa następujące ustępy:

Caesar *de bello gallico*, IV, 1: „Sed privati ac separati agri apud eos nihil est; neque longius remanere anno uno in loco incolendi causa licet....“ co znaczy: ziemia u nich niepodzielna i niezostająca w prywatnej własności; nie ma u nich zwyczaju dłużej roku na jednem pozostawać miejscu.

Caesar *de bello gallico*; VI, 22: „Neque quisquam agri modum certum atque fines habet proprios, sed *magistratus et principes* gentibus cognationibusque hominum, qui una coierunt quantum et quo loco viam est agri attribunt, atque anno post alio transire cogunt.“ — To znaczy: Pojedyncze osoby nie posiadają u nich pewnych wydzielonych sobie kawałków ziemi i pól, lecz *starszyzna gminy* wydziela tam gdzie zechce i tyle ile zechce ziemi rodom i familiom razem żyjących ludzi; ten podział zmienia się co rok, i odbywa się nanowo.

Tacyt odmienny podaje nam obraz: Germani bowiem za jego czasów zajęli stałe siedliska, stali się ludem zupełnie rolniczym.

Tacitus, *Germania*, c. 26: „*Agri pro numero cultorum ab universis per vices occupantur, quos mox inter se secundum dignationem partiuntur.*“ — To nadzwyczaj ważne miejsce można tak wytłomaczyć: ziemię zajmuje cały naród, cała gmina (*universi*), stosownie do ludności (*pro numero cultorum*), poczem one się dzielą kolejno (*per vices*) pomiędzy członkami podług ich godności.

Jak w rodzinie pojęcie wspólności przemaga zupełnie, i pochłania osobistość jej członków, tak w patriarchalnym bycie, w zarodku politycznego towarzystwa pojęcie *gminy* (*Gemeinde*) wznosiło się nad osobistością jej człon-

ków. — To nam objaśnia jedno bardzo trudne zadanie prawa i filozofji historii, które tylko historyczną drogą rozwiązane być może: jaka własność powstała najprzód czy prywatna czy publiczna, i która z nich jest drugieję następstwem, dopełnieniem? — To mało znaczące na pozór pytanie, ogromne pociąga za sobą wyniki w życiu narodów, ogromną może mieć przystosowalność, nierozzerwanie bowiem związane jest z pojęciem naszym o państwie i człowieku i wzajemnym ich stosunku. — Czy społeczeństwo wśród którego żyjemy, czy forma widoma w której się życie jego rozwija — państwo, dotyla nas ogarnia, pochłania, że ono jest celem, a człowiek tylko posługującym środkiem? — Czy też na odwrót, nie cała nasza osobistość tonie w tym Oceanie państwa, a za granicą tego państwa leży cel ku któremu dąży człowiek pojedynczy równie jak i zbiorowy. — Najgłębszym naszym przekonaniem jest: że byłoby poniżeniem wysokieję godności człowieka, uważać go za środek do dopięcia jakichś celów za obrębem jego istoty leżących; że nie on dla państwa lecz państwo dla niego istnieje; że celem jak pojedynczego tak i zbiorowego człowieka jest wszechstronne i harmonijne rozwinięcie wszystkich użytecznych mu sił i zdolności, nie dające się pogodzić ze zniszczeniem jego wolnej osobistości. — Ale porzuciwszy pogląd ze stanowiska filozofji na tę kwestję, gorącą ogniem wznieconych namietności na polu dzisiejszję polityki, rozważmy ją tylko z historycznego stanowiska.

W społeczeństwie młodzieńczem zaledwie się rozwijającym z patriarchalnego bytu, ono pochłania całkiem człowieka, jego osobistość, tak, iż prawo cywilne nie istnieje wcale, a tylko prawo publiczne. — Ponieważ zaś nie istnieje jeszcze podział pracy, a uprawa ziemi jest jedynem zajęciem człowieka, której surowe wyroby wystarczają prostym jego potrzebom, posiadanie więc ziemi

jest nieodzownym warunkiem należenia do społeczeństwa, a owładnienie ją nie pozostawia się osobnikom, ale całemu społeczeństwu, które ją w swoim imieniu członkom swoim rozdaje. — Ztąd więc ziemia nabiera politycznego znaczenia, które niewypływa wcale z idei własności; ztąd zespolenie się zupełne rzeczy posiadanej z posiadaczem, tak, że źródłem wszystkich praw dla człowieka jest jego posiadłość, tak, że on jako posiadacz używa wszystkich praw obywatelskich. — Własność prywatna w takim stanie jest tylko rezultatem i wpływem z własności publicznej. — Lecz z postępem kultury, rozwinięciem się społeczeństwa, ziemia traci swój charakter polityczny, i staje się takimże przedmiotem posiadania jak i wszelka inna rzecz. — Człowiek usamowalnia z pod jarzma; jego osobistość staje się dlań praw wszelkich źródłem, i wtem właśnie leży postęp jego, zwycięstwo jego wolności nad ciężącym przedtém fatalizmem. — Własność prywatna istnieje odtąd niezależnie od państwa, która ją tylko zabezpiecza, i ona to właśnie jest podstawą, a własność publiczna tylko jej następstwem, dopełnieniem. — Pomiędzy narody Wschodu, które według głębokiej formuły niemieckiego filozofa, istniały w przestrzeni a nie w czasie, bo nieruchomie prawie przetrwały przez ciąg wieków, spostrzegamy najwyraźniej ten postęp w historii Grecji i Rzymu, tych ludów przechodowych, które łączą Wschód zatopiony w ubóstwianiu natury widomej, ze światem nowym, który powstał na kamieniu węgielnym chrześcijaństwa. — Czemże jest organizacja Sparty — tego najbardziej azjatyckiego z plemion greckich — jeżeli nie istotnym komunizmem, biorąc go jako zupełne pochłonięcie osobistości człowieka w bycie państwa, które rozrządza osobami, własnością, a nawet familijnemi stosunkami członków swoich. Czemże walka geomorów z eupatrydami w Atenach, a plebejuszów z patriciuszami w Rzy-

mie, jeżeli nie tém postępowém usamowolnieniem człowieka?

U Germanów, przed wylewem ich na Rzym, ziemia miała również polityczne znaczenie, a będąc warunkiem i źródłem praw obywatelskich, zupełnie zespoloną była z osobą posiadacza. — On był *war*, ziemia była *wara* (albo *were*); tracąc ziemię, on zachowywał wolność osobistą, ale tracił udział w wiecu, stawał się czemś pośredniem między klassami wolnych i niewolników.

Powtarzając i ściskając w kilku wyrazach to wszystko cośmy powiedzieli, widzimy zatem, że w patriarchalnym bycie Germanów dwie były klasy ludzi: wolnych (*Freie*), mających prawo obrony i oręża, prawo należenia do wieca i prawo władania ziemską posiadłością, i niewolników (*Unfreie*), pozbawionych tych praw. — Dwa te stany były skutkiem podbojów. Podbijające plemię zabijało polityczne plemię podbite, i dzieliło się ziemią jego. — Dawni właściciele jako poddani musieli uprawiać ziemię zwycięzców, za co im pewną jej częśćkę na użytkowanie dawano.

Oto zarys patriarchalnego gminnowładztwa ludów germańskich. Obok niego, w nim samym już istniały zarodki innych form rządu mocniejszych, doskonalszych. — W stosunku podbijających do podbitych, czyli pana do jego poddanego, widzimy zaród arystokracji, możnowładztwa, panowania rasy nad rasą.

Oprócz tego widzimy pierwiastek monarchiczny w następujących dwóch faktach:

a) Opole, *gau*, czyli pewna liczba rodzin na pewnej przestrzeni siedząca i składająca gminę, miała swojego urzędnika *grafa*, obieralnego przez nią na wiecu, który obradami jej kierował. — Kiedy gmina zagrożoną była od zewnętrznych nieprzyjaciół, natenczas tenże graf stawał na czele pospolitego ruszenia. — Jeżeli kilka *gauów* czyli

plemie całe (*Stamm*) łączyło się razem dla odparcia nieprzyjaciela lub przewędrowania z miejsca na miejsce, natenczas na wiecu z wolnych ludzi, każdego pokolenia obierano wodza *Herzoga, dux*, którego godność była czasową, przemijającą. — Herzog więc wyrażał w sobie jedność całego plemienia, tak jak *graf* — jedność całego pokolenia, gminy, *gauu*. Im bardziej rozwijał się świat germański, tém bardziej, tém mocniej wiązały się między sobą oddzielne gminy, a zespolenie ich ściślejsze wymagało mocniejszego węzła niż dotąd. — Godność *herzoga, ducis*, dotąd zupełnie czasowa, musiała więc stawać się stałszą, nieustającą, i zwykle przechodziła z ojca na syna za zgodą całego plemienia. Jednak charakter jęj osobisty wyrażał się w okrzyknieniu herzoga przez plemię i w podniesieniu go na tarczy. — Władza królewska w istocie ma tenże sam początek, bo w najdawniejszych pomnikach historii król, *konung, kuning* toż samo znaczy co *herzog*. * Władza więc królewska była czysto-osobistą, obieralną, a wcale nie symboliczną jak w naszych czasach.

b) Lud germański przynosił z sobą silnie rozwiniętą indywidualność, instynktowy i namiętny popęd ku objawianiu swęj swobodnej woli ku awanturniczemu życiu, co jest właśnie cechą każdego młodzieńczego ludu, mającego zarody postępu. — Ponieważ patriarchalne towarzystwo było za ciasne, niedawało pola dla rozwinięcia się jego, często więc popęd ten objawiał się w śmiałych przedsięwzięciach, w nieustannych wędrownkach Germanów i w ciągłym polowaniu ich plemion. — Bardzo rzadko całe plemie przesiedlało się z miejsca na miejsce z całym dobytkiem i mieniem, i takie wędrownki były nadzwyczajne.

* Augustin Thierry: lettres sur l'histoire de France (1829) p. 160—163.

czaj krwawe i pustoszące. — Taką wędrowką naprzykład było najście Hunnów, zajęcie przez Allemannów Helweji od Renu aż po rzekę Aar i t. d. — Najczęściej te wędrowki innym działały się sposobem. Ktokolwiek ze znakomitszych i bogatszych w plemieniu, zbierał około siebie bandę ludzi odważnych, gotowych na wszystko i zobowiązujących się dobrowolnie mu ulegać dla wspólnych celów, jako swojemu konungowi, herzogowi, królowi. Bandę tę złożoną z jego *treue*, *antrustiones*, zwaną po niemiecku *Gefolge*, po łacinie *comitatus*, nazwiemy starostawiańskim słowem *drużyna*, ponieważ nie ma w polskim języku odpowiedniego na to wyrazu. Drużyna taka pod swoim wodzem, którego rozkazom dobrowolnie się poddawała, wyprawiała się z siedlisk swoich i podbijała jakąkolwiek prowincję. Drużyny takie bardzo mało były liczne, i tylko zupełny upadek Rzymu da wytłomaczyć jakim sposobem zdołały go one rozezłonkować. — Cały naród Burgundów, który się rozsiadł nad Saoną i Rodanem do Aaru i morza Śródziemnego, liczył zaledwo 60,000 ludzi. — Kłodoweusz miał pod sobą zaledwo 5 do 6,000 Franków.

Zanalizowaliśmy stan patryarchalny Germanów, i zarody trzech form głównych rządu, jakie w nim pomieszane spoczywały: demokracji — we wszechwładnym wiecu wszystkich wolnych ludzi; arystokracji — w panowaniu rasy nad rasą, w klasach wolnych i niewolników, i monarchji — w *herzogu* czyli królu przez plemię obieranym i w stosunkach drużyny do swojego wodza. Stan ten trwał do wielkiej wędrowki narodów, i do starcia się Germanów z Rzymem.

Jakie skutki sprawiło starcie się plemion germańskich z rzymskim cesarstwem i jakim instytucjom dało ono początek?

Skutek był następny: i ustawy Germanów i organizm polityczny Rzymu, rozwiązały się, umarły, ale umierając dały początek nowemu porządkowi rzeczy, możnowładztwu feodalnemu — arystokracji terytorjalnej. Przypatrzmy się bliżej temu processowi rozkładu i utworu. Ta część historii zawikłana i ciemna, po mistrzowsku wypracowaną była przez *Guizota* w jego jenjalnem dziele: *Histoire de la Civilisation en France*. Jest to może najlepsza rzecz jaka wyszła z pod pióra tego chłodnego i przenikliwego badacza wypadków historycznych.

Germanowie zastali Rzym w stanie następującym:

Z jednej strony zużyte i konające ciało polityczne, całkiem pogańskie w ustawach swoich, bo na podstawie niewolnictwa zbudowane i z niego czerpiące wszystkie materialne środki istnienia. Z drugiej strony pełne życia stowarzyszenie się religijne, wewnątrz państwa będące, ale niemogące się zanie z niemi pogodzić, i uporczywą walkę z niemi wiodące — kościół chrześcijański. Nie mogąc jeszcze dogmatów swoich urzeczywistnić, nie mogąc wyciągnąć wszystkich wyników, jakie z nauki Chrystusowej wypływały logicznie, kościół wydał wojnę światu interesów i spraw materialnych; kościół oddzielił sferę ducha od sfery politycznych i cywilnych dążeń i zabiegów, a rzuciwszy na ostatnią przekleństwo, zamknął się w pierwszój, aby schrześcijanić pojedyncze dusze i rozpowszechnić dogmat, któren, po wielu wieków upływie, wsącżywszy się w krew i żyły rodzaju ludzkiego, miał przejść w prawa i ustawy narodów, we wszystkie szczegóły ich życia domowego i publicznego. Usunięcie się kościoła ze sfery politycznej — przekleństwo rzucone ciału — było najboleśniejszym ciosem dla Rzymu: było niemą lecz niezłomną protestacją przeciwko istniejącym ustawom, gasiło wszelkie przywiązanie ku ziemskiej ojczyźnie, zostawiało państwo bez obrońców, a prawo bez

poważania i wykonania. Tu trzeba szukać przyczyn upadku Rzymu, a nie w wielkiej wędrówce narodów.

Kościół wyniosłszy się z państwa, i tworząc ciało zupełnie oddzielne, nietykalne, nie miał zatem bezpośrednio wpływu na instytucje polityczne, chociaż wywierał wpływ moralny ogromny, ciągły i niewidomy — jako przechowawca idei chrześcijańskiej. Dlatego więc pozostawmy go tutaj, a zajmijmy się tylko politycznym stanem cesarstwa rzymskiego.

Rzym w pierwiastku swoim i zarodku był miastem (*civitas*). Rozszerzając się i zdobywając inne miasta, nowe prowincje i kraje i kolonizując je, ono nie przestało być miastem panującym nad innymi miastami. Kiedy Rzym upadł, pierwiastek jego — miasto jedno się ostało z świata starożytnego, i przekazało prawo rzymskie i organizację muniypalną miastom średniowiecznym. — Potężny gieniusz rzymski objawia się w tém właśnie, że on umiał wszystkie te miasta i prowincje zdobyte spoić, przyswoić i wcielić w swój własny organizm. Lecz przez sam fakt podbicia, pierwotne urządzenie rzymskie, wszechwładztwo (*senatus populiue romani*) musiało ustąpić miejsca silniejszej organizacji, bo nie można było wcielić podbite ludy, nie dając im praw obywatelstwa, nie można zaś było wszystkim obywatelom Rzymu schodzić się na forum, a rząd wymagał potężnej centralizacji. W walce więc partji którą widzimy w ostatnich latach rzeczypospolitej, a która się zakończyła zwycięstwem cesarzów, chodzi właściwie nie o zachowanie pierwotnej formy rządu republikańskiej, ale o rozstrzygnięcie, kto ma panować nad światem? czy senat — ostatni przybytek patryejatu, a wtedy Rzymem by władała oligarchja patrycyjska; czy cesarz — następca trybunów. przedstawiciel rzymskiej demokracji i wszystkich podbitych narodowości, które pod jego panowaniem otrzymują równość

praw obywatelskich (*jus civitatis*) z pierwotnymi obywatelami Rzymu. Zwycięztwo zatém Cezara i jego następców było wielką i dobroczynną w skutkach swoich rewolucją.

W chwili upadku Rzymu, formą rządu jego, był to czysty despotyzm administracyjny. Wszystkie władze hierarchicznie sobie podległe ześrodkowywały się w osobie cesarza. — Znaczenie senatu żadne; żadnej kontroli, żadnej apellacji przeciwko tej mocnej i energicznej biurokracji. — Ludzi w cesarstwie zawierających się, można podzielić na cztery stany, a żaden nie miał nic samodzielnego w sobie, nie posiadał pierwiastków — żyć nadal mogących: 1) familje senatorskie, 2) *Curiales*, 3) drobni właściciele ziemscy, 4) *Coloni* i *servi* (niewolnicy).

1) *Familje senatorskie*. Cesarze rozdawali według upodobania godność senatorską, powołując do senatu tych, komu onę dawali. Później gdy znaczenie senatu zupełnie upadło, dość było cesarzowi tytularnie tę godność dając komu, przydać oficjalny tytuł *clarissime*. — Prerogatywy tego stanu były: *a*) uwolnienie od kar cielesnych; *b*) od przyjęcia obowiązków *curialis*; *c*) szczególna jurisdycja sądowa (*forum*). — Stan ten uprzywilejowany nie posiadał jednak prawdziwych warunków, prawdziwej arystokracji: praw korporatywnych i samoistnej działalności.

2) *Curiales* (*decuriones*) członkowie kurji czyli senatu, miast prowincjonalnych. Rzym był zawsze miastem, i tylko panował nad miastami, czego nie trzeba tracić z oka. Rzym podbitym miastom albo kolonjom swoim zostawiał zupełną niezależność w wewnętrznym zarządzie, wszystkie zaś sprawy całego cesarstwa dotyczące się, były oddane cesarskiej administracji. — Muncypalny zarząd miasta był w ręku senatu miejskiego czyli kurji, złożonej z *dekurionów* czyli *curiales*, wybieranych z obywateli miejskich na próżne miejsca przez samą kurją. Było to

ciało zupełnie arystokratyczne, samo bowiem kompleto-
wało się bez wezwania narodu, warunkiem zaś należe-
nia doń było posiadanie 25 *jugera* (morgów) ziemi. —
Dopóty trwał świetny stan cesarstwa, dopóki ta godność
była zaszczytną, ale gdy to ciało rozkładać się poczęło,
a pożerając coraz więcej, coraz więcej potrzebowało, na-
tenczas stan dekuriona pogorszył się do niezniesienia; bo
na nich jako na rządach odpowiedzialnych ciążyły wszy-
stkie wymagania nienasyconego fisku. — Nie boleśniej-
szego, nie okropniej malującego konanie narodu, nad zbiór
rozporządzeń w kodeksie Theodosiańskim, któremi pra-
wodawcy chcą zatrzymać, znieruchomić dekurionów na
ich miejscach, zamknąć im wszystkie wrota prawne ucie-
czki, bo oni mu odpowiadają za niedopłaty wszystkich
obywateli. *

3) *Drobniejsi właściciele ziemscy*, którzy w swoich zie-
miach siedzieli, a w czasie napadu Germanów do miast
się chronili.

4) *Coloni i servi*. Często mieszają te dwie klasy pod
wspólną nazwą *niewolników*, ale niesłusznie. Stan ko-
lonów (*coloni, adscripticii, originarii, inquilini*) był prawie
zupełnie taki sam, jak chłopów poddanych w zachodnich
guberniach cesarstwa rosyjskiego. — *Colonus* był przy-
wiązany do ziemi (*glebae adhaerens*), płacił i spełniał pe-
wne powinności, ale pewne tylko, panu ziemi, nie był zu-
pełnie podległy jego sądowi, posiadał pewne prawa cy-
wilne, a prócz tego płacił pewny pógłówny podatek rzą-
dowi, i dostarczał mu rekrutów. — *Niewolnik, servus*, za-
danych praw nie posiadał i był po prostu rzeczą właściciela.

Jakim sposobem i w jakim porządku odbywał się napad
Germanów?

* Guizot: *histoire de la civilisation en France* t. 1, p. 297.

Nie należy sobie wystawiać tych napadów jako straszny potop zalewający cesarstwo, jako okropny kataklizm zmieniający postać świata. Najścia Germanów najmniejszego nie miały do tego podobieństwa. Przychodziła banda nieliczna łupieżców (z Kłodowuszem było tylko 6,000 Franków, a cały naród Burgundów zaledwie 60,000 ludzi liczył), wpadała do jakiejś prowincji, pustoszyła i rabowała jaki powiat, okolicę, miasto, i albo oddalała się znowu, albo zadowolniona łupem, osiadała gdzie w jednem miejscu. Wkrótkim czasie znikaly ślady napadu, zapominane były nieszczęścia pojedynczych osób, a życie szło dawnym trybem. — Ale państwo rzeczywiście rozczłonkowane było skutkiem tych napadów; one zastanawiały cały obieg krwi w tém ciele polityczném, i paraliżowały całkiem ogromny administracyjny mechanizm, za pomocą którego rząd centralny Rzymu wprowadził wszędzie jeden system podatków, rekrutowania, robót publicznych i dróg. — Tamując dla obywateli cesarstwa wszelkie widoki na przyszłość, robiąc jutro dla każdego niepewném, napady te sprawiały nieznośne cierpienia dla całego towarzystwa rzymskiego. Świat rzymski konał w tych cierpieniach, a widząc cesarstwo zniszczone, chronił się i przechowywał w pojedynczych miastach.

Bezpośredni zatem skutek najścia Germanów był taki: Miasta, *municipia* — były rzymskie; Germanowie rzadko i to natychmiast po napadzie i nie nadługo po miastach osiadali. Powiaty, *pagus*, to jest okolice otaczające miasta, były już germańskie, ponieważ je Germanowie zabierali, a znajdując tam tylko rolniczą ludność kolonów, osiadali w nich, i natychmiast przechrzcili je na *gau*, tak że *gau* i *pagus* jedno znaczy. — Podczas gdy miasta zachowują swoje municypalne urządzenia rzymskie, i rzymskiem prawem się rządzą, Germanowie w powiecie osiedli, schodzą

się na wiec, a rząd nad nimi ma graf przez nichże wybierany. — Czasami kilka *pagus* dawano w zarząd jednemu grafowi albo herzogowi, któren znowu królowi był podległy. — Podział ziemi pomiędzy zwycięzców dział się następującym sposobem: wszystkie dobra skarbowe, publiczne brał król, któren niby wstępował we wszystkie prawa byłego centralnego rządu cesarstwa; trzecia część dóbr prywatnych odebrana od właścicieli, na równe kawałki podzielona, losem rozdawaną była pomiędzy członków bandy, drużyny królewskiej i zwała się *alodis* (od *loos*, *lot*, *sors*, jakeśmy to wyżej tłumaczyli). — Odtąd na jednéjże terytorji były dwa społeczeństwa różne prawem, wykształceniem, pochodzeniem; dwa państwa niby i dwa prawodawstwa: dla Rzymian — rzymskie; dla Germanów — germańskie. Prawo przestaje być terytorjalnym, a staje się osobistém.

Długo nie mógł trwać taki stan rzeczy; obadwa te społeczeństwa tak były zmieszane, i tyle miały punktów styczności, że musiały się powoli zlewać. Koniecznym skutkiem zlania się ich musiało być to, że wszystkie ustawy polityczne i Germanów i Rzymian podlegają rozkładowi.

1) Z świata rzymskiego pozostał tylko jego pierwiastek *municipium*; centralny zarząd całkiem zrujnowany zniknął, i napróżno usiłowali królowie germańscy, stając się na miejscu cesarza, zachować administrację rzymską.

2) Organizacja bandy, drużyny ustawała z dopięciem celu podboju, ze zdobyciem prowincji i podziałem ziemi.

3) Organizacja gminowładna plemienia germańskiego, ponieważ najgłębiej była wkorzenioną, została się więc jeszcze jak najdłużej. — Właściciele ziemscy powiatu schodzają się jeszcze na *mallum*, *ding* — wiec, wybierają *Gau-grafa*, sądzą; — królowie na swoje wielkie wieca *placita*

generalia, champs de mars i *de mai* zwołują wszystkich wolnych właścicieli alodiów. — Wrazie wojny ciż sami właściciele muszą się zbierać na pospolite ruszenie. — Lecz jeżeli bliżej przypatrzemy się stanowi rzeczy, ujrzymy jaka całkowita zaszła zmiana w organizmie gminy germańskiej. — Czyż mogło państwo być uważane za taką pierwotną gminę jedną, mocną? oczywiście nie. *Placita generalia*, wiece państwa całego przez króla zwoływane, już nie są dawnym wiecem, zgromadzeniem ze wszystkich wolnych posiadaczy ziemi, lecz przemieniają się na prostą radę u boku króla będącą, z wielkich właścicieli złożoną i tylko doradczą. — Za królów z Karolowej dynastji, prawa przepisują zebranie się wieców powiatu przynajmniej trzy razy do roku, przepisują kary pieniężne na tych, którzy na wiecu nie staną — znak, że nawet wiec *gauu* rzadko i z trudnością się zgromadzał. — Za Karola Wielkiego graf, *gauu*, — jest już nie urzędnikiem gminy przez nie obieranym, ale wprost od króla stanowionym rządcą. — Ponieważ nikt na wiec schodzić się nie chciał, sąd więc sprawował nie wiec pod przywódem grafa, ale graf z pewną liczbą wolnych ludzi, których sam wyznaczał, a którzy się zwali *scabini*, *schoeffen*, *boni homines*, *jury*, przysięgli; liczba ta zwykle nie przenosiła siedmiu.

4) Monarchiczny pierwiastek uległ także zupełnej zmianie i przekształceniu. U Germanów królowie byli tylko wodzami, a zatem z bardzo ograniczoną władzą. — Monarchja ta wojenna przeniesiona na grunt rzymski po podziale ziemi, po wydzieleniu alodiów, ostała się, bo była symbolem jedności rasy zwycięzców, i stała się dziedziną z obieralną, bo społeczeństwo tak było niedojrzałe jeszcze, że wyłączało wszelką myśl regularnego obioru. Taką właśnie nosi cechę dynastja Merowingów.

(d. c. n.)

K R Y T Y K A.

GAWĘDA

KRYTYKO-LITERACKA.

(Estetyka, Libelta; Artykuły literacko-krytyczne nowe, M. Grabowskiego; Felicjta, A. E. Odyńca; Hersylja, Ewy Felińskiej; Pamiętniki umysłowe, przez Jana ze Śliwina).

Pamiętam, szanowny nasz nauczyciel literatury D. S. powtarzał nam kończącym szkoły, zdanie Jana Kochanowskiego: „Ten pan zdaniem mojem,—kto przestał na swoim.”—Ale ja wówczas, mówił do nas Pan Tomasz kiedyśmy zebrali się w jego ogrodzie wieczorem — ani teraz tego zdania całkiem nie podzielałem i nie podzielał. Bo żeby przestać na swoim, trzeba mieć dosyć tego swego — a najwięcej trzeba mieć własnego doświadczenia. Dziś ja mogę przestać na swoim—i pojmuję co to jest — przestać na swoim — bom wiele doświadczył borukając się z okolicznościami—i mam siakie takie własne zdanie i sąd, z doświadczenia własnego nabyte. Ale młodemu chłopcu, który nie wie gdzie podziać zbytek sił młodzieńczych, które mu ciągle szepczą na ucho, że z niemi może cały świat zwalczyć — jak takiemu chłopcu, dziecku, pojąć i uwierzyć, że trzeba przestać na swoim małym, żeby być prawdziwie spokojnym i szczęśliwym?..

A później co byłoby z człowiekiem i ze światem, gdyby począł przestając na swoim, siedzieć z założonemi rękami, i karmić się tylko niebieskimi migdały! Pono nie byłby człowiek człowiekiem, a świat światem.

My np. przestając na swoim, przestalibyśmy w literaturze na literaturze i krytyce Mauryczego M., M. Grabowskiego i innych, ale nie mielibyśmy estetyki szanownego Libelta.

I tu, moi łaskawi czytelnicy, poczęła się gawęda o pismach najnowszych—którą, jako woryginalie dość długą, pozwalam sobie treściwie skrócić. Nie zdania téj gawędy przez to nie tracą, a owszem wygrają, i czytelnicy—pozbywszy się nudoty, bez której przy czytaniu pism, prawie obejść się nie można. Niech przeto Pan Tomasz sam mówi, bo téż zdania drugich nie były bardzo różne od jego sądu, a my łaskawie raczmy go posłuchać.

„Z prawdziwą rokoszą czytałem i czytam *Estetykę* czyli *Umnictwo piękne*, Libelta. Znajoma mi tylko część ogólna, czyli sama filozofia sztuk pięknych. Autor uczeń Hegla i w ogóle idealista, jak zwykliśmy pojmować Niemców z ich transcendentalizmem i idealizmem, posunął umnictwo polskie daleko jednak wyżej, wyświecił je i uwydatnił dla nas swą analizą i upostaciowaniem pierwiastków umysłu ludzkiego, który podobało się autorowi nazywać *wyobraźnią*, i która u niego jest potęgą ducha ludzkiego nie pojedynczą i podrzędną, lecz składową, samodzielną i twórczą. Dlatego nie poszedł całkiem za swym nauczycielem Heglem, że — „odślaniały się mu w sztuce coraz wyższe potęgi wyobraźni, a nie widział ich w duchu Heglowskim, którego istotą jest samo myślenie. Nie widziałem powiada, podobieństwa, aby z filozofji czystego myślenia, której absolutem jest idea, przejść można do upostaciowania sztuki. System estetyki Hegla wydał mi się dla tego myśleniem o sztuce, ale nie umiejętnością sztuki,—bo gdy sztuka jest tworzeniem, jakże zbudować

umiejętność tworzenia, nie wychodząc z zasady téj siły ducha, która tworzy?..“ Dlatego wziął się Libelt za badanie sił twórczości ducha (wyobraźni). Rezultatem tych badań będzie *filozofja wyobraźni*, którą następne tomy filozofji i krytyki obejmą.

Wykład filozofji zaczął od estetyki, dlatego, że nieprzyzwyczajonych do wzierania myślą w myśl, duchem w ducha, co robi logika, nie łatwo przynęcić do zamiłowania filozofji. — Zaczął więc od estetyki, filozofji sztuk pięknych, filozofji zastosowanėj; bo: „jak miłym jest oczom naszym świat, dla tego że piękny, tak i miłą stanie się nam filozofja, gdy ją dopatrzymy w arcydziełach sztuki.“

Daléj we wstępie powiada, że niéma zamiaru stosować systemu jakiegóś filozofji do sztuk pięknych, ale ze sztuk pięknych będzie wysnuwał filozofję, a kładąc za zasadę filozofji, że jéj przedmiotem jest poznanie Boga we wszystkich objawieniach mądrości i myśli jego, będzie tam mógł wszędzie filozofją rozwijać, gdzie się myśl Boska sama rozwinęła i rozwija, czyli gdzie się objawiła i objawia. A zastanawiając się ile ta myśl boska rozwinęła się i objawia w sztukach pięknych, rozważa następnie:— 1) Stanowisko człowieka do sztuki; 2) Stanowisko sztuki do natury; 3) Stanowisko sztuki do Boga. I trzy te właśnie pytania, stanowią ogólną część estetyki Libelta.

Główną zasadą i źródłem sztuki, kładzie natchnienie czyli objawienie artystcie od Boga. Dróg objawienia sprawiedliwie naznacza trzy. Serce (religia), rozum (umiejętność), i wyobraźnia (sztuki piękne). Ale daléj powiada: „Ni rozum, ni serce utworzyć coś zdolne, mimo że dotąd albo jednemu albo drugiemu przypisywano jedyną siłę twórczą, mimo że panowanie rozumu (u niemców) stało się wszechwładne. Dziedziny myśli i czucia są wielkimi potęgami ducha ludzkiego, ale potęgami są jednostronnemi, i dlatego z twórczości, z czynu są obrane.

Potęgą twórczą jest u nas wyobraźnia, stanowiąca jedność umysłowych wrażeń i umysłowej wiedzy, łącznik uczucia i myśli. Tę wyobraźnię jako potęgę samodzielną i składową, rozdziela na *imaginację* czyli siłę przyjmowania wrażeń obrazów ze zmysłowego świata i reprodukcji tych wrażeń na zewnątrz, i *fantazję* siłę wyższą, która przyjmuje wrażenia wewnątrz ducha rodzące się i je na zewnątrz uzmysławia. Dlatego fantazja jest potęgą twórczą. Ale jeszcze ani imaginacja ani fantazja same nie stworzyć nie mogą, bez natchnienia, czyli styczności bezpośredniej ducha nieskończonego Boga z naszym duchem, także pochodzenia boskiego. Natchnienie, jest to czysty związek ducha ludzkiego z Bogiem, i ono to siłę twórczą wyobraźni wywołuje w nas. Imaginacji więc będzie materiałem świat cały zewnętrzny, fantazji świat ducha, nieskończoność bóstwa, duch w najwyższych swych doskonałościach, czyli ideały. A natchnienie odbuduje nową filozofję, filozofję nie jeno materji ani idei, ale filozofję twórczą, filozofję czynu.

Libelt twierdzi, że celem sztuki jest piękność, jest sama sztuka a nie użyteczność. I tu zarzuca wszystkim co zgodnie z Laménais, chcą sztukę zrobić i piękną i pożyteczną.

I ja powiem, że inaczej być nie może. Ta cała różnica sądu idealistów i Libelta z Laménais i ludźmi rzeczywistości, pochodzi z różnicy pojmowania użyteczności. Jeśli będziemy użytecznym nazywać tylko kawał chleba, pieczeni, odzież i t. p. materialne rzeczy, wówczas Libelt ma rację. Ale gdy użyteczność rozciągniem do korzyści moralnych i duchowych, a co jest i powinno być nieinaczej, wówczas każdy utwór sztuki, każde prawdziwe arcydzieło piękna, będzie tém pożyteczniejsze im doskonalsze, bo albo zadziwi, albo zachwyci, albo nauczy i moralnie podniesie i uszlachetni ducha ludzkiego, rozważającego taki utwór natury czy sztuki. Niéma więc

piękna bez rzeczywistego pożytku; i sztuka, co zechce być jeno dla siebie, a odłączać się od rzeczywistego, społecznego świata, będzie nie sztuką a sztuczką; nie nauką, a zabawką.

Pierwsza, najwyższa zasada piękności świata zmysłowego i ducha, a z ich rzeczywistego świata, jest miłość, miłość ogólna. Taż miłość właśnie jest zasadą główną i użyteczności. Jedno bez drugiego być nie może. Rozmaite więc są stopnie i rozmaite rodzaje użyteczności, jak również piękna. Piękno i użyteczność, jest to jedno i to samo. Dla tego prawdziwy artystyczny utwór jeśli nie jest pożyteczny, może być szkodliwy, ale nigdy beczelny czyli *dla siebie tylko*. Prawda, że często artysta nie myśli o użyteczności swego utworu gdy tworzy, ale on również w natchnieniu nie myśli i o piękności jego, a te użyteczność i piękność, same prawie się układają do równowagi z artystą, z sobą i ze światem.

Dla tego a nie dla czego innego, sztuka jest wyższa nad utwory naturalne, bo w sztuce objawia się Bóg przez człowieka jedyną i najwyższą skarbnicą miłości prawdziwej, boskiej. Tu można dodać i przyczynę przez Libelta podaną, wyższości sztuki nad przyrodę o tyle, o ile człowiek jest wyższym od każdego w szczególności tworu natury, bo w nim duch działa o wiedzy swojej, nie zaś jak natura robi zaledwo tylko instynktowie. Bóg przeto tworząc jak przez naturę niemającą samowiedzy, tak przez natchnionego boskością człowieka, wydaje przez tegoż człowieka utwór *sztuki* wyższy, niż obrazy i tworzy jeno pod prawami konieczności zostającej natury.

W trzecim rozdziale w stosunku sztuki do Boga, szanowny Libelt stawia sztukę na równi z religją i filozofją. Wyróżniają się tém jedynie, że każda z nich osobną przedstawia drogę poznania i pojawu ducha. Wyjaśnia autor stosunek sztuk do religji i filozofji, nareszcie wyklada systemsztuk pięknych. I tu nie poszedł za Heglem ani za La-

menais, a sam podzielił, stosownie do swego rozumienia wyobraźni, sztuki piękne na plastyczne: architektura, snycerstwo i malarstwo; na idealne: muzyka, poezja i wymowa;—i sztuki życia rzeczywistego, t. j. 1) idealizowanie natury: ogrodnictwo, strój, ozdobność czyli upiększenie życia przez połączenie przemysłu i sztuk pięknych. 2) wychowanie estetyczne człowieka: (gymnastyka czyli ukształcenie estetyczne ciała, pięknoznawstwo czyli wykształcenie estetyczne ducha, i dramaturgja, czyli wykształcenie estetyczne życia); i nakoniec 3) idealizacja społeczności: (kult religijny, polityczny i narodowy).

Ostatni najdłuższy i zdaje się najulubieńszy przedmiot u Libelta jest: potęgi estetyczne ducha. Dzieli je, rozbięra analitycznie i z prawdziwem zamiłowaniem, jak matka w swém dziecku, rozpatruje się w tym podziale. — Dzieli te potęgi na: zmysły estetyczne, wyobraźnię estetyczną i umysł estetyczny. Wyobraźnia znowu u niego rozpada się na *imaginację*: (imaginację czysto bierną, pamięć i imaginację dopełniającą); *fantazję*: (fantazję przedmiotową twórczą, reprodukującą i dopełniającą). Umysł estetyczny rozdwaja na talent i gienjusz estetyczny. *Talent*, jako z przymiotem tylko rozumu zmysłowego, (Trętowskiego zwykły rozum) i jednéj imaginacji, dzieli dla tego na talent estetyczny bierny, reprodukujący i zbiorowy, i przeprowadza talent przez wszystkie rodzaje sztuki. Tu sprawiedliwie zalicza wszystkich tłumaczy, naśladowców, przerabiaczów i samych krytyków. Krytyk nie tworzy, a rozkłada, uzmysławia ducha utworu sztuki dla drugich, i pokazuje w szczegółach i całości piękną formę i piękną treść sztuki dla drugich, i złą. Krytyk powinien popularyzować sztukę, wyjaśniając przyczyny jej zalet i wad. *Gienjusz* z własnością twórczej fantazji i imaginacji czyli prawdziwej Libelta wyobraźni

i rozumu umysłowego, dzieli na gienjusz: żeńskie, ogniste i męskie, — i objaśnia je.

Według Libelta, ludzie co piękna bez użytku pojąć nie mogą, (mówi to, panie Bartłomieju wprost do nas), należą zaledwo do talentów; to jest ludzi umysłowych, do wyższych krain ducha wznieść się nie mogących. Nie wiem jak ty, ale co ja, i z tegom kontent; bo Libelt nie odmawia takim ludziom pożyteczności dla społeczeństwa, choć liczy do rzędu bardzo podrzędnych istot — istot materjalizmu. Nie przeczę, że bardzo często tak bywa, lecz bywa i inaczej, a to inaczej pochodzi z rozmaitego i odmiennego zapatrywania się na użyteczność, jej rodzaje i stopnie.

Szanowny Libelt wiele oświecił mój umysł, wiele szczegółów pokazał dowodnie i objaśnił, choć i nieprzekonał całkiem, że sztuka powinna być tylko dla sztuki, a nie dla rzeczywistych potrzeb życia istotnego ludzi. Jego estetyka przeto nie tylko drogim jest nabytkiem w naszej filozofii ogólnej i sztuk pięknych, której dotąd prawie nie mieliśmy, ale jest dziełem swego wieku, dziełem Europejskiem. Przyganiacze zarzucać mogą rozwlekłość i osobną a bezpotrzebną nomenklaturę, naprzykład wyobraźni, na której nazwanie jest u nas twórczość, fantazja twórcza, umysł, — ale te zarzuty będą nie zarzuty. A lepiej będzie podziękować szanownemu Libeltowi i u niego pouczyć się. A mniemam, że od niego wszystkim nam można się wiele dowiedzieć, swoje własne lub dawniej nabyte wiadomości jaśniej uporządkować. Dla tego i styl, acz trochę niemiecki, ale jasny, polski i prawie potoczny. — Jeśliby za co można przyczepić się do szacownego Libelta, to chyba za to, że pozwolił tak niegodziwie wydrukować swe dzieło, jak to zrobił Kamieński. Omyłek drukarskich mnóstwo, i każda kartka osobno. Nieoprawiwszy, czytać prawie nie można. Nie rozminął się Libelt z prawdą i religią, której nasi tygodni-

kowi religjanci, zarzucają brak w filozofji poznańskiej. Libelt i sam pokazuje niezbyt wiele stosunku z głową téj filozofji B. Fr., ale jój nie potępia. Może być, że sam acz idealista, to jest, że chce widzieć i rzeczywistość tylko idealną, a nie widzi idealu w rzeczywistości dzisiejszój; np. głębiej od innych pojął filozofję rzeczywistości. Téj zaś zadaniem główném jest, rozwinąć całą istotę człowieka ze zmysłowój i duchowój strony, do najwyższój potęgi rozwinąć, ale zawsze w pełnój harmonji, żeby nie było nadto ani zmysłowości, ani nadto idealizmu w tym rozwoju, a był czysty, prawdziwy człowiek. Takiego człowieka utwory będą w każdym względzie utworami prawdziwój sztuki, lecz nie rozminą się z życiem rzeczywistém, prawdziwie praktyczném. — To właśnie zdrowa krytyka powinna mieć na głównym celu.

Co dalsze tomy analityki estetycznej Libelta pokażą? zobaczymy. Libelta i to byłoby wielką zasługą, że jest wszechstronny bardziej niż nasi estetycy, np. historyczności tylko i religijności arystokratyczni.

Nowy tom artykułów M. Grabowskiego o literaturze i sztukach, jest prawie poświęcony jednemu malarstwu. Jest to zbiór zdań i odezw o sztuce malarstwa u nas, nie tylko samego Grabowskiego, ale i jego korespondentów: Szemesza, jakiegoś Anonima, Ziemięckiój, Kraszewskiego i Smokowskiego. Zamiary i chęci Grabowskiego są prawdziwie patryotyczne, acz zawsze z arystokratycznej tylko strony. Malarstwo szczególnie jest sztuką dla arystokratów. Arystokraci ją wspierają, pielęgnują i starają się rozwinąć, a mianowicie malarstwo historyczne. Sprawiedliwe postrzeżenie, że malarstwa narodowego u nas dotąd niéma, że ono koniecznie powinno być, ale będzie wówczas, gdy zmysł estetyczny malarski rozwinie się w naszym narodzie, a rozwinie się już rychło i zapewne niespodzianie, jak zjawiała się u nas poezja swojska i filozofja.

Ostatniego zjawienia Grabowski i inni nie uznają. — Nie uznają, bo u każdego swój gust i chęć i nadmiar albo brak klepki jakiegś w głowie. Nie mówię, żeby koniecznie ta niekształtność była w ich głowie a nie w mojej; na przykład, bardzo być może, że ja i do mnie podobni, mylim się; tylko niema komu dowodnie przekonać nas o tém. Przynajmniej ja z méj strony przypuszczam, że mogą się mylić, a tygodnikarze są zawsze bezmylni, nie mogąc wzajem dotąd jeszcze nachwalić się i nakomplementować.

Grabowski sam nie jest artystą malarzem, ale tomik ten przezeń wydany o malarstwie, dosyć zawiera uwag praktycznych o artyzmie malarstwa. Uwagi o szkole włoskiej zmysłowo-idealnej, także są dobre.

Na religijności i wierze, które Grabowski za główną naszój epoki stanowi zasadę wszystkich utworów filozofji i sztuki, pobudował szanowny A. E. Odyńiec swą *Felicytę czyli męczenników kartagińskich*. Nie jest to drama, a jest poemat dramatyczny. Takie poemata może pisać tylko pisarz już dojrzały, skończony, co przeżył wiele przemian i teorii filozofizmu swego ducha, i ostatecznie niezadowolniony na prawdzie i filozoficzności jednego swego rozumu, przestał weni wcale wierzyć, a przylepił się ostatecznie do świata uczuć, religji choćby z mistyką i pietyzmem.

Takie zarzuty mogą czynić Odyńcowi młodzi filozofowie, a osobliwie filozofujący tylko na powadze filozofji idei albo rzeczywistego materializmu; ale starsi, doświadczeńsi, osądzą Odyńca sprawiedliwiej i przychylniej. Stanowisko Odyńca w Felicycie, jest religijne, przeto niemcom protestantom tylko, a nie nam katolikom można analizować i nicować taką zasadę. Lepiej spojrzeć na wykonanie. Z tego względu Felicyta nie grzeszy przeciwko historji, nie grzeszy przeciwko charakterystyce

osób, nie grzeszy nawet formą swą dramatyczną, nie grzeszy w ostatku myślami i zdaniem szczegółów; jak na przykład odpowiedzi i monologi starego Satur. Satur ma rację z wielu względów. Jeśli ofiara z siebie i poświęcenie się, niema za cel prawdę czystą i istotną obywatelską cnotę, a tylko chętkę pokazania się, jest nie tylko niecnotą, a występkiem. Felicyta przeto jest nowy dodatek do poetycznych utworów w naszej literaturze religijno - petycznej, — jak Hołowińskiego, Zalewskiego Bohdana, Witwickiego i odpowiada u nas Męczennikom Szatobryjana.

Czy jest ona prawdziwą poezją treści, czy wykonania? to jest, formy? czy obojga? To ważne pytanie.

— Właśnie — i ja o tém myślałem, odezwał się pan Bartłomiej.

— Co do mnie, jeśli wam chce się słyszeć me zdanie, mówił dalej p. Tomasz — powiem, że tylko jedna idea — jedna treść w Felicycie jest poetyczna: natechnienie, extazja umrzeć chętnie z błogosławieństwem w sercu i na ustach, z błogosławieństwem swych katów ale zawsze braci — ludzi — umrzeć za miłość prawdy.

Z téjże saméj prawie zasady, to jest z uczucia religii i prosto uczucia, wyszła powieść obyczajowa pani Ewy Felińskiej, *Hersylja*. O téj powieści można mówić albo długo analizując jęj zalety, prawdę i niektóre usterki a raczěj niedopisania i niewyjaśnienia, albo po prostu i krótko powiedzieć, że powieść obyczajów naszych z lat Napoleona, jest dobra w każdym niemal względzie.

Tu zaszła mała sprzeczka między panią Bartłomiejową i panem Tomaszem. Pani Bartłomiejowa nie chciała widzieć najmniejszego niedostatku w téj powieści, a pan Tomasz widział, lecz nie powtarzając téj sprzeczki, bo mało mam czasu, powtarzam tylko zdanie p. Tomasza, z którym i jego przeciwniczka zgodziła się późniěj.

Ta powieść zostanie w liczbie naszych niewiele powieści. Autorka jej — kobieta, dla tego powieść osnuta więcej na uczuciu. I najlepiej pani Felińska postąpiła, nie wzięwszy się nie za swoje. Takie powieści mogą się udawać kobiecym piórom. Charaktery mężczyzn ówczesnych jakie są w powieści — prawdziwe, tylko jak charakter prawdziwego mężczyzny, wiecznego mężczyzny, co pomimo różności wieku i oświaty czasu, zawsze jest mężczyzną, — znizony jest, skrzywdzony. Felińskiej wszyscy mężczyźni są słabi. Może w drugiej powieści to naprawi.

Co do niedopisania i niewyjaśnienia, jak rzekłem, to stosuje się do przejścia Hersylji z chrześcianki wierzącej i bogobojnej, do bezwiary. Ono zbyt łatwe jest i prędkie, i ogólnie rzucone. Kobieta młoda jak Hersylja, pod pieczę i miłością bogobojnej babki wychowana, namowom sofistycznym najukochańszego i najwięcej szanowanego mężczyzny tak łatwo by nie uległa — a ona uległa bezpowrotnie. Onaby zachwiała się tylko, stała się obojętniejszą, ale dla opamiętania się i nawrócenia chrześcijańskiego, nie potrzeba byłoby dla niej wszystkich scen tych religji, nieporuszających i poetycznie wzniosłych, jakimi Felińska samobójstwo Hersylji otoczyła. Tu wiele przesady, czyli grzeczniej mówiąc, niedopisania. Hersylja Felińskiej była takim sposobem prawdziwie nieszczęśliwą córką, istotą zgoła bierną i bez energii i mocy ducha w sobie, a takimi autorka ją kilka razy uposażyła.

Kobiece charaktery lepiej wykonane, prócz skarbnikowej i jej Karolki. Ich postęпки ogólnie dość opowiedziane.

Felińskiej powieść, jestto romans zeszkicowany. Każdej kobiecie czytać ją można, a mianowicie radziłbym wczytywać się w dziennik Hersylji.

Towarzyskie sceny wszędzie naturalne. Właśnie tu widzieć oko autora-kobiety, co widzi drobnostki i szczegóły.

Styl pani Felińskiej jest Śniadeckiego— nie powieściowy. Osoby tak mówiące jak pisze Felińska, nazywało się pierwój, że mówiły i tłumaczyły się *poprawnie*. Dziś taka okrągłość okresów, zaczynająca się od *wszakie, jakoż* i t. p., pachnie pedanterją.

Kiedym czytał czas narodzenia się u Hersylji Apolcia, myślałem że autorka rozwinie nam cały stan i przemiany ducha młodej matki. To właśnie kobieta-pisarz i sama matka, mogłaby zrobić. Ale i tu jeno ogólnik zawiódł me nadzieje. Tylko na to pani Felińska może odpowiedzieć sprawiedliwie, że nie wiedziała wprzód o chęciach moich. Jeszcze autorka oddając Oskarowi jako żołnierzowi pierwszeństwo przed innymi mężczyznami, poszła za ogólném zdaniem, że każdy żołnierz jest szlachetniejszy od cywilnego urzędnika i człowieka. To poniekąd sprawiedliwa, ale przyczyny mniejszej szlachetności mężczyzn niezolnierz, trzeba szukać nie w ich wrodzonym charakterze, a w ustawach społecznych, które żołnierza okrywając wszystkimi zaszczytami i przywilejami, obudzają w nim więcej przez to uczuć szlachetnych samorodnych. Dajcie żydowi inne prawo, on przestanie być dzisiejszym mizernym człowiekiem.

Mimo to wszystko, i mimo wyszukane nazwanie, Hersylja jak i Oskar, co maluje obyczaje Napoleońskich czasów u nas, powieść pani Felińskiej jest obyczajowo-uczuciową powieścią dobrą. Więcej pochwał nie trzeba. Ona przemawia często silnie do uczucia czytelnika i porusza go.

W scenach z Rochem Byczko i na imieninach u matki Rogalki, jest dowcip farsowaty. Idealizacji nigdzie niema, a czysta rzeczywistość. To zaleta.

Po tych i innych rzeczach, doszła kolój do *Pamiętników umysłowych* wydanych przez *Jana ze Ślęcina*.

Tych pamiętników, mówił pan Tomasz, jest trzy tomy. Nazwanie dość znaczące złudziło mię je wypisać; ale

należą one na nieszczęście do takich książek, o których nie wiele zostaje w pamięci po przeczytaniu. Główna wada—brak ducha, bo jest to niby książka składowa. Wieleż to u nas tych składowych książek! wiele—ale z nich bardzo—bardzo mało wartujących czegoś.

W pamiętnikach umysłowych artykułiki jak M. Grabowskiego, o Staroście Zakrzewskim; gdzie zdaje się naśladował starego szlacheica litewskiego; powiastki Kuleszy tłómaczone przez Fischę; o moralności przez kogoś; o Izabelli Górskiej; Xiędzu Alojzym Osińskim, pomieszczone w dobrym czasopiśmie, wyglądałyby lepiej; — a tu, nie wielu znajdują czytelników i nie zajmą nikogo.

Najlepszą jest komedyjka Korzeniowskiego „*Fabrykant*„ gdzie namiętność fabrycza w naszym obywatelu skarykaturowana, i według mnie, bezpotrzebnie. Ale sama komedyjka—dobra; to jest, napisana dobrze. W trzecim tomie są urywki z Szylera *Fjeski* i Adama Korsaka *powiatowe mieszaniny* niewprawném piórem jeszcze napisane. Autor nie zobaczył i nie pokazał, prócz wiadomych ogólników. Powiastka Karoliny Swarackiej „*Marzenia i rzeczywistość*“ zawiera myśl prawdziwą i dobrą, ale to jeszcze młode pierwociny.—Autorka, jak każdy młody pisarz i zbyt zakochany w swym utworze, zdolniejsza napisać lepszą przemowę do swój powiastki, niżli powiastkę.

23 Maja 1850 r.

Adolf z pod Bielska.

PODRÓŻE.

LISTY

ZE WSCHODNIEJ SYBERJI.

I.

16 Maja 1850 r. Batej.

Wyjazd z Terebiłówki. Kiedy jechać, więc jechać. I w imię Ojca i Syna i Świętego Ducha — do tarantasa, i ruszaj! — rzekłem.

Dziękuję i jeszcze raz żegnam was kochani moi i do brzy znajomi i znajome wszystkie; żegnam cię Terebiłówko, siedmioletni dobry mój pobycie! Jemszczyk, ruszaj!

Czy wiecie moi panowie co to jest Terebiłówka? Zapewne nie wiecie. Bo nie jest to miasto, nie jest przedmieście, nie jest wieś, nie jest dwór, zaścianek, traktjernia ani klasztor, ani zgoła to, co wam się nawija na myśl. Na żadnej, rozumie się, karcie geograficznej takiego nazwania nie znajdziecie, ani w jeografji choćby na rozmiar Ritterowskiej, pisanój. I nie powiem wam, co jest takiego Terebiłówka, aż chyba potem.

Kłaniają się jeszcze raz znajome główki i głowy z okien, i dalój. Na prawo Jenisej i przewóz.

Proszę was moje kochane, dobre i grzeczne Sasze, Masze, Pole, Fanie i t. d. starsze i młodsze, po coście tu przy-

jechały? i po co wy tu wszyscy moi dobrzy znajomi, a kto wie? może i przyjaciele?... Przeprowadzacie, żegnacie mnie dobrém, najprzychylniejszém słowem i życzeniem, rychłego i szczęśliwego do was powrotu. — Dziękuję wam, z serca dziękuję! Cóżem wam zrobił? przez co zasłużyłem tyle przychylnych waszych względów, tyle żalu i łez, z których połowę odjąwszy na zwykłą grzeźność tylko zimną, jeszcze i tak zostanie mi dosyć, bardzo dosyć prawdziwego waszego żalu, i lzy tajonej i nietajonej? — Nie, tu żarty nie w miejscu. Tu i samemu nie wstyd jest zapłakać, bo kto wie, czy w drugiem miejscu tyle zasłużyysz, mój mości, żalu po sobie i współczucia prawdziwego. Mimo wolnie serce bierze górę nad zimnym, dumnym, obojętnym rozumem, opuszczając takie miejsca; i Bogu dzięki za to, bo inaczej nie bylibyśmy ludźmi.

Nie, ja dzisiaj wesoło, pomimo usilnej chęci, pisać wam, moi dawni znajomi, nie mogę; — bo piszę z natury, z serca prawdy, a nie z wymarzonej jakiejś rozłąki i domniemanej podróży. Gdy rozum po staremu weźmie przewagę nad uczuciem, wówczas niech kieruje mój piórem, jak mu się podoba.

Dzisiaj mi nie wesoło, bardzo nie wesoło. Prawda że jest bardzo prozaiczna tego przyczyna: przyszłość gorsza od przeszłości; — ale gdyby i tak nie było, byłoby nie wesoło rozstawać się z tém miejscem i ludźmi, gdzieśmy mieli więcej dobrego jak złego, gdzieśmy więcej doznali może wdzięczności, niżesmy w rzeczy samej zasłużyli, choć samolubstwo, to najgłupsze stworzenie na białym świecie, krzywi się na takie uniarkowane i jak mówią skromne ocenianie się. — Lecz, oh! wiemy już dosyć, cośmy warci w rzeczy samej, co możemy, a czego nie możemy.

Siedm lat pobytu na jedném miejscu, mniej więcej z jednymi ludźmi, wiele znaczy. W siedm lat i bez tych wszystkich okoliczności, ludzka natura inną postać przybiera,

umysł dojrzeje, ciało rozwija się, słowem, całe życie człowieka odmienia się. A dołączmy do tego przyzwyczajenie się do miejsca, ludzi i zajęcia się, poznanie tych ludzi na wskroś i cenieńie ich sprawiedliwe, i cenieńie wzajem siebie przez nich bardzo dla cię pochwalne,— oh! moi Panowie, powtarzam, bardzo niedziw, że poczynam z wami listować dość niewesoło.

Dobry i kochany Mikołaj L. nie przestał na pożegnaniu mię nad Jenissejem. Wszedł na karbas z nowemi podarkami swęj żony dla męj podróży, z dubeltówką, i rozumie się z tym niegodziwym szampanem. Nie mogłem go zwrócić nazad. Popłynęliśmy. Wystrzelił dwakroć na odjazd. I pomimo wiatr zimny, przeszywający — długo — długo wszyscy i wszystkie stały przeprowadzając nas oczyma.

A ty mój szanowny Niemcze, czego dłużej ze swemi biegowemi drożkami stoisz i nie wracasz do miasta?.. odpłynęliśmy dwie wiorsty, a ty stoisz, i moje podjęcie czapki stojącego na pokładzie, natychmiast dolatuje twych oczu śledczych, i żegnasz znowu i długo żegnasz mię wywijaniem w powietrzu swego kapelusza.

Nieprawdaż, moi Panowie, że to głupi i cikliwy sentymentalizm?... ale ja dzisiaj wolę być tym głupcem bo innym być niemogę. Obym, choć raz w życiu swém, jeszcze mógł zasłużyć na takiego głupca i widzieć w koło siebie tyle i tylu rozmaitych niewesołych, niedowcipkujących głupców a nawet płaczących. Bo o was, moje dobre, kochane, głupiutkie płaksnice, niema co tu i mówić. Wam przypisują tak wielką łatwość płaczu przy każdej okoliczności, że wasze łzy nie rozróżniają od zwykłej wody. Ależ wy starce i młodzi, pocóż wam płakać i mię samego rozrzewniać? bo dalipan jestem gotów najgłupiej zapłakać. Boże mój! Pozwól mi na przyszłość, gdy nie lepij, to choć tak zostać głupim, i zasłużyć u dobrych ludzi na taką głupotę.

Gdy jeszcze widzisz swych znajomych dobrych, nieczujesz żadnej tęsknoty i żalu, bo ich oblicza pełne dla ciebie współczucia, nie pozwalają rozczarować się, że wkrótce zostaniesz sam jeden i wszystko twoje dobre a przeszłe, już z tą chwilą przeszło, i oby, oby, nie na zawsze! Ale, gdy zostaniesz sam już i spojrzysz po za siebie i przed siebie w przyszłość, — żal, żal, wiercie mi Panowie, nieodegnany żal zakwateruje w twój duszy. Trzeba być rozjątrzoną na ludzi, bardzo niemi gardzić, żeby obojętnym być, i po Bajrońsku przyśpiwywać:

„Pocóż mam płakać, za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze.“

Inaczey od żalósnej tęsknoty nie uchronisz się, i nie nadstawisz żadnym najweselszym dowcipem. — Nie wesoło, głowa niewyspana, ciężka i późno już; — pora spać, a może na inny ton przemieni się i duch mój dzisiejszy.

17 Maja, Kuskun.

Suchy klimat Syberji, i nie pracowita robota u rolników. — Dzisiaj 25 wiorst tylko zrobiliśmy. Bezdróż po czarnoziemie teraz taka, jak bywa w marcu i październiku, chyba na Ukrainie i Podolu: ale tu nie długo trwa. Wiatr suchy, jeden i drugi dzień pogodny, naprawują drogę lepiej i prędzey od wszystkich najuczepniejszych inżynierów. Z tego względu cały niemal Syber szczęśliwy. Mało w nim jest miejsc prawdziwie i długo błotnistych, dlatego, że tu niema prawie jesieni ani wiosny. Zawsze tu można liczyć ośm miesięcy zimy suchej bez odwilży, i cztery miesiące lata. Między latem i zimą, można jakkolwiek rachować po dwa tygodnie na błotniste, jesień i wiosnę. Dlategoż obrabianie gruntu tu i zbiór z pól i sianożęci, daleko mniej utrudzający i kłopotliwy, niż w Europie. Trawę należy tylko skosić i w pokosach zostawić na parę dni Sybirskiego suchego wiatru i dopie-

kliwego słońca; i siano gotowe. Na stepach nie wiele nawet jego trzeba. Nagłe zmiany i przechody z lata do zimy, nie zgnajają, lecz wysuszają ogromną trawę, i ta przez całą zimę leżąc pod śniegiem, jest nic innego, jak czyste, naturalne siano.

Tak samo tu dzieje się ze wszystkimi produktami jadalnymi i niejadalnymi. Mięso zagotowują jesienią z pojawieniem się dobrych pierwszych przymrozków, co bywa około pierwszego października, czasem później, i mięso świeże najlepsze, leży do samej Wielkanocy i dalej nawet, gdy zimą oblane wodą i zamrożone złożą się w lodowni. Trocha tylko łoju z niego wymarza. Jajka i mleko również zamrażają.

Stodół tu weale nie potrzeba. Zżęte czy skoszone zboże, postoi na wietrze, wyschnie, składa się w sterty, młóci się na umarzlą ziemi lub na lodzie jak na klepisku, i przez całą zimę bez odwilży w całości jak ziarno tak słoma, niezsypnięta zostają. Ziarno jeszcze dla większej pewności natychmiast w młynkach mielą, a mąka w workach choć zamoknie, to zewnątrz uformowany kłajster, ochrania część jej większą wewnętrzną od zgnicia. Słoma tu niezbyt nawet potrzebna. Bydło, konie i owce karmią sianem, a słoma idzie tylko na rąbanek czyli sieczkę (gdyż rąbią w korytach a nie w rzezakach, raczej ładach rzną), którą osypują mąką i w braku owsa karmią konie a mianowicie krowy, słomą podścielają bydło. Wszystkie dachy we wsiach z dranic lub tarcie, a tylko dachy chlewów, zwykle bez krokwi, przykrywają się słomą dla ciepła. I obory, a sprawiedliwiej chłewy dla bydła, są tu niskie, aby cieplejsze były. Zresztą i bydło wszelkiego rodzaju, tu mrozu nie zbyt boi się jak i ludzie.

Sybirak i każdy północny mieszkaniec lubi zimno. — Sybirakowi mróz potrzebny. To jego żywioł. Jakkolwiek

mrozy bywają tu silne i długie, bo po 30 stopni Reaumura, trwają po kilka tygodni ciągle, lecz przypadków zamarznąć bywa mało, i to chyba pjanego. Tylko skóra na twarzy i rękach czasem pobieleje. Sybiracy umieją stosownie do klimatu, i mają się w co, odziéwać. Mróz na stopni 12 i 18, dla Sybiraka nie znaczy. W takie dni baby i dzieci uwinawszy się w kozuchy, wychodzą ze swych chat ciepłych i zwykle czadnych, gdyż zwykle z czadem, aby cieplej było, zamykają kominy i siedzą na mrozie; chłopcy przewalają się po śniegu, borukają się, jeżdżą na saneczkach aby podyszczyć czystém, suchém i świeżem powietrzem. Sybirski mieszkaniec potrzebuje instynktowie zimnego powietrza. Klimat zimny nagli go do obfitszego i sytniejszego jedzenia. Sybirak ma też co jeść, a postępując zwyczajem ludzkim, je więcéj nawet jak potrzebuje klimat; czuje przesyty, jemu duszno od wielości nieoczyszczonej kwasorodem krwi, i wychodzi na mróz, spalić kwasorodem mroźnego powietrza, nadmiar węgla w swojej krwi. I mrozy sybirskie, byle bez zbyt elektrycznych wiatrów, nie są tak srogie i dojmujące zimą jak w Europie zachodniej. Sybirak rychło do nich przyzwyczaja się. Tu 15 stopni zimna to samo, co w naszych zachodnich gubernjach pięć.

Sybirak dość leniwy, gdyż sama natura przyzwyczaja go do lenistwa. Jemu wszystko przychodzi bez wielkiego trudu, całą zimę prawie odpoczywa, chyba jedzie do lasu polować, drzewo rąbać, lub najmuje się dla przewózki obozów kupieckich. Za to przez cztery letnie miesiące pracuje, bo musi. W krótkie lata wszystko razem i nagle trzeba robić. Dla tegoż i święta nie zachowują się tu ściśle. Z lata poszedł przykład i na zimę, bo i zimą Sybirak wylega się w powszedni dzień na swych *polatjach*, a gdy przyjdzie jaka konieczna robota, nie czeka roboczego dnia, a robi wszystko bez skrupułu w święto.

Sybiraczki i umysłowość w Syberji. — Fałszywe u nas pojęcie o téj ziemi. — To samo potrzeba powiedzieć o ko-
biętach. One przywykły do lekkich zarobków i rokoszy.
Jest to jedna z przyczyn ich powszechnéj, jaką im przy-
pisują rozpusty, dodawszy jeszcze do tego przyczynę, —
małą religijność. Mowa tu o klasie niższéj. U Sybiraka
wogóle, religja więcej w głowie jak sercu. Chytry, prze-
myślny i światlejszy jako materialista od Europejskiego
chłopa. Dwóch ostatnich przymiotów jest przyczyną da-
leko większa swoboda Sybiraka, niżli polskiego np. chłó-
pa; Sybirak prawie wolny. Ziemi ma dosyć. Każdy liczą-
cy się gospodarzem może co roku zasiewać 15 dziesięcin.
Lasu ma ile chce, czasu niema gdzie podziać, i choć po-
datki płaci wielkie, lecz za to ma wiele środków je zaspo-
koić i żyć bardzo wygodnie. Chyba tak i pijak jaki nie-
szczęśliwy, wówczas rozumie się, goły. Lecz każdy tu-
tejszy pracowity człek byłby leniwym w naszych zacho-
dnich gubernijach. Jak znowu każdy trochę nawet leni-
wy robotnik polski, wydałby się tu pracowitym.

Jakby na potwierdzenie mych zdań, zdarzyło się tak
dzisiaj, że naznaczona mi kwatery od pięciu lat już nie-
palona, zmusiła mię przejść na drugą, gdzie zajechał urzę-
dnik dla szczególnych poleceń przy Gubernatorze. On jeź-
dząc po Jenisejskiej gubernji wzdłuż i wszerz zimą i la-
tem, poznał się z nią dosyć.

— Jak się Panu podoba Syberja tutejsza? zapytał mię.
I nie czekając odpowiedzi sam począł mi o niej mówić.

— Każdy z nas Polaków i nie Polaków, mieszkając
w kraju rodzinnym, ma najfałszywsze wyobrażenie i po-
jęcie o Syberji, a opisujący w listach, gdy do tego jeszcze
ma trochę żyłki francuzko-dowcipkującej, a zatém prze-
sadno-kłamliwej, kłamie w swych listach opisowych naj-
niewłaściwiej. I my nie widząc sami Syberji, sądząc że
tu jest piekło.

„Często do mnie pisują dawni znajomi, prosząc o Sybirskie futra, a nawet o złoto, bo im nieborakom zawsze wydaje się, że tu soboli tyle co zajęcy, a złota, ile w nerczyńskiem małych akwamarynów i w jakiej błotnistej wsi, blocka. Należy tylko przyjść, zachcieć i nakopać; a nie wiedzą o tém, że w Syberji choć złota wykopią z górą po tysiąc pudów do roku, ale na to złoto oko rządu patrzy bardzo czujnie, i że choć sobole naprzykład w Syberji znajdują się, lecz one tańsze są w Moskwie, jak w ogóle w Syberji. Bo tam hurtem handlujący kupcy, taniiej ich nabywają, i hurtem także zbywają dla przemysłaczy Sybirskich. Prawda, że tu futro gorsze i lepsze, futro sybirskie z niedźwiedzi, soboli, lisów, popielie, wilków, piesców, psów, burunduków, jelonków (*dacha*) i t. d. taniiej można mieć niż gdzie indziej. Ale dla tego trzeba mieszkać w Syberji i skupywać po jednej skórecie długo — lat kilka. Wtenczas ono będzie tańsze, a kto chce od razu mieć, musi często we dwójnasób tyle zapłacić co w Europie. Toż samo i z herbatą. Każdy z nas niemal, nie znając sam Syberji, wyobrażał że to jest mieszkanie niedźwiedzi i ogromny smętarz, lub jak poetowie wyrażają się, że to jest ocean śniegu, i mieszkać ucziwym ludziom zgoła tu nie można. A przecie, chwała Bogu, żyjemy i nie gorzej jak w Europie. Jedna odległość zbytnia od kraju i Europy, jest za przykra dla tego, kto zbyt spokrewnił się z tą Europą, komu nie przez jaki miesiąc i czasem dwa, a zaraz chciałoby się wiedzieć, o czém rozprawiają w Paryżu? dokąd pojechała na przejażdżkę królowa Wiktorja? czém się kończy zagadnienie greckie i rzymskie? i t. p., lub kto nie może wyzdrowieć od nostalgji. — Z resztą bardzo nieźle. Nie wszędzie i nie u wielu, np. 17 maja, są świeże i dobre ogórki, — a chcesz pan, ja go poczęstuję. W Krasnojarsku dano mi kilka ładnych na drogę.

I w istocie kazał człowiekowi przynieść ze swego tarentasa tę nowalję.

„U którego u nas chłop, mówił dalej, znajdzie się zawsze chleb pszeniczny a nawet żytni wysiewany? a tutejszy chłop nazwałby się nieszczęśliwym i biednym, gdyby mu do herbaty i do obiadu, nie było bułek czyli ich *miahklich* lub innych placuszków. U którego u nas chłop zawsze bywa mięso? a spytaj pan naszego gospodarza, wiele on zjada ze swym domem na rok rogatego bydła, ile baranów? ile ptastwa? Zdziwisz się, że tak wiele. Świniny prawie nie używają i do potraw tłustości wołowej, wyjąwszy biedniejszych, a inni masła czysto przetopionego używają. W minusińskim okręgu, Tatarzy i koła swych teleg masłem smarują. U którego u nas chłop jest tak porządny domek jak np. nasza kwatera? I podłoga wymyta, i ławki, i połatki, i ściany czyste i obrazy nie bez złota, i stołki malowane, i stół, i samowar ogromny, i szafka przy piecu z całym rupieciami fajansowych czerepów dla herbaty, i łyżeczki nawet srebrne, a gdy takich niema, pobielane. Sami odzieżują się czysto i elegantują. Ma czterech synów, pięć koni roboczych, z dziesięć krów, stosownie do tego tyleż owiec; zabudowania porządne i dostateczne. On z jednym synem, zasięwiają co rok 10, a może i 15 dziesięcin ziemi; drugi zajmuje się przewózką kupieckich towarów; trzeci idzie na złote *pryiski*. Tu nie widać nędzy, nie widać rozpacz, dla tego mniej i pijaństwa jak u nas. Bo ze zbytku, namiętym pijakiem zostać trudno. Postojów tutaj niema żadnych, prócz domu dla przejazdu urzędników, który najmuje się od ogółu wsi, z całą kuchnią i oświeceniem, a nawet tańszym winem. Sybirak rad czy nie rad gościowi, ale zawsze pokaże swém przyjęciem i ugoszczeniem, że rad mu. Zarobki w kopalniach złota, trocha tutejszych chłopów zepsuły; i tę gościnność zamieniły w zbytne czasami zdzierstwo. Ale to pozwala sobie Sybirak tylko z kupcem i złotokopem lub ich *prykaszczykiem*. Z urzędnikiem tego nie bywa, z nim jest pokorny, acz zawsze swobodny i grzeczny,

i najczęściej pieniędzy za jadło i napój nie bierze. Zdarzający się rozbójnicy, na urzędników nie napadają, bo każdy z nich wie, iż u urzędnika nie znalazłszy wiele pieniędzy, tylko kłopotu się nabawisz, a odzieży i odzienia urzędnika, nikt nie zechce kupić.

Potrawy u Sybiraków wprowadzie nie francuzkiej kuchni i nie niezbyt rozmaite, ale zdrowe i sytne i dla nich bardzo dobre; kapustniak, parzone mięso lub zwierzyna, kasha, pirogi z twarogiem, z mięsem, ołatki, wafle, chróst, francuzkie ciastka i mleko. Dla mnie tego dosyć. Sybirski chłop żyje dobrze. Rozumie się że są wyjątki.

— A nam urzędnikom, zaśmiawszy się dalej mówił— jaki szatan tu!? Jeżeli który skarży się, że mu źle i chce prędzej ztąd wyjechać, zaręczam że to musi być albo fanfaron albo ostatni łotr i faryzeusz, co swe kubany chce pokryć uskarżaniem się na niegodziwą Syberję. Niektórzy mają wymówkę w niedostatku wychowania dzieci. Ale teraz i temu rząd prawie dostatecznie zaradził. Bo w Tomsku i Irkucku są zwykłe Gymnazja dla chłopców, a w Irkucku instytut niegorszy od Europejskich dla dziewcząt. W Krasnojarsku jest tylko szkołka powiatowa i dom dla sierot (*przytul*) bardzo porządnie utrzymany pod nadzorem Gubernatorów.

Wyższy urzędnik tu każdy niebiedny, bo płacę od Rządu pobieranie małą. Niżsi zaś, bardzo biedni, ale to względnie tylko i czasowie. Bo przez kilka lat niezwykła drożyzna wszystkich produktów, którą podnieśli złotokopy swemi kapitałami, złożonemi w rękę komisarzów niezaufających zwykle swych pryncypałów majątku, wcale nieharmonizowała z pensją pobiieraną przez mniejszych urzędników, a każdemu z nich jak równie żonie każdego chce się nietylko żyć nie głodno i nie chłodno, ale elegancko, z komfortem. Nie chce pójść piechotą do swego subseilium, ale jedzie swym pojazdem i koniem, a w braku choć remizą. Widząc, że wyżsi urzędnicy i kupcy dają

obiady i wieczory, ubierają swe żony w atlas, jedwab' i brylanty, nie chce bardzo różnić się od nich, bo u wielu chłopek i mieszczanek nawet żołdatek prostych, są salopy materialne, a już nie mówię o sukniach i chusteczkach na głowę — ba, nawet kapeluszach. Jakże mu przeto nie uczuć się biednym i pauperem?...

Jednakże wszyscy żyją i nietylko z głodu nikt nie umiera, lecz oto po latach kilku pobytu biednego urzędnika na jedném miejscu, znajdzie się u niego to i owo czego za małe pieniądze kupić nie można. Wielu z nich, rozumie się, idzie pod sąd, ale są co służą ucziwie i zawsze są bogatsi od takichże urzędników w Europie.

Polacy w Syberji. — Sybyraczki. — Z naszą młodzieżą z zachodnich gubernji, przybywającą tu na służbę rządową, bywa mi często zabawnie. Każdy z tych Mości panów, tam nie mając chleba dla się z powodu niezdolności i nieuctwa, puszcza się szukać szczęścia w odległej Syberji. Bierze od rządu naprzód wspomóżenie i progony, przyjeżdża i musi to wszystko *odsłużyć*. Ale on jedzie z wielką nadzieją a jeszcze większém rozumieniem o sobie i fanaberją. Odrazu chce się mu być radcą przynajmniej, między Sybirską dziecią! Każdy z nich był w którejsze swych Gubernji przynajmniej sekretarzem, a najmniej pomocnikiem naczelnika stołu, zjawia się tu, — aż Gubernator każe mu być kopjistą, bo nasz domniemany radca nie tylko zwyczajnej kancelarskiej ramoty niemoże napisać, ale nawet pięknym charakterem i bez dziesiątka gramatycznych omyłek, przepisać. I później ci Panowie krzyczą i gniewają się, że ich nieumieją i nie chcą cenić. Ale zaczekaj. Oto, za lat parę, i ten kawaler odziany przyzwoicie, mieszka przystojnie, byle nie był całkowitym osłem i łajdakiem. Pobywszy kopjistą w Radzie, która coś odpowiada gubernatorskiej kancelarji w Europejskich gubernjach, wysyła się według swych zdolności do jakiego powiatowego miasta, a tam już nie przepadnie, a zaczyna obra-

stać w pierze, — stantąd znowu powraca na jakiś urząd wyższy do gubernjalnego miasta, a po latach trzech lub pięciu już tyle jest bogatym, że może wzięwszy urlop jechać swym kosztem z pięć lub sześć tysięcy wiorst i powrócić, gdy nie zostanie w swych stronach.

Spotkałem 12 sybirski bataljon wojsk będących w pochodzie za Bajkał. Obozy dość ogromne; każdy niemal oficer ma porządny tarantasik. Skądże to u nich wszystko? Muszą mieć środki; a u wielu piechotnych oficerów armji, znajdzie się taki tarantas lub bryczka, coby kosztowała 60 lub 100 rubli srebrnych!.. — Nie! — w Syberji źle służyć i mieszkać, dodał z ironicznym uśmiechem; pocieszymy biedę ponczykiem.

A że wymówiłem się od ponczu nieużywaniem go, chciał dostać ze swego tłómoka jakichś innych podróżynek nektarów; i skończyło się na likierze, którego kieliszek sam wypił.

Ci żysiowie, mówił znowu mój urzędnik, co zwykle za kontrabandę około Radziwiłłowa i Rygi, i w ogóle nad granicą, tu zsyłają się, zobacz pan, jak oni tu żyją? każdy *szejne morejne*, a żonki ich *fajn*, w jedwabiach i lisach lub sobolach.

W ogólności sądził o wszystkiém bez uprzedzeń i przesady. Jedno w nim tylko nie prawda, że kobiety chłopki tutejsze, pokazały się mu bardzo nieszpętne i z prześlicznymi oczami; że są między niemi nie szpętne, to nie sekret, lecz żeby były zbyt ładne, to na to się nie zgodzę. Kobięta, żeby mogła nazwać się piękną, potrzeba aby posiadała wiele przymiotów ciała i ducha. Sybiraczki nie szpętne, odzieżają się nie źle, z gustem i bogato, nie głupie; ale niema w nich duszy naszych, nieumilkających szczebiotek i najpowabniejszych kokietek. Sybiraczka będzie rozpustna, zalotna, ale zawsze jej serce i głowa, zimne. Dzieci swe lubi na zimno, najczę-

ścięj nie karmi swą piersią, lecz z różka krwiém mlékkiem; bo karmiąc piersią swą, Sybiraczka nie jest wolną, a jęj chce się stroić, gościć, bałamucić. Wiele dzieci z tęg przy- czyny umiera, mianowicie latem. Dla tegoż i dzieci nie kochają jak powinny swoich rodziców. U Sybiraka wszę- dzie zimny rachunek. Sybiraczki nieszpette, strojne jak prześliczne kwiaty sybirskięj flory, ale bez towarzyskie- go dowcipu i bez wyższęj miłości, jak kwiaty bez wiel- kiego zapachu. Dla tegoż tutejsze wszelkie zgromadze- nia wszystkich klass społeczeństwa są nudne. Podobno że dzisiaj wszędzie także same. Kobięty przez męczyzn nie zbyt są cenione, bo im się podobać nie umieją. Gdy to kobietom tutejszym zarzucam, one bronią się oziębłością i niegrzecznością męczyzn, którzy przenoszą rozmowę z sobą, kięlich i karty, nad towarzystwo kobięce. I nie każda chce się ze mną zgodzić, gdy powiadam, że tęg zbyt poniżają siebie, bo stawiają się w zupełnęg zawisłości i bierności. Jak męczyzna na kobięte, tak kobięta wza- jem na męczyznę powinni działać równo, nie dziezyć się i nie zbywać milczkiem lub ogólnemi słówkami zapytań wzajemnych, żeby towarzystwo mogło być nie ceremon- jalne i ożywione. Gdzie nudno, tam pewno brak umięg- ności żyć — brak dowcipu — a co większa, ciepłęg duszy.

Kochany pan Józef R. powiadał mi nie raz, że z Sybir- skim chłopem rozmowa i towarzystwo, dlań nigdy nie były bez korzyści przemysłowęg. Co to za naród, powia- da, jaki przebiegły i chytry! Nie ma on przemysłowości i wyrachowania niemieckiego i angielskiego, bo ich nie potrzebuje jeszcze, ale ma swoją własną, nie zawsze uczciwą i sumienną, ale swoją chytrą, pokorną, pokryjo- mą, to znowu hardą, — sybirską. I oleju wiele w głowie.

Krasnojarski teatr, kościółek, artyści, naukowość. — Pamiętam mój panie, kiedy będąc jeszcze w gymnazjum mieszkałem w domu, gdzie kwaterował ruski bogaty ofi-

cer i miał zbiórek książek. W liczbie onych był *Telegraf Moskiewski*. Czytałem bez braku wszystko, co mi uczyło i zajmowało. Zdziwiłem się nie pomалу, gdy redaktor M. Polewoj w *Telegrafie* napisał, iż w głębokiej Syberji, w Irkucku, odbywają się kasyna i t. p. zabawy. To było przed dwódziesiąt laty. Z naszych rodaków zaściankowych i prowincjonalistów a nawet stolicowych, zapewne nie jeden zdziwiłby się, gdybym któremu powiedział, że w nie wielkiem miasteczku Krasnojarsku, jest dzisiaj teatr, ale teatr nie taki, jakie wędrują po lichych miasteczkach i grają komedyjki w karczmach i stodółach, lecz teatr, jakiego mi w prowincji nigdzie lepszego nie zdarzyło się widzieć. Dla komedji charakterystycznych i wodewillów, bardzo dostateczna trupa aktorów, ukostiumowanych tak porządnie i rozmaicie, że wymagać więcej nie można. Sama budowa teatru acz czasowa i drewniana, lecz dobrze, wygodnie i z gustem urządzona. Dekoracje bardzo zadowalniające. Muzyka także nie zła. Jeden nawet aktor komik, młody chłopiec Gregorjew, z prawdziwym talentem; rozumiem przez talent, trochę więcej jak powszednią zdolność. Kobięty dwie śpiewają nieźle, grają dość dobrze, a ubierają się wybornie. Cena miejsc niezbyt dla Syberji droga, półtora rubla sr. za krzesło, a pięć za łożę; dla tegoż teatr zawsze pełen. Byłem na sześciu przedstawieniach. Każdą razą antreprenier (notabene warszawski żyd, sam nie gra, lecz tylko córka), zebrał około 500 rub. sr. I nie myśl pan, że tam w Krasnojarsku jak w ogóle w Syberji, niema znawców i zdrowych krytyków. Tu ludzi światłych, widzących dość świata, jest nie mało. Każdego artystę, których ostatniemi laty dobra popłatność tak wielu znegca do Syberji, oceniają tu należycie. Nie zasypiają go głupiem i bezzasadnemi oklaski i pochwały, choć najgościniej go przyjmują i opłacają pieniędzmi. Przy mnie najlepszy ze skrzypaków był Antoni Parys, a po nim panna Ottavo, z forte-

pjanistów Puczjo i wiolonczelistka Chrystjani. Jedna z tych artystek pokazywała mi swe album czyli sztambuch. Mocno się uśmiełem i gorzko się uśmiełem z tego sztambucha. Artystka była długo w naszych prowincjach i polubiła polaków. I ci panowie — ach! i panie, prawda że ładne, ale jakże mi pokazały się nieskromne swą wystawą na sprzedaż prawie! Bo przecież wiadomo im było, że artystka latając po świecie, każdemu ze swym sztambuchem pochwali się prosząc o zapisanie się weni. Gdybyż to tylko. Ale to portrety i silwety mężczyzn i kobiet; ich listy i pochwały artystce i rozumie się sobie często złą francuszczyzną, to już wcale nie dowodzi przyzwoitej skromności, lecz pustoty, i to najartystyczniejszej pustoty!! Zresztą jak tym hrabinom i księżnom pozbyć się francuszczyzny, gdy pan M. Grabowski, nie może się nie podpierać całemi frazami francuzkami.

Skoczkowie, akrobaci i t. d. bywają często. I teraz zostawiłem trupę w Krasnojarsku, która bawi miasto kuglarstwem, konną gimnastyką, chodzeniem po linie na wysokości ośmiu sążni, fejerwerkami. Wszystko to bardzo zręcznie.

Z malarzy przybył teraz Polak M., ale zły czy dobry? tego jeszcze nie wiem. Zapewne on cokolwiek wypracuje dla Krasnojarskiej kaplicy, bo ona zbyt uboga we wszystko, a mianowicie w samą budowę. Nawet parafjan w samém mieście niewiele, osób sześćdziesiąt niewięcej. Ale za to można zbudować się z ich pobożności. Młodzi i starsi przykładnie bywają we święto w kaplicy, i rozumie się niema tych zwykłych i głupowatych szeptów i sowizdrzań się, na które po większych miastach potrzeba Szwajcara z halabardą, lub dziada z tabliczką, pokazującą każdemu: „że, dom mój, dom modlitwy.” Zresztą, to jest przywilej wszystkich małych nie w kraju kościołków, że do nich ludzie przychodzą modlić się, a nie widzieć się i romansować. Służy księdzu do mszy który bądź z młod-

szych urzędników, lub żołnierz umiejący ministranturę. Msza czytana, bo organów ani organisty w kaplicy niema.

Teraz przy kościele poczęła się formować mała biblioteczka książek polskich z lepszych pisarzy. Ruskich książek został zbiorek od złotokopów przy Bibliotece miejskiej.

Xiądz raz w rok za wydane z *kaziennoy Pałaty* progonny, objeżdża całą gubernję złożoną z pięciu powiatów, szukając swych owieczek. W Turuchańsku tylko nie bywa, bo niema poco. Tutejsi Sybirscy xięża polacy, znając Syberję dobrze, mogliby ją opisać pod wielą względami. Ale żadnego niema ku temu ochotnika. Opowiadają wiele rozmaitych rzeczy. Krasnojarski np. objechał całą wschodnią Syberję od Krasnojarska aż do Ochocka.

Spokojny charakter Ruskiego narodu i Sybiraków, zbrodniarzy w Katordze i robotników na złotych przemysłach. Rozbojów mniej niż w Europie. — W Krasnojarsku, jak pono i w całej wschodniej Syberji jest jeden wielki niedostatek, brak prawie zupełny z wyższm wykształceniem kobiet-polek. A bez nich — nam nudno.

Wszystko to, mój Panie, rzeczy jeszcze dość jasne. Ale mię samego, co już pożyłem dość w Syberji, nieraz dziwi spokojny charakter Sybiraków. Jedna i główna przyczyna tego, że im dobrze. A właśnie mówię o ich rozumnej uległości urzędnikom i tak małej liczbie wojska. W zawodach np. dla ciężkich robót czyli po prostu mówiąc *Katorgach*, złożonych z samych kryminalistów, mniej zdarza się zbrodni, niżbyś mógł sądzić. Straż tam prawie żadna, bo najczęściej ze starców inwalidów i kalek złożona. Urzędników i kozaków kilku. Oto wszystko.

Że zbrodniarze w takiej liczbie razem mieszkając nie zmagają się na wspólne zbrodnie, rzecz bardzo prawdopodobna. Gdyż na to potrzeba zgody, a zgoda może być tylko między ludźmi enotliwymi.. Zbrodniarz i człek bezecny zaraz drugiego zdradzi i wyda. Dla tego jeden drugiemu nie wierzy.

W złotych kopalniach, prawda że wszystko jest przedsięwzięciem dla utrzymania spokojności licznych robotników, bo kilku kozaków z nahajkami, sprawnik i żandarmski sztab-oficer z kilku żandarmami, całym ich są postrachem. Ale i tam buntów nie bywa, choć tam roboty prawdziwie mogą się nazwać ciężkimi. W wodzie, na zimnie, od nocy do nocy, musi pracować ciężko robotnik w nadziei dobrej wypłaty jesienią. Wódki im zwykle nie dają, albo raz tylko na tydzień, karmić zaś muszą dobrze. Za to ruski chłop często pracuje ciężko pół roku i więcej, żeby raz się tylko upić. W jesieni on otrzymał pieniądze, i w pierwszym *kabaku* (szynku) połowę ich przepił, drugą u pjanego ukradli, i żeby się znowu pochmieleć, gotów jest zabić swego towarzysza, gdy postrzeże u niego pieniądze, co bywa zwykle u niepijących. Dla tego robotników z kopalni złotych w jesieni wracających, kozacy ze sprawnikiem eskortują i wyprowadzają z tajgi do poblizszych wiosek. Przez dwa tygodnie u większej połowy robotników, już ani grosza niema. I żeby siaką taką odzież na zimę zrobić, najmuje się u tegoż złotokopa na rok przyszły, biorąc zadatku po 20—30 r. sr.

Niedawno słyszałem o prawdziwym ruskim dziwaku. Musiał on kiedyś lokajować i jako posieleniec najmował się na pryjski złote. Trzy lata żyjąc wstrzemięźliwie zebrał był kilkaset rubli assyg. Przeszłej jesieni wyszedłszy z kopalni, w Jenisejsku najał sobie porządniejszy dom, najał na czas kochankę, lokaja i drożkarza, kupił lepsze odzienie i ogłosił się panem przyjmującym gości z wizytami. Rozumie się, bywali u niego jegoż koledzy i przykaszczyki pijacy, dla upicia się, bo winem zalewał im gardła. Lokaj stojąc w przedpokoju, każdego gościa jemu meldował. I tak żył cały tydzień. Dalej pieniędzy nie starczyło, i znowu najał się na rok teraźniejszy, wzięwszy zadatku zwykłą sumę pieniędzy u złotokopa. Zadatki biorą wszyscy robotnicy. Wielu z nich nie stawi się na przy-

szle lato, lecz po większej części przychodzą. Nie przyjsć bardzo mu łatwo. Bo gdy miał fałszywy pasport zwany tu zwykle *biletem*, może nie przyjsć śmiało; a gdy miał i swój, to poszedł na wałęzskę (*brodiażestwo*) i nieprędko go znajduą. Każdy włóczęga w Syberji swobodnie wałęsa się. Żeby go złowił chłop i wydał władzy, rzadko się zdarza, owszem nakarmią go (*nieszczęstnaho*) i napoją, byle nie zaczepiał, nie kradł sam i nie podpalał. Latem szczególnie, po wsiach w każdym prawie domu na noc kładą cokolwiek do zjedzenia na polkach przy wrotach. Brodiaga przychodzi, weźmie swoje i dalej idzie. Jeśli go złowią, często kłamię niestworzone rzeczy. Nazwisko swe zawsze przemieni, lub niepomni go (*niepomniuszczyyj, beż-rodnyj* i t. p.) Lecz teraz kazano takich ichmościów po prostu stemplować i zsyłać do robót. Często zdarza się że ten co był skazany na posielenje, przemienia swe nazwisko z tym, co skazany do robót. Jeden drugiemu całą historję swą opowiada i historję znajomych, ugadzają się i dobijają targu za starą odzież lub kilkadziesiąt kopiejek. Dla brodiagi wszystko równo, bo on z katorgi nieodmiennie ucieknie. Ten przeto co za ledwo jakieś głupstwo popełnił i sądzi się, klepie na siebie zbrodnię zabójstwa w takiem to miejscu — takiej osoby. Prowadzą go tam. I nikt go nie poznaje, bo nie jest z tój wsi; przypomina wówczas, że zapomniał albo pomylił się, że on jest z takiego to miejsca. Znowu robią sprawki, zapytania, a ten siedzi; dla czego tak robi? Bo ma nadzieję, że przechodząc z miejsca na miejsce, strzeżony przez starych inwalidów i często w lesistych okolicach, będzie mógł uciec. Ten co uciekł z katorgi, znalazłszy towarzysza włóczęgę posielenca, rozpytawszy się dobrze o jego historji, często go zabija i przybięra jego nazwę, odzież i staje się posielencem, aż póki go nie poznają przypadkiem i nie oddadzą w ręce władzy. Prawdziwy rozbójnik, bywa rozbójnik amator. Za nic zabije człowieka. Cała

jego odpowiedź, dla czego to zrobił — że tak już przeznaczono było, aby tamten był zabitym, a on został jego zabójcą, — albo, że djabeł go opętał, i on sam nie wie dla czego. Ale takich nie wielu — Bogu dzięki! w ogóle rozbojów i zbrodni w Syberji mniej niż w Europie względnie ludności i środków ukrywania się. To dowodzi, że największość zbrodni ma początek w nędzy. Ubóstwo nie jest występkiem, lecz jest najczęściej matką występków. Niech nasi panowie ulepszą byt swoich poddanych, a pewno z czasem będą mieli lepszych poddanych, bo przyjaznych ludzi. — Ale to do pana się nie stosuje. Pan nie jesteś obywatel, a nas żaden obywatel nie słucha, byśmy mieli mu kazalnice morały bębnić w uszy.

Tu muszę wam, moi szanowni dawni znajomi, przerwać ciekawą a treściwą gadankę pana urzędnika, bo dzisiejszego wieczoru wyjechał. Znowu pocznę wam pisać od siebie, wystrzegając się pisać o sobie jak najbardziej. Bo moja persona, bardzo być może że was niezbyt interesuje, i wówczas nie byłyby to listy Sybirskie.

Najpokorniejszy sługa;

Hilary Smutek.

BADANIA STAROŻYTNOŚCI.

SCYTJA

HERODOTA HALIKARNASKIEGO

OBJAŚNIONA I ZASTOSOWANA DO MIEJSCOWOŚCI

PRZEZ

Nadeždina, *

Melpomena. Księga IV Podań.

WSTĘP TEUMACZA.

Nie ma zda mi się wątpliwości, że Scytowie i późniejsi od nich Słowianie, składali jedną i też samą gałąź rodu ludzkiego, jedno i toż samo wiekuiste plemię, ciągnące się pasmem pokoleń od swojego praojca Noego, a któremu przeznaczenie z dawien dawna kazało zająć na siedzibę naszą ziemię, do dziś dnia przez Słowian dzierzona.** Sam nawet niejako synowski instynkt, ów tajemniczy i potężny pociąg krwi i sympatji, nigdy niezwyciężonych niczem pierwiastków natury człowieka, zdaje się

* Ważne to dzieło zupełnie przygotowane do druku, znajduje się w ręku wydawcy Pamiętnika i oczekuje nakładcy, któryby się chciał zająć wydaniem na świat tego najważniejszego pomnika badań starożytności, dotyczących ziemi słowiańskiej. (Red.)

** Scytowie, wedle Herodota, wyparci ze swoich pierwiastkowych azyjskich siedlisk z nad rzeki Araxu, posunęli się na zachód, i w swoją kolęj wysiedlając Cymmerów, rozpostarli się w żyznych stepach między Dnieprem i Dniestrem, około 663 r. przed N. Chr.

dopełniać brak historycznych pewników, zatraconych w ciemnym mroku odległych wieków, w kurzawie bojów i migracji ludów. Nie saga Herodota o Scytach wzięta z ust ludu, nie słabe napomknienia późniejszych po nim historyków, nie żadne rozumowania i przeciwieństwa zdań, naprowadzą nas na drogę wewnętrznego przekonania, ale uczucie które powiedzie nas dumać na step między tajemnicze mogiły i cichym ale potężnym nie przestanie ci prawie głosem: „tu spoczywają kości naszych przodków Scytów!” Skąd dowód przeciwny? Dopóki lud był wolny, waleśał się z miejsca na miejsce, bujał i był swobodny na swój zdawna posiedzonej ziemi. Grecy nazywali go *Scytą*, imieniem rodzinnego źródłosłowu, charakteryzującym tryb jego błędnego życia. Lecz przeciwnie, kiedy tenże sam lud, częścią wyparty z odwiecznych siedlisk przez dzikie hordy, płynących niszczącą lawiną z wnętrza Azji barbarzyńców, zmuszony był szukać przytułku u obcych; częścią ujarzmiony przez ucywilizowanych zaborców dawnego świata, albo może w skutek ucisku i nadużyć wewnętrznych przez kastę rządzącą, otrzymał wzgardliwą u obcych nazwę Sclavenów, Slavonów, Słowian—Niewolników. Ostatniemi czasy jeden z naszych ziomków, autor *Słowiańszczyzny* pan Karol Sienkiewicz, w tęsknym swoim oddaleniu zapuszczał się z pochodnią serca synowskiego w ten mglisty labirynt wieków, jakby do otehlani rodzimych patryarchów swojego rodu, długo już oczekujących przyjsia zbawczego światła, i wspierając się na znakomitszych w tym rodzaju historykach, wynajdował podobieństwo mowy, nazwisk i miejscowości tych dwóch, a raczej — podwójnem imieniem ochrzczonego ludu, — jednego w gruncie swój istoty. Wprawdzie rozdziela on Scytów na właściwych, czyli królewskich, prawych najeźdźców azyjskich, żyjących zbrojno, konno i na wozach, a którzy panowali na ziemi naszej, jak później spółrodni a wielce im podobni Tata-

rzy. I na Scytów niewłaściwych, pierwotnych mieszkańców najechanej ziemi; ludu spokojnego, cichego i rolniczego, który przyjął jarzmo i nazwisko Scytów, a może zmienił tylko na nowe dawne jarzmo i nazwisko Cimmerów, i na ostatek przechodząc z niewoli w niewolę, zatrzymał się ostatecznie przy nazwie Słowian. Gdy wszakże zdanie łóźnie rzucone, nie było głębiej zbadywane i rozstrzygnięte, wolno nam pozostać w przekonaniu o tożsamości Scytów właściwych i niewłaściwych, różniących się między sobą potęgą, wyobrażeniami lub formą rządu, do czego najlepszy klucz może znajdziemy w różnicach pojęć i stanowisk dzisiejszych plemion słowiańskich. Charakter zaś pierwszych, najezdniczy i srogi, łącno na tej Chananejkiej ziemi mógł złagodzić, i następnie z dzikich nomadów przeobrazić w potulnych, rolniczych i osiadłych patriarchalnych Słowian, uginających się czasowie przed przemocą, ale pochłaniających wzajemnie silną swoją narodowością i rozwiniętym bytem społecznym, wszelki obcy i wrzutki żywioł. Tatarzy, niegdyś straszne przechodowe hordy, zatrzymani w płodnych krainach, sadząc winorośle, harbuzy i kawony, nieczém już nie przypominają pożogi pół świata, jaką nieśli na głos Dzingis-khana i Batego. Zresztą, tak czy owak, nie naszą jest rzeczą o tém rezonować, témbardziej że kwestja ta nie była ani celem rozstrzygania autora *Słowiańszczyzny*, ani też potrzebną jest do mojego przedmiotu. Miał on szczególnie na celu wykazać, że ludy zawarte, według Herodota, między Euxinem i Bałtykiem, aczkolwiek spotykają się u Herodota pod różnemi nazwiskami i miane są za wcale odrębne plemiona, nie były czém inném, jak poprostu w późniejszych czasach przez skromnego kompilatora Jornandesa, skupieni w jedno ogólne plemię, znane pod imieniem *Słowian*. Stosownie więc do tego, starał się ich piętno rodzime wykazać w podobieństwie nazwisk, wyrazów, zwyczajów i miejscowo-

ści. A że to ostatnie może mieć niejakiś związek z rozprawą w tym względzie pana Nadeždina, uważam stosowném zamieścić rezultat poszukiwań autora Słowiańszczyzny i przez to postawić obok ich różnice, lub zbliżone podobieństwo. Obrałem na ten cel pomienionego już autora, jako ostatniego z naszych rodaków, ile mi wiadomo, badacza w tej mierze,* a zatém umocowanego na posadzie poszukiwań swoich poprzedników. Ważniejszą zaś pobudką było to nadzwyczaj słabe krążenie w naszej literaturze wiadomości o tej części historycznych badań, i to najczęściej zawartych w dziełach dla nader małej liczby przystępnych. Będzie to może jedna bródza pługu przeciągnięta po tej bujnej warstwie stepowej, dotychczas prawie ołogiem spoczywającej. Wracam do rzeczy, idę śladami autora:

Georgi, czyli Scytowie-rolnicy, obchodzili corocznie święto na cześć *szczero-złotego pługa*, który pilnie z należytą strażą przechowywali. A że zamieszkiwali tam, gdzie później Nestora Polanie, to jest w dzisiejszej Ukrainie, w której uroczystości rolnicze dotąd najwierniej się dochowują, i gdy jeszcze przypomnimy przytém słowiańskie imię *Swiato-pług*, uderzające nastrecza się podobieństwo; przeto kombinując to wszystko, nie waha się autor powiedzieć, że Herodotowi Georgi, znaczą to samo co późniejsi Polanie, odwieczni i nieruchomi dziedzice swojej żyznej ziemi.

Hulaja, Hylea, znaczy po grecku strona leśna, nad dolnym Dnieprem, wedle Herodota, leżąca. Autor rzuca do-

* Wówczas nie wiedziałem jeszcze o wysłanych w tym przedmiocie badaniach p. A. W. Maciejowskiego, a których i dotąd nie miałem zręczności spotkać. Wiem atoli, że refutuje on i autora Słowiańszczyzny i wszystkich innych Scytomanów. Wszelako gdy celem moim nie jest badanie, ale przyczynienie niejako środka do badania, chęć raczej ożywienia interesu w tej ciekawej kwestji, nie odkładam do późniejszego czasu ogłoszenia powyższych hipotez, jakkolwiek może w gruncie niepewnych i błędnych.

mysł, ażali nie będzie to strona w której mieszkali Nestorowi *Ulicy*. Wiadomo że pasieki były znane Scytom, bo ciała zmarłych powlekano u nich woskiem; a Hylea znaczny strona leśna, zatem i pasieczna, więc mieszkańcy leśnej Hylei, będą to samo co Ulicy, od Ulij—Ul.

Alizoni, Alazoni, zamieszkali tam, gdzie Boh najwięcej zbliża się do Dniestru. Różnili się od Scytów tém, że sieli i zbierali dla swego użytku: pszenicę, proso, czostek, cebulę. Kogóż tu nie uderzy bliskość siedziby i nazwiska Alizonów, z przydechem Halizonów, z naszymi Haliczanami?..

Gerros nazwisko siedliska i rzeki, kraina grobowisk Scytyjskich królów, pokryta nierozwikłaną tajemniczością. Jedni utrzymują że to Mołoczne wody, inni że to Tiaśmina, że Wiś, Roś, że to są Porohy, Katarakty; być wreszcie może, iż to siedziba Kijowa. Ten ostatni wniosek opiera na nazwisku *Gyra*, jakowém Porfirogenet mianuje okolice gdzieś bliskie Kijowa. A że Gyra—góra, wyraz widocznie słowiański, przeto i zbliżone do niego Herodotowe *Gerros*, było siedliskiem plemienia Słowiańskiego.

Kallipidy i Melanchleny. Pierwsi pochodzenia Scytyjskiego, zamieszkujący nad Dniestrem; drudzy zaś, naród zupełnie odrębny od Scytów, osiadły nad Dnieprem. Oba przypominają w nazwiskach swoich znane później dwa kolory dawniej Rusi: Krasnej nad Dniestrem i Czarniej nad Dnieprem. *Καλος krasny*, *Μελας czarny*. W okolicach nad Dnieprskich *Melanchlenów*, tak nazwiska różnych miejscowości, jako téż i czarna odzież Ukraińskich chłopów, mocno napominają o bytności tutaj swoich poprzedników Czarno-switych.

Neury. Szafaryk objaśnił, że znaczą to samo co *Nury słowiańskie*. Kraj Wiślany aż do morza Bałtyckiego był ich ojezyczną; a ile znowu z geograficznych uroczysk wnosić można, dziedzina ich na wschód i na zachód Wi-

sły, szeroco się rozciągała. Można przeto mieć za pewnik, że ziemia Nurów obejmowała w sobie jeśli nie daleko więcej, to przynajmniej to, co później pod imieniem Wielkiej Chrobacji i Wielkiej Serbji znaném było; że zatem ta ziemia Nurów, ta ziemia szczero-wiślana, była matką tych matek słowiańskich, a leżała w samém ich „*gadru a srdci*“ jak się wyraża Szafaryk.

Budyni, według Herodota naród wielki, potężny i ludny; siwych oczu i jasnych włosów. Dowiedziono, że znaczyl to samo co później słowiańskie plemię Wenedów, i zamieszkiwał tam, gdzie dziś Białoruś, Polesie i górny Wołyń.

Gelony, lud greckiego pochodzenia, wyparty z miast nadmorskich, osiadł wśród Budynów i mówiący mieszanym, Grecko-Scytyjskim językiem. Oddani rolnictwu, żywią się zbożem i ogrodowinami. Tak mówi o nich Herodot. Atoli wątpić należy, ażeby wychodźce Grecy, mogli wśród obcych sobie ludów zajmować się spokojnie rolnictwem; żeby, co więcej, osobny naród składali, i mieli własnego króla, któryby do konfederacji tamecznych ludów przeciw Persom należał... Nazwisko *Gelon*—Wołyń, przez niektórych Wołyń, każe domyślać się, że gelonowie byli to Wołynianie, a ich wielkie drewniane miasto Gelonos, (może to Wołyń, gród starodawny, ze słyhu tylko i niepewnych gruzów Długoszowi znany, który imię swoje całej prowincji nadał?) było tylko zamieszkałe przez przedsiębiorców greckich, wyszłych i osiadłych tu z nad morza, dla handlu i przemysłu.

Hyperborei już na 1000 lat przed n. Chr. mieswali jakieś związki z Grecją i od niepamiętnych czasów przysyłali ofiary do Delos. Zdaje się wszakże, iż żadnych Hyperboreów w rzeczywistości nie było, a tylko fantazja ludu otaczając cudotwornością, sadowiła ich gdzieś na krańcu wiadomego świata. Gdzie zaś ta strona wiecznego szczęścia znajdować się mogła, autor usiłuje rozwią-

zać to pytanie domysłem z punktu swojego Słowiano-Scytyjskiego widzenia. „Grecy, powiada on, z dawien dawna mieszkali u Gelonów; mówili oni wedle Herodota językiem mieszanym grecko-słowiańskim „*lingua partim Scythica, partim Graeca utentes*.“ Słyszając o kraju dalekim, ciekawym, bursztynowym, jako sami osiadli na południowym Podlasiu nieprzebytych i niezmierzonych borów środkowej Polski, mogli owi Grecy Gelonscy, kraj tamten, mówiąc ze słowiańska po grecku, nazywać krajem hyper-borowym, za-borowym...”

„Tak tedy na hyperboreach, ciągnie dalej nasz autor, stanawszy na brzegu północnego morza naszego, pielgrzymkę moją po krajach herodotowych zamykam. Jak niegdyś emigrant trojański po dziedzinach nocy szukał rodzica, aby się od niego o przeszłych losach rodu swojego dopytać, równie i nam godzi się i należy zapuszczać się w dawność czasów za ziemią rodzicielską. Przekonani żeśmy odwieczni w ojczyźnie naszej, równie dobrym talizmanem, jak złota różeczka Sybilli wiedziony, szedłem tedy i ja w te czasy. Wołałem głosem rodzinnym i zdawało mi się że ta ziemia z głębi wieków tymże głosem odpowiada „Und meines Herzens klang verstand.“ Jeśli się łudził i błędził, вина to moja, lecz nie mojego przedsięwzięcia. Literatura nasza zbyt jest lekliwą w starożytnościach ziemi naszej. Herodot, pierwszy jej dziejopis, zaniedbany prawie u nas. Ossoliński nieśmiało go dotyka, Lelewel z ogólnego jedynie stanowiska o nim rozprawia, Naruszewicz i Jan Potocki lekko weń zaglądali. Uczony Klaproth, uczeń i zacny admirator Potockiego przyznaje, iż nie dość uważnie Herodota czytał. Acz na gruncie zwiedził krainy Scytów, nie trafnie geografią ich kręśli. Mówi o Sakach, o których w Melpomienie ani wzmianki. Mówi o Scytach dowolnie a bałamutnie, że: „On les distinguait en Scythes cultivateurs, et ces domi-

nations prouvent déjà qu'ils ne doivent pas être confondus avec les nomades.“ Naruszewicza grubsze pomyłki; twierdzi, jakoby wedle Herodota, jezioro z którego Boh wypływa, oddzielało Alizonów od Scytów! że ludzie w Gerros mieszkali w pieczarach! że Neurowie siedzieli przed napaścią smoków na lewym brzegu Dniepru! Warto jest, aby wspomniana niedokładność tych uczonych mistrzów i błędy moje, wywołały nowe poszukiwania.“

Długo po Herodocie, przez wieki i wieki, nikt ze znajomością w dobrém i żywym źródle czerpaną, o ziemi Słowiańskiej nie pisał. I tak być musiało, Nikt nie miał ani równej Herodotowi pobudki, i nikt nie mógł mieć późniejszej równej mu łatwości. Jako historykowi Darjusza, a według niektórych jako i kupecowi, pilno mu było, a u spokojnych jeszcze ziomeków nad-Euxyńskich, łatwo mu było zaspokoić naukową ciekawość. Lecz i sam Herodot z brzegu tylko i cudzém okiem na szeroką ziemię naszą poglądał. Jeśli inny znowu badacz dobił się do brzegów Bałtyckich, świat nasz był dla niego jeszcze bardziej pochmurny. Kraje nasze śródziemne były niedostępne stárożytnéj nauce. Według wszelkiego podobieństwa, Słowianie długo nie mieli spólnego, stałego i ogólnego nazwiska. Nazwiska plemion szerególnych inne były w domu, inne u sąsiadów, inne u najeźdźców, inne w jednej, inne w drugiej epoce, raz w tym, drugi raz w owym języku czerpane. Dla tego to ród Słowian, tak późno imię swoje podał historii; a gdy się w niej zjawiał, to jakby z pod ziemi wystąpił. Tymczasem za owych wieków świat Rzymski górował, a reszta ziemi milczała. Cudownym wzrostem swoim i cudowném rozsypywaniem się, wszelką myśl badawczą garnął ku sobie. Wkrótce po n. Chr. Scytowie ustąpili z ziemi Słowiańskiej; ustąpili tak cicho i nieznacznie, że nie wiadomo doprawdy kiedy, dla czego i dokąd. Ziemia ta, przez kilka wieków jeszcze, na paraginach historyków Scytją się mianuje, ale tam Scytów

już niema; tam już obóz burzycielów Rzymu, tam pięćdziesiąt narodów ma drogę, ma koczowisko, ma popas, ma odwód; tam nowe te Herkulesy dopytują się kędy jest kraj złote jabłka rodzący, kędy miasto cudowne. Ciągna one z rozbojem w myśli, z orężem w ręku, z wodzem na czele, z nazwiskiem głośnem. Lud który na tój stratowanej ziemi od wieków zamieszkał i rozplemienił się, który mając ziemię własną i na niej sposób życia łatwy, nie miał powodów kupić się, zbroić się i na drugich napadać; bezbronny i rozsypany po kraju, musiał ulegać walącym się gromadnie hordom, służyć orężnym, karmić głodnych. Jak wśród borów swoich zdybany przez niedźwiedzia, równie i pod napaścią najazdu, Słowianin Iguał do ziemi, imię tracił, dech tał, i tak się tylko z sumieniem i z ojczyzną ratował i burze przeczekiwał. Wreszcie najezdców i najechanych niemasz historii na ziemi naszej. Dopiero miecz, który im granice imperji otworzy, otworzy dla nich i księgę dziejów.“

Bo nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
 Nie zostawiwszy dróg swojego życia.
 I hordy ludów wyszły z tój ojczyzny,
 Nie zostawiwszy śladów swego życia.
 I gdzieś daleko... na Rzymu pomnikach,
 O ztąd przybyłych prawią rozbójnikach.

„Ztąd téż i uczony świat Rzymski wiedział o strasznych, nie słyszał o cichych. Geograf opisujący ziemię naszą powtarzał Herodota, lub pisał barbarzyńskie dziwne imiona, wiatrem niepewnej wieści pod pióro nawiane. W Meli, w Plinjuszu, w Ptolomeuszu, na dawnéj mappie Rzymskiej i u późniejszych historyków, widzimy na ziemi naszej zgiełk nazwisk, które prędjéj koszmarem umysł nabawią, niż nauczają. Na południu Polski, w kraju otwartym, widnym, żyznym, była ciągła i główna siedziba najazdów, bita droga przechodów i samowładne

przybyszów nazwisko. Na północy, w szerokich zaciśkach, jest wieść o przodkach naszych; o Wenedach, o narodzie wielkim, nad własnem morzem zamieszkających, ale kto oni byli, nie wiedzą. Gdzieniedzie imię słowiańskiego głosu, na tych stepach historii, jak krzyż znak samotny i drogi i śmierci, obudza pobożne domysły późnego wnuka...“

Zostawując dalsze badania autora, wsparte mianowicie na kronikarzach Jornandesie i Nestorze, jako wychodzące już za obręb Scytji Herodotowej, wstrzymuję się i ja na tym małym ustępie, mogącym wszelako rzucić wiele ogólnego światła i wyjaśnić niedostatek naszej literatury, potrzebującej koniecznie w tej mierze bliższego zapoznania się. Lecz to zapoznanie się z przeszłością, jak mówi nasz autor: „Nie chudego literata rzecz, który nigdy naszej Ukrainy nie widział i mowy naszej nie słyszał. Dokazać tego nie potrafi, tylko pan polski, który nie do biblioteki, lecz na step pójdzie po komentarz, z Herodotem w jednem ręku, z zastupem w drugim i z pańszczyzną za sobą.“ Dodać jednak nie zawadzi, że kto widział na własne oczy cały egrom tej mozolnej i trudnej próby, musi przyznać, iż chcąc w tym względzie do jakiegokolwiek przyjść rezultatu, trzeba nieodbitie wspólnego działania, wspólnej chęci i upodobania, jako w rzeczy przechodzącej wszelkie możliwe siły indywidualne. Rzeczywiście też w południowej Rusi, na mocy téjże samej zasady, z mniej tylko stosownego źródła i mniej gruntownymi środkami, rozpoczęły się kołatania do podziemnej świątyni tajemnie: kopią mogiły, liczą je, opisują, zbierają wszystkie wydobywane ślady i pamiątki. Lecz wszelkie te szanowne usiłowania, mające raczej pozór zbierania statystycznych wiadomości kraju, niżeli zaś rzeczywiste zagłębienie się i zamiłowanie nauki w przedmiocie, nie przyniosły dotąd pożądanego skutku i bodaj czy kiedy przyniosą. Nie ziemską policja roz-

wiąże zagadkę tajemnic złożonych w łonie ludu i ziemi, ale poświęcenie się nauki, uczucie obywatelskie, jako nie Armidy, mogłyby tylko przeprowadzić przez ten mroczny labirynt wieków. Zresztą z tych jakkolwiek niedokładnie uzbieranych wiadomości, uczony nasz badacz i miłośnik rzeczy ojczystych, p. Michał Grabowski, ma przygotowany już pełen ciekawych szczegółów rekopism.

Zda mi się nakoniec, iż przedstawione tu w tłumaczeniu gruntowne badanie p. Nadeždina, wsparte na potężnej erudycji, a nadewszystko na ciągłej poradzie żywego przyrodzenia, „z zastupem i Herodotem w rękę“ nie będzie rzeczą zupełnie obojętną i nieużyteczną.

Andrzej Podbereski.

DOPISEK TŁUMACZA.

Zastanowiwszy się nad przedhistoryczną epoką naszych dziejów, nastrocza się może nieco śmieszny paradox, że im głębsza nauka, im większa erudycja tej epoki, wsparta na niepewnych danych, jakie do nas doszły, tém bardziej zawiedzie nas do większego zagmatwania przedmiotu; że nie erudycja, wnioski rozmarzonej wyobraźni, przypuszczenia bez pewnej podstawy, wspierające się jedynie na powadze starożytnych autorytetów, oświeceni nieświadomych i wątpiących o tém co mówili, mówiących o tém co z niepewnych wieści słyszeli, lub polegających bez krytycznego poglądu na odległych podaniach ludu, wywiódłoby nas, powiadam, z tego nieprzebranego chaosu nazwisk, przemian miejscowości, u rozmaitych pisarzy, częstokroć w jednej epoce różnie widzianych i pojmowanych, przechodów, walk, wzajemnych najazdów, wytopian i zjednoczeń — ale, mógłby nas wprowadzić tylko ogólny i głębszy filozoficzny pogład, oży-

wiony technieniem poezji, na naturę i charakter dziejów ludzkości. Bez wcielenia w epokę tego żywotnego ducha, któryby z martwych ją powstawił, z wątych i nikłych materiałów wystawi się tylko budowa, która za lada wiatrem, za lada usunięciem jednej erudycyjnej cegielki, runie w gruzy, nim ktoś z badaczy-erudyków, na nowo podejmie daremny trud Syzyfa do jój wzniesienia...

Najważniejsze i jedyne prawie wiadomości o Scytach, są zostawione nam przez Herodota, bo późniejsi starożytni pisarze z lekka ich tylko dotykając, na nim się zapełniały, oraz na drobnych swoich i niepewnych postrzeżeniach i domysłach, fundowali. Lecz wiadomości Herodota o Scytach czerpane z podań ludu, z niepewnych i bałamutnych wieści, z osobistych nakoniec postrzeżeń, które czynił z nadbrzeża morskiego, albo przebywając wreszcie w nadbrzeżnych w Scytyi Helleńskich osadach, mogły być całkowicie pewne o ich pochodzeniu, mogły dać się sięgać o ich plemienném rozgałęzieniu i rozpostrzenieniu miejscowości?? Wprawdzie określa on czworobok Scytyjski, dziś przez p. Nadeždina bardzo rozumowanie i dokładnie zastosowany do miejscowości, ostawia go nawet obcemi plemionami, lecz bez osobistego przeświadczenia się o ich miejscowości i języku, któryby wiele odkrył prawd, nie będzie-li to zbyt zacieśnianie granic Scytyi, granic narodu wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, bezporównania dalej rozgałęzionego? Czy obce pokolenia: Sawromatów, Melanchlenów, Ludożerców, Budynów, Agathyrów i t. d., któremi ogranicza swój systematyczny czworobok, mają koniecznie być obcemi. Sama nawet takowa figuralna granica kraju, dowodzi pewnej systematyczności poglądu bez pewnych danych. Gdyby dzisiejszy jeszcze barbarzyński podział Słowian na klasy, był przeniesiony w odległe starożytności wieki, w których pisaliby tylko o Słowianach z niepe-

wnych wieści, oddaleni badacze rzymscy lub greccy; gdyby np. sam Herodot kupecząc w Olbii nad Borysthenem, dajmy sobie, w krainie Słowian nad-Euxyńskich, spotkał Wielkorossjanina i spytał jaki naród obcy przytyka do nich? Odpowiedziałby: „*Chochły*“; drugi takż i o tychże samych powiedziałby: „*Maforossjanie*“; spytawszy się rodzimego Ukraińca, dowiedziałby się że: „*ja sam muzyk, a tam Lachy, a tam na wostok za Dneprom Hetmańczyna, a dali Kacapy żywut*“.

Gdyby nakoniec tenże sam Herodot przed laty kilkudziesięciu spytał przybyłego z pszenicą do Olbii karmazyna Polskiego, powiedziałby: „*ja szlachcic, żyję konno, zbrojno i wojną, a sprzedaję pszenicę, którą dla mnie uprawiają chamy, naród podły, odmienny mową, zwyczajami, trudniący się jedynie uprawą roli i pjaństwem! A żeby ten któż wie jak powątpiewał o prawdzie, karmazynu nigdyby się nie zgodził na to, że jest jedno i to samo co chłop. I tak Herodot, chcąc nie chcąc z wiarogodnych ust uprzywilejowanego szlachcica, napisałby bajkę o obcém plemienu chamów, chłopów; napisałby o muzykach, chochłach i kacapach, a dalej jeszcze o bajecznych kołtunach, Czarodziejach (Poleszukach, może dawnych Nurów?) któremi ostawiłby obcego plemienia Słowiański czworobok!... Wnikając przytém w duch jego sumiennie i troskliwie zbieranych wiadomości o przygraniczających ludach, łatwo wpadniemy na postrzeżenie utwierdzające w naszém przekonaniu. Jednych tylko Ludożerców, a bardziej jeszcze Taurów, piętnuje osobną charakterystyką, nazywając ich ludem dzikim, okrutnym, wcale obcego plemienia, ku którym przytykają od południa Scytowie, mieszkający w „rowie“, wedle p. Nadeždina, Kerczeńskim. I przeciwnie o plemionach dalszych, o których nie mógł osiągnąć dokładnych i bezpośrednich świadectw, mówi bez pewnego ich odcharakteryzowania, z niejakiem powątpiewaniem, a nawet Neurów, inaczej Nu-*

rów, o których wątpi, ażeby byli wedle podania, czarodziejami, wyprowadza z wnętrza Scytyi, z powodu zbytęznego rozplenienia się, wyszłych. Lecz zastanówmy się dopięro kto to byli Sarmaci, naród udzielny, graniczący od wschodu ze Scytją?

Herodot mieszkając w Olbii, na pograniezu prawie z Sarmacją, mógł o nięj mieć dokładne i bezpośrednie wiadomości. Jeżeli więc mamy wierzyć jego podaniu, że Sarmaci, albo jak on nazywa Sawromaci, powstałi z połączenia Scytów z Amazonkami, wyrzucenimi falami na brzegi Meotydy, przekonamy się czy z tego podania, czy z innych prawdopodobieństw, że oba te narody, jakkolwiek oddzielne i niepodległe, miał on zawsze za jedno-plemienne blisko, bardzo blisko z sobą spokrewnione po mieczu; mówiące rodzimym, aczkolwiek odmiennego dialektu językiem; zostające z sobą w ciągłych stosunkach, stające zarówno w obronie zagrożonych swobód, jak to widzimy ze sprzymierzenia się ich przeciw Dariuszowi. Pomijając hipotezy uczonego Bocharta i Bohusza Siestrzencewicza, wywodzących jednocześnie Sarmatów i Scytów ze spólnej im kolebki Medji, wspomnę o Fliniusz, który w V wieku po Herodocie, a w I ery Chr., wyraźnie łączy Scytów z Sarmatami, dodając, że piérwszych na dawnych siedliskach siedzących, było 30 hord, własciwięj może pátryarchalnych pokoleń, z których 24 miały swoje miasta; nakoniec Strabon w IV w. po Herodocie, mówi o Sarmatach królewskich i pasterskich Nomadach, w których trudno niewidzić wygasłego już za jego czasów imienia Scytów, wedle podziału Herodotowego... Z przytoczonych teđy uwag widzimy, że Scytowie i Sawromaci byli jednorodnym plemieniem, różniący się pierwotnie między sobą, jak różnimy się dziś Polacy, Rusini, Czechy, Słowaki, Serby, Morlaki, etc.

Doszedłszy do uznania Scytów w Sawromatach, zastanówmy się jeszcze, jaką koleję w ciągu kilku wieków,

zniknąć mogło z oblicza ziemi imię Scytów? jak ono wcieliło się w Sarmatów, a następnie Sarmatów w Słowian??

W przeciągu pięciuset lat po Herodocie, kiedy historia milczy o Scytach, kiedy imię ich uciera się i rozkłada w pierwiastku rodzimych plemion, Sarmaci tymczasem rozpostrzenili się po całej Europie wschodniej, północnej, środkowej i daleko zachodzili gałęziami ku zachodowi. Lecz mógłż tak rychło rozplemienie się w ogromny naród jedno niewielkie plemię Sarmatów, które za czasów Herodota miało tylko przestrzeni na 15 dni drogi na północ od zapazusza Meotydy, czyli ujścia Tanaisu, i nie więcej wzdłuż, a do tego w stronie pustej i bezleśnej — w ziemi Dońskich Kozaków? Nie, zaiste! w epoce powszechnej migracji ludów, na tym szlaku z barbarzyńskiej i surowej Azji, do szczęśliwych Hesperyd zachodniej Europy, do których zwierzęcym instynktem wzdychały dzikie hordy z pod podnóża Himalaj i suchych zaspów Tartarii, wstrząśnione może i do życia powołane dalekim, podaniowym głosem o zwycięztwach rzymskich i świetnej cywilizacji greckiej, Sarmatowie pierwsi skraju i dość zapewne już natenczas liczni, ulegli ich przewadze. Częścią zostając na miejscu, częścią parci nawałą na przód, lub może nawet z własnego natchnienia szukając żyzniejszych niw i pastwisk, pochłaniali nazwę pobratymczych plemion Scytyjskiego Czworoboka, które długo jeszcze u starożytnych pisarzy, wzajemnie wcielone lub wyparte, tuliło się w rozmaitych punktach, objawiając się tu owdzie w nazwaniu Scyto-Taurów, Scyto-Getów, Scyto-Daków, z którymi się zléwali, mieszały i mieniali. Posuwali się naprzód mieszając się, jednocząc i wzrastając z innymi pobratymcami, a posyłając daleki odgłos swojego imienia, wkrótce stanęli wobec starożytnych badaczy godnymi ich reprezentantami, pod ogólnym i obszer-

ném mianem Sarmatow, sięgających Danaju, Karpat, Wisły, Baltyku i Wołgi.

Takim tylko zapewne sposobem, Sarmaci pochłonęli pierwotne nazwy i pokolenia Scytów, Budinów, Melanchlenów, Getów, Ludożerców, Gelonów i wielu innych, znanych za Herodota, znikłych następnie.

Przejdźmy wreszcie do Sarmato-Słowian.

W piątym wieku po nar. Chr. Słowianie występują dobitniej na widownią historii. Pomierzchłe niebo dziejów zaczyna się rozjaśniać, wychylając się z pod grubego mętu niewiadomości. Zjawiają się kronikarze i dziejopisowie wśród własnego narodu, o którym tylko dotąd dalecy i obcy prawili. Nazwa Sarmatów niknie w Słowiańszczyźnie, jak Scytyjskie znikło w Sarmacji. Z ogólnej masy Sarmackiej występują coraz dobitniej odrębne charaktery plemion rodzimych ze krwi, ale wyrabiających się w sobie różnie, względnie do miejscowości historycznych przechodów, różnorodnych zlewków, a tém samém względnie do napływu rozmaitych wyobrażeń, których byt, dzieje, istnienie lub upadek, mniej więcej krystalizuje się, i zostaje w pergaminach mnichów i ludu stanu. Lecz w przechodzie tym daremno wzrok pobożnych i odosobnionych ascetów sili się przeniknąć chmurę, jaką za sobą zostawili... W *Metamorfozie* Sarmatów na Słowian, wiele głuszy, mało echa. Kronikarze po rozmaitych punktach rozsadzeni, widzieli w pobliżu siebie występujących plemionach: Lachów, Zechów, Polanów, Chrobatów, Wenedów, Antów, etc. ale nie spotykali Sarmatów, które jak było ogólne dla wszystkich, tak nie zostało nieczyjém w szczególności. Wszelako idąc śladami starożytnych gdziekolwiek jakby omackiem natrafiamy na tę prawdę. Zawiadamiają oni, że *Antowie*, których także nazywali Sarmatami, biorący nazwisko swoje z Celtyckiego, co miało oznaczać *nadwodni*, plemie niewiadomo kiedy zjawione w Europie, lecz już za czasów Konstan-

tyna W. szeroce rozgałęzione między morzem Czarném, Dniestrem, Dunajem, aż do źródeł Wisły, byli to samo co Słowianie. Jornandes opisując zwycięztwo Emeryka króla Gothów nad Wenedami, powiada, że zwyciężeni byli jednego szczepu, na trzy nazwiska: Wenedów, Antów i Słowaków dzielącego się. Prokop zaś dodając, że te potrójne gałęzie, a szczególnie dwa ostatnie, mówiły jednym językiem: „*una utriusque lingua admodum barbara*“ mocniej o jedności ich potwierdza. Pliniusz, Tacyt i Ptolomeusz mówią, że Wenedowie-Sarmaci mają jeden język ze Słowianami, więc to byli Sarmato-Słowianie i mieszkali w liczbie wielu plemion, jakoto: Peucynów i Cestobohów Ptolomeuszowych, oraz Bastronów, Saboków i Biesów, Hirrów i Seyrów, wyraźnie plemion Słowiańskich, na przestrzeni znanéj przez współczesnego geografa Pomponiusza Mele, pod imieniem *Sarmacji*, ciągnącéj się, jak rzekliśmy, od m. Czarnego i Dunaju, do Wisły i Bałtyku.

Zdaje się że te pobieżnie schwyte szczegóły dostatecznie utwierdzą nas w przekonaniu, że Sarmaci i Słowianie byli jednorodowém plemieniem. Lecz gdyby odrzucić to przypuszczenie, cóżbyśmy natenczas zrobili z ogromnie rozgałęzionym rodem Sarmatów? Azaliż miałby się ulotnić razem z imieniem?!

Na zakończenie i wsparcie mojego mniemania, dodam jeszcze niektóre następujące uwagi. Ktoś wyczytał, że Herodot i później Strabon, wspominają o kaukazkiém plemieniu Lazów (Lezginów), których ostatni nazywa nawet Lachami, mieszkających nad Czarném m. w dawnéj Kolchidzie, czyli w miejscu dzisiejszego pobytu. Niektórzy pisarze wspierając się na starożytnych, uważają ich za współplemiennych Sarmatom (a więc i Scytom) bo tymże samym co inne hordy azjatyckie, które potem Słowianami nazwały się, mówiły językiem. Część tego plemienia, może w napływie Hunnów, zacieśnioną była do

rzymskiej prowincji Panonii, skąd wkroczyła do Polski, nadając imię Lachów. P. Maciejowski Lachów wywodzi także od Słowiańskiego plemienia Lazów, oznaczającego posiadaczy i uprawiaczy pewnego kawałka ziemi i równie przybyłego do Polski z wnętrza Germanii, czy niepomnę, Panonii. Porfirogenet Chozarów, Rusinów i inne ku północy plemiona uważa za Scytów. Assemani mówi, że wszystkie miejsca po Scytach tak w Azji jako i w Europie, zamieszkują ludy zwane Słowakami. Dziwna analogia, dowodząca przecie, że wszyscy starożytni pisarze jeżeli nie umieli rozwiązać zagadki, lub w rozwiązywaniu jej nie wdawali się, będąc atoli przekonani w duchu o tożsamości Scytów ze Słowianami, nie tylko że nie przeczyli, ale owszem samém powątpiewaniem, domysłem, stwierdzili. Jeszcze na koniec jedna uwaga. Uczeni filologowie upatrują wielkie podobieństwo tak w składni jako i w wyrazach języka greckiego ze słowiańskim, utrzymując przytém, że żaden z języków żyjących, nie jest tyle zdolnym do oddania rodzimego ducha w przekładzie pieśni Homerycznych, ile Słowiański. Na mocy tego przekonania, niektórzy Greków chcą wywodzić od Słowian. Naturalnie że im dalej będziemy zapuszczać się w wieki, tém bliżej staniemy u jednej, wspólnej wszystkim kolebki rodu ludzkiego; ale nie zapuszczając się tak daleko, zastanówmy się, ażali wzajemnie Grecy nie wpłynęli na wyrobienie i udoskonalenie języka Słowiańskiego na swój pierwotny? Jeżeli uznamy Słowian w Scytach, odpowiedź znajdziemy: Scytowie zostając w bezpośrednich i długich stosunkach z osadami Greckimi i Borysthenitami, Tirydami, Melezianami a może i Chiotami (Kijowianami) zachodzącemi w głąbie ich siedlisk, nie mogli pozostać obojętnymi na wpływ narodu wysoce już ukształconego. I religja, i zwyczaje, i język, musiały się udzielać. Tak polski wiele zajął z pierwiastku łacińskiego, historia mówi o hellenomanji Scytów. Bratobójca

Savlios zamordował Anacharsisa, kiedy ten wracając z Elady, zaledwo wstąpiwszy na rodzinny brzeg, przy odgłosie bębnów i litaurów, zanosił w złą godzinę ofiary cudzym bogom. Drugi król Scytów Scyles, niemniej przejęty Hellenomanją, i takiemuż uległy losowi jak Anacharsis, miał obszerny i wspaniały pałac w targowisku Borysthenitów, dokąd na całe miesiące przyjeżdżał hulać, ściśle wszakże przestrzegając, aby drużyny jego, które zostawiał za bramami miasta na przedmieściach, nie były świadkami sprośności, na sposób heleni do-konywanych. Wszystko to nie mogło pozostać bez pewnego wpływu na miejscowe obyczaje i język, a im bardziej który z dzisiejszych dialektów zbliża się w swym pierwiastku do greckiego, témbardziej przypomina oryginalne swoje pochodzenie. Z zachwycających dum Ukraińsko-Kozackich, próbowali już niektórzy ułożyć home-ryczną epopeję — Rusini więc, Ukraińce, miejscowi mieszkańcy, są prawi potomkowie właściwych Scytów!

I tak, z tego tylko zapatrując się stanowiska na odległą naszą przeszłość, mogę zrozumieć dla czego imię Scytów, wraz z pokoleniem znikając z widowni historycznej, mogło odrodzić się w nagle rozroslém na obszernej przestrzeni imieniu Sarmatów, a następnie Słowian.

Andrzej Podbèreski.

Ukraina. W Aleksandrówce, 1850 r.

O RUCHU SPÓŁCZESNYM NAUK SPOŁECZNYCH W OGÓLNOŚCI.

I.

DĄŻENIE UMYŚŁÓW SYNTETYCZNYCH

DO UTWORZENIA

FILOZOFJI SPOŁECZNOŚCI.

Dążenie nowszych uczonych do utworzenia Filozofji Społeczności, t. j. nauki rozważającej wszystkie kwestje społeczne we wzajemnych ich stosunkach, jawnie okazuje się w rozdzwignieniu naturalnych granic nauk specjalnych, z których każda ma za przedmiot rozważanie jednej jakiegokolwiek strony społeczności. To usiłowanie daje się postrzegać w opracowaniu Prawa i Ekonomji Politycznej.

Prawo pod wpływem nowszych teorii, zawiera w sobie cztery elementa—polityczny, prawny, moralny i ekonomiczny. Wyśledza ono prawa i obowiązki zwierzchniej władzy (finansowe i polityczne prawo), prawa i powinności prywatnych osób względem siebie (prawo cywilne); środki dla osiągnięcia wszelkich warunków pożądanego stanu moralnego i fizycznego bytu, jako: bezpieczeństwa, zdrowia, bogactwa, umysłowego, estetycznego, moralnego i religijnego rozwoju (prawo policyjne),

środki przywrócenia naruszonych praw za pomocą kar towarzyskich (prawo kryminalne) i na koniec, prawa i obowiązki państw względem siebie (prawo narodów). Przypuściwszy taki obszar prawa, należałoby uważać resztę nauk towarzyskich za zbyteczne, albowiem teoretyczne, praktyczne i historyczne zbadanie wyliczonych tu przedmiotów, obejmuje cały okrąg socjalnych pytań. Jednakże takiego monopolium nie żądał jeszcze żaden ze znanych jurystów; przeciwnie, oni uznają samoistność wszystkich oddzielnych nauk towarzyskich, często mówią o granicach każdej z nich, ale zarazem jakoś bez pewnej racji, mieszają je w jedno ciało, w jedną naukę, którą nazywają prawem czyli *prawoznawstwem*, nie zwracając na to uwagi, że w skład jej wchodzi przedmioty wszystkich towarzyskich nauk—sprowadzone do jednego wspólnego ogniska—do teorii *politycznego prawa*. Ale nauka prawodawstwa badana ze wszystkich stron, jakie wykazuje ono w swoich niezmiennych zasadach, w swoim historycznym rozwoju, w żaden sposób nie może być przedmiotem jednej ze społecznych nauk, owszem, zawiera w sobie cały ich obszar. Prawodawstwo w obszernym znaczeniu, wyraża cały system towarzyskich potrzeb, wyczerpuje całą ideę społecznego bytu. Dla czego stanowią się prawa? Dlatego, aby dać pewny kierunek działalności każdego członka społeczności, aby zobowiązać go do pełnienia jednej czynności, a unikania drugiej, aby dozwolić mu korzystać z jednych prerogatyw, a zabronić mu innych. A przeto ustawa, określa prawa i obowiązki osób żyjących w państwie; i te to prawa i obowiązki, służą za najbliższą zasadę prawodawstwu; prawo, w swoim właściwym obszarze, powinno ograniczać się badaniem tych najbliższych zasad, praw państwa. Przechodząc do dalszych zasad, wstępuje w sferę dwóch nauk, mających jednakowe z nimi prawo do samoistności, w sferę *ekonomji politycznej*, zajmu-

jącej się warunkami materialnego bytu, i w sferę *pedagogiki*, rozważającej prawa bytu moralnego. Tak np. zastanawiając się nad prawem ściągającym się do zachęty przemysłu, jurysta powinien ograniczyć się badaniem praw i powinności społecznej władzy, w stosunku do rozwoju tej części społecznego bytu. Co się zaś dotyczy naturalnych praw przemysłowości, służących téż z kolei za ośnowę prawa protegującego rozwój narodowego bogactwa — te zasady ściągają się już nie do prawa, lecz do ekonomji politycznej. Ale juryści nie dają się tém ograniczyć; przyznając samodzielność politycznej ekonomji, zarazem wprowadzają do swojej nauki teorię narodowego bogactwa, stosując ją do teorii policyjnego prawa. Czemże wytłumaczyć podobne uchybienia, jeżeli nie naturalną potrzebą ogólnej teorii społecznego bytu? Ta potrzeba umysłów syntetycznych, tworzących obszerne systemata, nie ogranicza się na rozprzestrzenieniu nauki prawa do granic filozofji społeczeństwa. Badając dzieła społecznych uczonych, osobliwie niemieckich, nie podobna nie zauważać, że oni zabrnęli jeszcze dalej, i wprowadzili do prawa, pod pozorem poszukiwania zasady prawnej, pierwiastki antropologiczne, które swoją własnością uogólniającą i niezmiennością, przewyższają potężnie zasady filozofji społecznej i służą jej samej za podstawę, — podobnie jak chemja nieorganiczna służy za podstawę organiczną. Dla przykładu weźmiemy teorię stosunków familijnych. Teorja prawa rozważając tę zasadę prawa cywilnego, wcale nie ogranicza się na poznaniu tej modyfikacji, która wypływa z związku familijnego na ustawy, z działania władzy społecznej, mającej prawo i powinność stanowić i zabezpieczać zewnętrzną siłą — prawa i powinności osób, zostających pomiędzy sobą w naturalnych stosunkach małżonków, rodziców, dzieci i krewnych. Cywiliści zawsze poczynają od danych antropologicznych, rozpatrują naturalną zasadę małżeńskiego skojarzenia,

rodzicielskiej władzy i rodowego powinowactwa; takie pytania czysto antropologiczne już przez zwyczaj weszły w sferę nauki, nazywającej się teorią *cywilnego prawa*. Zresztą, nie będziemy szukali przykładów; dość jest spojrzeć w sferę którą pod wpływem nowszej filozofji zakreśliło sobie prawo, aby się przekonać o dążeniu jego do rozwoju przewyższającego swoją obszernością nietylko granice pojedynczej społecznej nauki, ale nawet i całego systematu społecznego bytu. Wedle długo panującego systemu Hegla, sfera prawa jest sferą wolnej woli człowieka; a przeto wszystkie gałęzie swobodnej działalności człowieka powinny wchodzić w skład prawa. Potem cóż dziwnego, że ta nauka tak daleko rozpostarła swoje granice, objawwszy cały obszar nauk moralnych i społecznych. Oczywiście też, że juryści dążąc do wyprowadzenia jęj z tego obszaru, zgadzają się jednak na konieczność syntetycznego rozwicia jęj zasad. Tu działa duch czasu, któremu podług słów samego Hegla, nie oprzeć się nie może.

Słuszność takiego wyjaśnienia staje się tém oczywistszą, że równocześnie nam się przedstawia druga nauka, objawiająca swoje pretensje do podobnego rozwoju. Mówię o Ekonomji politycznej. Nie wszyscy pisarze zgadzają się na przyznanie dla niej granic, oznaczonych przez Smita. Nie mówiąc tu o ekonomistach niemieckich i włoskich, którzy prawie nigdy nie zapatrywali się na Ekonomję Polityczną, jako na teorię materialnego bytu społeczności, nie stosując jęj zarazem do interesów moralnych i politycznych, nie podobna nie zgodzić się, że i we Francji polityczna ekonomja zaczyna się zwracać do syntezy Kene i Seya. Kene wtrącał w nią rozprawy o urządzeniu władz rządowych, pytanie wprost należące do prawa. Sey, w swoim „*Cours complet de l'economie politique pratique*,” mówi we wstępie, że chociaż to jego dzieło ogranicza się na wyprowadzeniu na jaśnią praw pow-

stania, rozdzielenia i użytkowania narodowego bogactwa, jednakże ekonomja polityczna, w całkowitym swym rozwoju, dotyka wszystkich stron bytu społecznego: *ona obejmuje cały system życia społecznego (elle se trouve embrasser tout le système social)*. Myśl ta przyjęta została przez wielu ekonomistów, i spór między poplecznikami obszernego i ciasnego znaczenia politycznej ekonomji tak jeszcze daleki od ostatecznego rozstrzygnięcia, że w definicji tej nauki nie podobna uniknąć szczegółowego rozbioru rzeczzonego processu o odgraniczenie granic jej, od innych społecznych nauk. Jeden z poważniejszych francuzkich ekonomistów, w lekcjach mianych w 1836—1837 r., żali się na taką niezgodność zdań, w następnych wyrazach:

„Pierwsza kwestja nasuwająca się ekonomście, powiada, zależy dotąd na oznaczeniu przedmiotu, obszerności i granie politycznej ekonomji; nie może jej uniknąć, gdyby nawet to było powodem do zarumienienia się za swoją naukę. Z jednej strony nie zgadzając się o przedmiot i granice politycznej ekonomji, mybyśmy mieli trudność wyboru ważniejszych pytań, któremi należałoby się zając; z drugiej strony nie masz potrzeby dowodzić, że takowa zgodność nie istnieje zgola między ekonomistami. Definicja tej nauki dotąd jest jednym z najsprzeczniejszych jej punktów. Jedni uczeni zanadto skromni, przynajmniej z pozoru, naznaczają jej granice dość ciasne, albo, przynajmniej dość określone; ograniczają obszar nauki na dochodzeniu przyczyn tworzenia się i podziału bogactwa; ich zdaniem, przeszedłszy za te granice, nauka ta przestaje być ekonomją polityczną; innych przeciwnie, można by nazwać zarozumiałymi, —tak obszerne naznaczają jej granice, tak szeroco wzbogacają jej pole, najrozmaitszemi względami widzenia. W ich oczach, ekonomja polityczna powinna obejmować całą społeczność, jej organizację, jej potrzeby i postępy.

I jedni i drudzy ulegają równie wrzaskliwym obwinieniom. Pierwsi utrzymując naukę w granicach oznaczonych jęj w ogólności przez szkołę Smitha, oskarżają się za to, że zajmują się tak błachym przedmiotem jak bogactwo, bez uwagi na człowieka, towarzystwo, całą społeczną organizację: innych przeciwnie, naganiają za to, że chcą zrobić z politycznej ekonomji jakąś mieszaninę moralnych i politycznych nauk, jakąś zbyt wysiłoną syntezę.*

Tak mówi Rossi, jeden z wyobrazicieli analitycznego kierunku; ale jako w przytoczonych tu słowach, tak i w dalszym rozbiórce, którego tu nie wypisujemy, nie podobno nie zauważać, jak jest silną partja, na którą ten pisarz powstaje. Po tém wszystkiém nie można wątpić, że dążenie do utworzenia ogólnej teorii społeczeństwa jest dzisiaj rzeczywiste, i objawia się w rozszerzaniu szczególnych społecznych nauk.

II.

Przejdźmy teraz do kwestji ważniejszej: postaramy się zbadać słuszność potrzeby, wyrażającej się w tém dążeniu, którego rzeczywistość dowiedliśmy w poprzedzającym rozdziale. Jest-li możliwą filozofja społeczeństwa, jaki wpływ wywiera brak jęj na stan społecznych nauk, i jaką może przynieść korzyść ta nauka dla teoretycznego rozwoju i praktycznego zastosowania społecznych nauk?

Filozofja społeczeństwa, to jest nauka rozpatrująca wszystkie elementa społecznego życia we wzajemnym ich stosunku, jest nie tylko możebną, ale konieczną. Nie podobna nie przyznać, że objawy społeczne mają swój wyłączny charakter, zasadzający się na jednej ogólnej

* Rossi. Cours d'Econ. Politique, année 1836—1837.

idei. Zastanawiając się nad człowiekiem w bycie społecznym, badamy nie samą czystą, wyłonioną naturę jego, ale pewny stopień modyfikacji téj natury, pod wpływem pewnych okoliczności. Tak np. pojęcie osobistości wielkiego człowieka, jest bardzo rozmaite podług tego, jaki przeważa wzgląd w badaczu — antropologiczny czy socjalny. W pierwszym przypadku, będzie on badał wszystkie objawy, działające na rozwinięcie jego charakteru, a w liczbie tych, i społeczne, w tym celu, aby określić jego skłonności i siły w porównaniu do innych ludzi i do ideału człowieka. Przeciwnie, socjalista zwróci uwagę na też same objawy, mając na widoku wpływ ich na ukształcenie w nim tych usposobień, które miały postawić go w pewnym stosunku do społeczności. Nawet być może, że jakikolwiek szczegół jego indywidualności nie pochwਾਲony przez antropologa, socjaliście wyda się w nader pochlebnej barwie. Tak np. górująca żądza wyniesienia się, rys zapewne naganny w oczach pierwszego, może być chwalebny w oczach drugiego, albowiem w pewnych okolicznościach, namietność ta złączona z wielkim umysłem, może stać się powodem do czynów silnie dźwigających pomyślność społeczeństwa. Dalej analizując same czyny, antropolog zwróci niechybnie uwagę na ich wewnętrzną stronę i będzie o nich sądzić jedynie podług ich źródła, gdy tymczasem socjalista zajmie się wyłącznie ich rezultatem. Tak np. rozważając jakąś ofiarę na korzyść ogólną, pierwszy koniecznie powinien dociec, w jakim stopniu w téj ofierze miała udział czysta, bezinteresowna chęć dobra bliźniego, gdy tymczasem ostatni powinien przedewszystkiem rozważyć — jakie skutki przyniosła owa ofiara, czy przyczyniła się w czém do polepszenia bytu społeczności.

Jeszcze jaśniej można okazać wyłączność socjalnych kwestji w historii. Przedstawiając historyczny rozwój jakiegokolwiek gałęzi ludzkiej działalności, nie podobna

nie zauważać, że fakty historyczne mogą być rozważane pod dwoma względami: pod względem antropologicznym, albo społeczeńskim. Tak np. w historii literatury koniecznie nasuwa się pytanie: jak historyk powinien poglądać na postępy ludzkiego rozumu — w takim li stopniu, jak one działały na rozwój samą literatury, niezależnie od wszelkiego wpływu ich na społeczeństwo, w którym się ta literatura rozwijała, albo w stosunku do tego wpływu. Wzgląd na wartość literackiego utworu, zupełnie różny u estetyka i socjalisty: pierwszy będzie w nich szukał wartości bezwarunkowej, ceniąc je podług zasad o estetycznej piękności, które są niezienne we wszystkich wiekach i u wszystkich narodów; ostatni zwróci uwagę tylko na te z pomiędzy nich, w których jaśniej odbił się społeczny autorowi stan towarzystwa. Estetyk przeto nazwie nizezemnemi całe kupy ksiąg, które ukazały się na świat pod wpływem niestałej mody i zwróci się do utworów nieśmiertelnych, gdy tymczasem socjalista wyłącznie zajmie się temi, w których pomimo braku warunków sztuki żywo wyraziła się społeczność. Tak, przyszła historia społeczności, nie ominie bez szczególnego zastanowienia się nad temi utworami, społecznej nam literatury narodów europejskich, które dziś w niwecz podane przez estetyczną krytykę, jako plód spekulatorskiego ducha, stanowiącego jedną z charakterystyk naszego wieku. Tak i my, ucząc się z pamiętników literatury historii społeczności, nie możemy nie stawić wyżej Wertera Goethego, od jego Fausta, dla tego że w Werterze widzimy dań geniuszu wiekowi, w którym on żył, i który przyjął efemernego Wertera z bezporównania większym entuzjazmem niż wiekowego Fausta!

Z tych przykładów okazuje się, że świat społeczny zupełnie różni się od świata indywidualnego, że poznanie objawów społecznych wiedzie do prawd zupełnie różnych od tych, które pochodzą z poznania wyosobnionego, izo-

lowanego człowieka. A szereg jednorodnych faktów, w skutek organizującej siły umysłu ludzkiego, koniecznie wywołuje naukę, jako jedyną formę, jemu właściwą. Ale na to mogą nam odpowiedzieć, że nauki społeczne istnieją, albowiem jest prawo, polityczna ekonomja, pedagogika, polityczna historia. Tak jest, ale bez filozofji społeczeństwa, bez ogólnej teorii społeczeńskiego życia, nauki te giną w anarchji, na próżno dążąc do organizacji, któraby dała każdej z nich nowe życie, zaprowadziłaby między niemi porządek i uczyniła ich uczestniczkami żywej działalności, wyzwoliwszy z owoców jednostronnej analizy. W pierwszym paragrafie powiedzieliśmy o trudności orzeczenia stosunków każdej z tych nauk. Dodamy do tego, że w braku nauki, któraby rozpatrywała wzajemny ich stosunek, każda z nich, poddając się wymaganiom analizy, dąży do nowych podziałów, a każdy podział z kolei znowu objawia swe prawa do samodzielności i przywłaszcza sobie nazwanie samoistnej ukończonej nauki. Często jedna nauka wkracza w krainę innych, i przyswaja sobie samowolnie ich posiadłości. Skutkiem takiego nieporządku, społeczne nauki wystawiają żywy wizerunek feodalizmu, a spory uczonych o granice każdej z nich, nie ustępują swoją formalnością i oschłością teologicznym sporom wieków średnich. Kto pracował nad prawem, temu dla przykładu przypominamy dotąd ciągnące się spory uczonych z powodu kryminalnego prawa, które jedni z nich stosują do prawa politycznego, drudzy do cywilnego, trzeci czynią je nauką samoistną. Do téjże kategorii można odnieść spory o stosunku prawa finansowego do ekonomji politycznej. Przypominamy także, dla większego przekonania, potworny układ prawa policyjnego. Ale wyliczyć wszystkie spory, wynikłe w świecie uczonym, ze stanu anarchicznego społecznych nauk, jest rzecz niepodobna i nader nużąca; codziennie rosną i mnożą się, dając po-

wód do nieskończonej i płonnej polemiki, która wielu uczonym zabija wiele czasu na próżno. Bezrząd doszedł do tego, że niepodobna przystąpić do jakiegokolwiek nauki, nie przyprowadziwszy do porządku całego systematu społecznych nauk. To skłania nas do wniosku o konieczności takiej nauki, któraby pogodziła spór wiodące strony, przyprowadziłaby do jedności wszystkie wyłączości, i każdej wyłączości wskazała właściwe miejsce w całokształcie nauk. Ale ta wymuszona konieczność, nauka wynikła z takiego źródła, jest nieczem innem, jak kontrolą, której zasada leży nie w niej samiej, lecz w tém, czemu ona służy za środek. Filozofja społeczności ma wyższe znaczenie: wypływa z naturalnego postępu umiejętności. Nauka ta powstaje podług tychże praw, podług których powstały i szczególne społeczne nauki. Nagromadzenie idei i faktów politycznych — utworzyły prawo; nagromadzenie idei i faktów ekonomicznych — polityczną ekonomją; świat moralny w formach towarzyskich, znalazł sobie miejsce w filozofji moralnej, i jej części — pedagogice. Tak również i świat społeczny w którym te trzy światy mieszcza się jako części składowe, dąży z kolei do utworzenia przedmiotu jednej, wyższej nauki. Lecz po cóż, spytają mię, na nowo badać fakta społeczne, kiedy one już znalazły dla siebie miejsce w systemacie wiadomości ludzkich, jak fakty ekonomiczne, pedagogiczne i polityczne; czyż to nie znaczy pozbawiać ich tej fizjognomji, którą dała im analiza? Lecz, naprzód, istnienie filozofji społeczeństwa, zgoła nie niszczy istnienia prawa, politycznej ekonomji i pedagogiki; albowiem obszerny pogląd powstaje z ciśniejszego, — ogólny z cząstkowego. Powtóre, jednorodne fakta mogą być objaśnione w zupełności wtedy tylko, kiedy my objaśnimy ich wzajemny stosunek. Fakta polityczne, ekonomiczne i moralne, podlegają jednej idei, dając jej im znaczenie w życiu i zawierając się w harmonijném ich skojarzeniu. Pod tą ideą rozu-

mieć się tu społeczński dobro-byt, który służy za jedyną miarę przy określeniu wszelkiej działalności równie politycznej, jako ekonomicznej i pedagogicznej. Porządek rzeczy, opierający się na jednej ze społecznych nauk, wtedy tylko może być uznany za dobry bezwarunkowie, kiedy inne nauki go podtrzymują. Jeśliby handel Negrami mógł się usprawiedliwiać ekonomicznymi kombinacjami, to jednak rozum nigdyby go nie dopuścił dla względów moralnych. Ale tego nie dosyć. Historia nam przekazuje, że interessa polityczne, ekonomiczne i moralne, tak ściśle między sobą są związane, że powodzenie lub upadek któregośkolwiek z nich, niechybnie wiedzie za sobą powodzenie lub upadek dwóch innych. Ta prawda jest tak pewna, że bez ustronnych naciągów, nie podobna jest ukazać w historii jednego faktu, w którym można by było widzieć przyczynę prowadzenia jednego interessu, i w tymże czasie upadek drugiego. Zresztą inaczej być nie może: jeżeliby trzy strony społecznego bytu nie były z sobą w tak harmonijnym stosunku, społeczeństwo nie mogłoby istnieć inaczej, jak w chaotycznych formach, i samo siebie zniszczyłoby wieczną walką swoich pierwiastków.

I tak interessa polityczne, ekonomiczne i moralne mogą egzystować tylko w teorii, w rzeczywistości ich nie-masz; jest tylko interest społeczny, wyrażający ogólną ideę bytu społecznego. Przeto, żywa idea społecznych nauk, zawiera się w filozofji społecznej, w ogólnej teorii społecznego bytu; gdy tymczasem polityczna ekonomja, prawo i pedagogika, są to nauki mające znaczenie jedynie tylko stosunkowe do niej. Oto dla czego nie można zastosowywać wyników tych nauk do praktyki, nie rozważwszy ich z punktu filozofji społecznej. Oto dla czego wszystkie jednostronne teorie społecznego urządzenia, okazują się szkodliwymi w zastosowaniu.

Przykładem jednostronnego rozwicia i zastosowania zasad ekonomicznych, może służyć Anglja. Angielscy ekonomiści różnią się od wszystkich innych, jednostronnością swego poglądu. Usługa okazana przez nich ekonomji politycznej, zawiera się w surowém analityczném rozwiciu zasad ekonomicznych. Adam Smith i jego szkoła o nie się tak nie troszczyli, jak o wyosobnienie zasad ekonomji politycznej. Kierunek ten trwa dotąd. Wierząc tylko w moc analizy, angielscy ekonomiści oczyszczają swoją naukę od wszelkiej mieszaniny moralistyki i polityki; unikają tego co my nazywamy filozofją społeczności i stosują do życia jednostronne doktryny, mające na celu bogactwo jako fakt oddzielny, od niezego nie zależący, z niezem nie połączony organicznie. Względ ten, fałszywy w nauce, staje się zgubnym w praktyce. Całe państwo zamienia się w kantor, ludzie w rzeczy i maszyny, sami tylko bogacze zachowują mniej więcej ludzki charakter; albowiem oni są właścicielami téj maszyny. Polityczna ekonomja utraciła tam charakter nauki, osnowanej na idei bytu społecznego, i posłużyła za podstawę monopolji arystokracji bogactwa. Zarzuty, któremi osypuje *Eugenjusz Buret*, autor gruntownego dzieła *o ubóstwie klass roboczych w Anglii i we Francji*, ekonomików angielskich i francuzkich, za takie jednostronne zastosowanie zasad czystej teorji, przedewszystkiém powinny stosować się do pierwszych, albowiem ekonomja polityczna zjawiła się we Francji jako nauka ściśle złączona ze wszystkimi społecznymi pytaniami i pod względem czysto filantropicznym, wyrażającym się formułą *le plus grand bien du plus grand nombre*. Adam Smith założyciel angielskiej szkoły, poszedł wcale inną drogą; w oczach jego świat ekonomiczny wydaje się jakby nie miał żadnego stosunku do społeczności i jego bytu; ekonomiczne interesa mają dlań ważność bezwarunkową. Względ ten do téj pory odznacza angielskich ekonomików. Na

nieszczęście ma on swoich popleczników i we Francji, niemniej przeto znalazło się w tym narodzie przedstawicieli przeciwnego poglądu. Co się dotyczy Anglii z jej analitycznym poglądem na świat i towarzystwo, to—zgubne następstwa jej jednostronnej analizy zanadto wyrażnie wyrażają się w milionach parjów, egzystujących w owej stronie obok bajecznych bogaczy, dla których teoria Smitha posłużyła za klucz do mitologicznej potęgi. Obraz tego straszliwego porządku rzeczy, zakreślony piórem p. Buret, jest jasnym dowodem tego, że zastosowanie jednostronne zasad politycznej ekonomji, równie jako i prawa, zgubnym jest nie tylko dla interessów moralnych i politycznych, ale i dla interessów właściwie ekonomicznych.*

Przeciwieństwo Anglii przedstawia Germanja. Jak Anglja wyraża jednostronność ekonomiczną, tak Germanja przeciwnie, ostateczność moralną. Zrobimy uwagę przy tém, że z interessów moralnych, przeważa tam interess uczony. Nauka jest tak wyosobnioną u Niemców, jak u Anglików przemysł. Fakt ten zanadto wiadomy i głęboko uznany przez wszystkich nie-niemców, pod względem wpływu, który on tak słabo wywiera na rozwicie interessów politycznych i ekonomicznych. Ale obaczmy co uczyniła niemiecka nauka dla siebie samėj. Nie pochwalając politycznego i ekonomicznego rozwoju Germanji, wielu zagranicznych pisarzy uwielbia niemiecką uczoność. Nie mówiąc o nas samych Polakach, nie podobna nie zauważać, że i Francuzi zaczynają zwracać się za Ren; tak 'niegdyś Greczyn marząc o nabyciu mądrości, myślą dążył na święte brzegi Gangesu. Nauka języka niemieckiego staje się coraz powszechniejszą we Francji; francuzey uczeni zaczynają pojawiać się w niemieckich

* De la misère des classes en Angleterre et en France etc. par Eugène Buret.

uniwersytetach; w uczonych dziełach francuzów, zaczy-
 nają ukazywać się cytaty niemieckich autorów; niemiecka
 filozofja zaczyna znajdować odgłos aż w Sorbonie. Co do
 mnie, jestem ze czcią i uwielbieniem dla zasług niemiec-
 kich uczonych, mając na uwadze, o ile obowiązane są im
 w ogólności europejskie nauki. Lecz rozważając Niemcy
 we własném ich łonie, nie mogę nie wspomnieć słów Mi-
 szleta: *l'Allemagne c'est l'Inde en Europe*.^{*} Czytając Kol-
 bruka wykład filozofji indyjskiej, Europejczyk musi zdumie-
 wać się nad podobieństwem jęz. z filozofją niemiecką.
 Mówimy tu nie o wadach, ale o filozoficznych systema-
 tach, powstałych w ludziach niezależnie od religji. Taż
 sama myśl daleka od życia, pogrążona w rozważanie
 swój istni, bez żadnego zastosowania do rzeczywistości,
 taż syllogistyka, też młodzieńcze marzycielstwo; jednym
 słowem, wszystkie cechy niemieckiej nauki. Ale mówić
 o takim autorytecie bez dowodów, byłoby zarozumiało-
 ścią, i dla tego pośpieszamy przedstawić powody naszego
 przekonania i sądu.

Główny niedostatek niemieckich uczonych jest w tém,
 że tworzą sobie teorie, nie gruntując je na faktach. Po-
 twierdza to cała historia ich filozofji od Kanta do Hegla.
 Zaczynamy z Kanta, gdyż on pierwszy zrzucił stanowczo
 okowy teokratycznego poglądu, któremu ulegał jeszcze
 Leibniz. Kant wyraził swoją nauką ten perjod umysłowe-
 go rozwoju Niemiec, kiedy pytanie o wolności myśle-
 nia uważane było za rostrzygnięte; przeto, od tego czasu
 można sądzić o niemieckiej filozofji jako o sile, zupełniej
 wyzwolonej z pod obcego wpływu i zostawionej własnemu
 postępowi. Jakże skorzystała niemiecka filozofja ze
 swój wolności? Kant, niezadowolony panującymi do jego
 czasów filozoficznymi systematami, zwrócił się do bada-
 nia sił duszy człowieczej dla tego, aby osnować filozofje

^{*} Introduction à l'histoire universelle par Michelet.

na psychologii. Zamiar ten bez wątpienia był nader gruntowny, albowiem przystępując do dzieła, naprzód—rozumie się, trzeba być pewnym narzędzia do wykonania onego. Mając na celu przedewszystkiém zdolność pojmowania, zbadał wszystkie siły duszy czyli rozumu, gdyż podług jego pojęć dusza jest—rozumem. Ale rezultat jego poszukiwań okazał się jednostronnym; zawiera się on w bezwarunkowej niezależności zdolności pojmowania od doświadczenia, i w niezależności woli od pożądlivości. Nie masz potrzeby dziś dowodzić, że ten idealizm nie przedstawia zupełnego systematu psychologicznej nauki; albowiem ograniczoność rozumu i woli jest fakt zupełnie przyznany przez nowszą psychologię. Zkąd mógł powstać tak wielki błąd u człowieka, obdarzonego wyższą potęgą umysłu? Bez wątpienia ztąd, że pogrążył się w marzycielstwo, i nie zwrócił uwagi na rzeczywistość faktów. Skutkiem tego lekceważenia praktyczności było to, że prawda objawiła mu się z jednej strony, i wyraziła się w nauce, nie tylko nie podobnej do zastosowania w praktyce, ale i fałszywej w znaczeniu logiczném. Za Kantem poszedł Fichte, którego nauka przedstawia zupełną analogję z nauką sofistów dawniej Grecji. Pojęcie osobistości (indywidualności), stanowi zasadę jego filozofji. Podług tego systematu, zasadą ludzkiego pojmowania jest uznanie się człowieka we własnej swój istocie, czyli samouznanie. Ale uznając siebie za coś wyosobnionego, samodzielne, człowiek dla téjże samej przyczyny nie może nie przypuszczać bytu (trwania) innych przedmiotów; i takim sposobem dochodzi do poznania zewnętrznego świata. Na to można zrobić uwagę, że zdolność myślenia rozwija się u człowieka w pewnym wieku, i przy wiadomych warunkach. Tymczasem każde dziecko ma pojęcie o świecie zewnętrznym za pośrednictwem działania jego na zmysły; czyż ono nabywa tego pojęcia za pośrednictwem syllogizmu, postawionego przez Fichte, na czele

teorii samouznania? Podobnemi syllogizmami objaśnia ten, zresztą niopospolicie dowcipny filozof, czynność człowieka w towarzystwie. I cóż to jest za nauka?

Szelling i Hegel unieśli się czystém myśleniem jeszcze dalej od swych poprzedników. Szelling przyjmuje za zasadę materji i ducha jeden i tenże sam pierwiastek—bezw warunkowość. Ale pytamy: nie mając możności znać objawy jakiegokolwiek pierwiastku w zupełności, można-li mieć pretensje do poznania samego tego pierwiastku? Czyż my możemy gruntownie określić duch albo materję? Określenie jednego i drugiego może być tylko ujemne: duch jest przeciwny materji, a materja przeciwna duchowi. Gdybyśmy mogli objaśnić siły, przez które oni się objawiają, wtedy zapewne moglibyśmy dojść i do pojęcia całości, utworzonej przez te siły. Tymczasem te siły wiadome nam są jedynie ze swoich zewnętrznych objawów, podług warunków swego przejawiania się w wiadomych faktach. Ciężkość, podzielność, nieprzenikliwość, wyobrażenia, myślenie, jedném słowem—wszystkie siły materjalne i duchowne, znajome są nam jedynie z wpływu ich na nas samych i na świat nas otaczający. A nie znając części, nie można znać całości. Przeto grunt ducha i materji, pozostaje dla nas zagadką. Dla téjże samej przyczyny, jeszcze dziwniej byłoby mieć pretensje do poznania tego pierwiastku, który w sobie zawiera i duch i materję. Z tych prostych pojęć, nikomu nie obcych, nie podobna nie zauważać, że poznanie absolutu, należy do zagadnień niedostępnych dla człowieka, i filozofja u Szellinga przedstawia się nam marzeniem młodzieńczej syntezy. Marzycielski onęj kierunek, wielce się objaśnia poetyczną epoką, w której on zaczął obmyślać i tworzyć swój systemat. Hegel, zdaje się, szczerze pragnął połączyć naukę z życiem; to pragnienie jawnie wyraziło się w nauce jego o tożsamości rozumu i rzeczywistości. Ale sam jego systemat, po-

mimo genialnego rozwinięcia niektórych części,* także jest marzycielski jako i systemat Szellinga. Zasadą bytu podług Hegla, służy myśl, która się naprzód, poznaje, jako pogrążona w samą siebie, powtórę, w zewnętrznym świecie jako rozum przyrody, potrzebie, jako myśl pojmująca siebie duchem. Z tego widać, że myśl u Hegla jest toż samo, co u Szellinga absolut: ona jest — pierwiastkiem i ogólną zasadą materji i ducha. A zatem, do tego systemu stosuje się zupełnie, cośmy powiedzieli o systemacie Szellinga.

Z tego krótkiego zarysu ważniejszych systematów niemieckiej filozofji, nie podobna nie wniesć, że najwięksi przedstawiciele nauki w Niemczech, nie czynią zadość potrzebom uczoności, pozwalając sobie oddawać się całkiem myśli niezależnie od doświadczenia, a tém samém, nie tworzą prawdziwej nauki.

Nie mniej przekonywającym dowodem, jakim jest obcy pogląd na organiczny związek idej z faktami, służy praktyczne nauki, osobliwie prawo. Wiadomo że najznakomitsi niemieccy prawnicy dzielą się na trzy szkoły — filozoficzną, historyczną i pośrednią czyli jedną. Szkoła filozoficzna utrzymuje, że prawo powinno być badane jako nauka abstrakcyjna. Przeciwny względ charakteryzuje szkołę historyczną, która nie chce dopuszczać innej metody, jak tylko historyczną. Nareszcie trzecia zajmuje środek pomiędzy dwoma ostatecznościami, łącząc filozofją z historją. Ale zauważmy, że to połączenie nie ma ani cienia tego organicznego ducha, którym tchnie nauka we Francji, kiedy wpadnie pod pióro uczonego, nie powodującego się ani bezduszną analizą Anglików, ani bezcielesną syntezą Niemców. Dowodzić to byłoby zby-

* Osobliwie nie podobna nie przyznać go za niepospolitego geniusza, za dzieło jego: *Filozofja Historji*.

teczném; przyszłoby się wyliczać całe katalogi niemieckiej prawniczej literatury.

Przywiedzione tu przykłady narodów, przedstawiających wyłączną przewagę jednej jakiegokolwiek strony społecznego bytu, mogą służyć na potwierdzenie teoretycznych wywodów o konieczności filozofji społeczeństwa, dla praktycznego zastosowania społecznych nauk. Dodamy do tego jeszcze jedną okoliczność, zasadzoną na ścisłej analogji. Łatwo można dowieść, że historia szczegółowych nauk socjalnych, już usprawiedliwiła konieczność syntetycznego rozwinięcia nauk w ogólności, równie w teoretycznym jak i w praktycznym względzie. Przypomnijmy historję systematów politycznej ekonomji. Od XV wieku, nauka ta stale rozwijała się w teorji i zastosowywała się w praktyce. Wiadomo, jak jednostronne pojęcia, przyjmujące za zasadę narodowego bogactwa na-przód pieniądze, potem — handel, potem — przemysł fabryczny, potem rolnictwo, — jak wszystkie one obalając siebie wzajemnie jedno po drugim i w teorji i w praktyce — zwały się nareszcie w jedną naukę, w której jednostronny pogląd uważany niegdyś za absolutny, ma też swoje względne miejsce. Nowsi ekonomiści nie należą ani do merkantylistów, ani manufakturzystów, ani fizjokratów; oni przyznają zarówno wszelkie źródła bogactwa i wszelkie rodzaje kapitałów. Jednostronne systemata okazały się wszystkie jeden po drugim fałszywemi w nauce i zgubnemi w praktyce. Toż samo przedstawia nam historia prawa i pedagogika. Lecz ukończywszy pracę tworzenia oddzielnych organizmów, twórczy duch człowieka dąży do utworzenia z nich organizmu ogólnego, tak że proces zbudowania społecznej filozofji jest tylko przedłużeniem procesu utworzenia prawa, politycznej ekonomji i moralności. — Z tego punktu widzenia, poglądy: polityczny, ekonomiczny i moralny, wydają się nam

także jednostronnemi, jak np. merkantylność w teorii ekonomicznego bytu, jak machiawelizm w polityce, jak scholastyeczność—w moralności.

III.

Każdy przedmiot jest jakąkolwiek całością, dzielącą się na części, i w tymże czasie częścią jakiejś innej całości. Każda nauka zajmuje się badaniem jakiejś całości, i dla tego do organizmu jój koniecznie wchodzi: 1) pojęcie zasadniczych części badanego przedmiotu; 2) stosunek tych części pomiędzy sobą i 3) stosunek badanej całości do innych całości, będących z nią w bliższym związku.

W poprzedzającym rozdziale starałem się dowieść, że filozofja społeczna ma zupełne prawo na samodzielność nauki. Więć i jój organizm powinien zawierać w sobie te trzy części, o których dopiero rzecz idzie. Dla tego, pierwsze pytanie tu przedstawiające się jest w określeniu zasadniczych części społecznego bytu, albo społecznego stanu * (albo nakoniec, cywilizacji w obszerném znaczeniu).

Guizot, jeden z największych przedstawicieli analitycznej szkoły, starał się rozstrzygnąć tę kwestję na pierwszjej lekcji swego kursu historii cywilizacji w Europie, gruntując się na przyjętém powszechnie żywém pojęciu słowa *cywilizacja*. Doszedł on do rozdzielenia cywilizacji na *wewnętrzną* i *zewnątrzną*, rozumiejąc pod wewnętrzną—rozwicie człowieka niezależnie od związku jego z innemi, a pod zewnętrzną—rozwicie jego jako członka społeczności.

* Nowsza nauka doszła nareszcie do tego rezultatu, że udoskonalenie i rozwój czyli postęp, są dwa pojęcia jednoznaczne, że prawidła swobodnej działalności w gruncie swoim zupełnie zgadzają się z niezmiennemi prawami bytu. Oto dla czego pozwalamy sobie dowolnie używać wyrażenia: rozwój czyli rozвите społecznego życia albo społecznego bytu.

Rossi (loc. cit.) przedstawił rozbiór tegoż pojęcia, ale uniósł się względem antropologicznym i powiada, że na stan społeczny można patrzeć albo ze stanowiska bogactwa, ze strony tak nazwanego bytu materialnego i ze strony bytu moralnego. Przeto—Guizot nie zwrócił uwagi na rozwój ekonomiczny, a Rossi, na rozwój polityczny. Takich niedokładnych definicji spotyka się mnóstwo u rozmaitych pisarzy. Dla uniknięcia tej niedokładności, najlepiej jest udać się do faktu rzeczywistego, i spojrzeć na przewagę różnych stron idei społecznego bytu w rozmaitych narodach.

W przeszłości i dzisiejszości nie możemy wskazać ani jednego narodu, któryby przedstawiał życiem swoim harmonijne połączenie wszystkich stron społecznego bytu, bez górowania jednej którejkolwiek nad innemi. Genjusz ludzkości w pochodzie swoim od Gangesu do Atlantydy, ani razu jeszcze nie zajaśniał zgodnym blaskiem sił swoich. Zwracając się do środka historii, ku wschodowi, nie znajdujemy tam ani jednego rozwitego państwa, któreby wyraziło lub wyrażało kompletną ideę społecznego bytu. Wschodnie państwa starożytne i nowe, mogą być rozdzielone na trzy kategorie: jedne z nich przedstawiają przewagę elementu politycznego, drugie objawiają w sobie świat utilitarny, trzecie—świat wewnętrzny człowieka. Do pierwszych należą państwa, naprzód: powstałe z bytu patriarchalnego, i które zachowały jeszcze całą zewnętrzną plewę tego ziarna, jak Chiny i Japonja; powtórę, z zaborów, jak wszystkie państwa Tatarskiego plemienia. Do drugiej kategorii należy odnieść mnóstwo narodów semitycznego plemienia. Fenicjanie i Kartagińczycy należą do narodów wyłącznie handlowych. Nareście Indjanie, starożytni Medowie, Chaldejczycy, Żydzi i Egipcjanie należą do narodów, u których moralne rozwiniecie, nadewszystko w formułach teo-

kracji, brało górę nad wszystkimi innemi gałęziami bytu społecznego. W Europie widzimy zupełnie toż samo. Grecja przedstawia najpiękniejszy kwiat indywidualnego udoskonalenia człowieka; żadna sztuka nie może dotąd postawić się na równi ze sztuką grecką. Grecja wydała dla nauki Platona i Arystotelesa; z nauki tych filozofów powstała w Europie cała synteza i cała analiza; w moralności, Grecy przedstawiają nam straszny przykład uznania się w samodzielności pojedynczego człowieka. Za to — ekonomiczne i polityczne zasady nie wytrzymały walki ze światem moralnym i poddały się jego wpływowi. Oto dla czego kwitnący perjon greckiego bytu był niedługi i energją swoją wycieńczył siły żywotne społeczności. Rzym z kolei uległ temuż losowi od przewagi interesów politycznych, jak już było mówiono w poprzedzającym rozdziale. Nareszcie co się dotyczy państw, powstałych na rozwalinach państwa rzymskiego, i tu spotykamy też same kategorie. Franeja, która zlała w sobie ściślej od innych państw zachodnich świat rzymski z germańskim, nie mniej przedstawia przewagę politycznego elementu nad wszelkimi innemi; światy moralny i ekonomiczny, znacznie są mu podwładne. Učení francuzey zawsze odznaczeni się politycznym kierunkiem. Zresztą nauka u Francuzów bliższą jest ideału. Daleko trudniej będzie dla nich wyzwolić się z owoców społecznych w sztuce: oprócz Moljera i Szenie w literaturze, Minjara, Żuwene, Lessuera i Lebruna w malarstwie, niemasz artystów, którzyby wznieśli się do wiekuistych utworów. Co się zaś dotyczy moralności i religii, żadne państwo nie przedstawia takiego przykładu wpływu politycznych zasad na obyczaje. Anglja przeciwnie przedstawia typ państwa przemysłowego. Włochy przedewszystkiem są krainą sztuki. Niemcy, jak się wyraził Menzel, są ogromną księgarnią. Holandia i Belgja jest doskonały *pendant* Anglii. Pozostają plemiona Skandynawskie i Słowiańskie. Trudno powie-

dzić aby się one odznaczały jaką jednostronnością: w tém to, być może, i jest ich charakterystyka.

Z tego spisu państw wschodnich i europejskich, starożytnych i nowych, nie podobna nie wniesć, że historia i społeczność odkrywają przed nami trzy strony społecznego bytu — ekonomiczny, moralny i polityczny. Teoria może potwierdzić ten potrójny pogląd na ideę filozofji społeczności.

Dowieść samodzielności tych trzech sfer społecznego bytu, znaczy toż samo co dowiesć samodzielności politycznej ekonomji, moralności czyli pedagogiki i prawa, albowiem podług zdania naszego, byt fizyczny czyli ekonomiczny stanowi przedmiot politycznej ekonomji; byt moralny, przedmiot pedagogiki, a byt polityczny przedmiot prawa. Dla tego, rozstrzygnąwszy pytanie o samodzielności tych nauk w granicach takiej definicji, rozstrzygniemy zarazem i kwestję samoistności trzech wyrażonych tu sfer bytu; zarazem postaramy się dowiesć ich wyłączość. Zaczniemy od ekonomji politycznej.

Przedewszystkiém potrzeba zgodzić się na to, że zaspokojenie fizycznych potrzeb, zgoła nie stanowi fizycznego czyli ekonomicznego bytu. Znaczenie tego ostatniego daleko obszerniejsze: obejmuje on w sobie cały system ludzkich potrzeb w miarę tego, ile one mogą być zaspokojone przez działanie człowieka na świat zewnętrzny. Tak np. ciekawość jest koniecznością czysto moralną; niemniej jednak drukowanie i sprzedaż książek jest faktem ekonomicznym; faktem materialnego bytu, — nadanie wartości, za pomocą pracy. Książka zaspokaja potrzebę moralną; handel księgarski służy tu tylko za środek; przeto znaczenie jego zależy od potrzeb moralnych. I w każdej zamianie, w każdej pracy, pierwszą dźwignią jest zaspokojenie, którego nie mamy prawa ograniczać zakresem

naszej fizycznej natury. Jeden potrzebuje kawałka mięsa, drugi również koniecznie potrzebuje ksiąg; inny jakich płaskorzeźb dla ozdobienia domu. Przemysł czyni zadość wszystkim żądaniom. Przeto nie należy go uważać jako środek do zaspokojenia potrzeb fizycznych tylko.

I tak, byt fizyczny zawiera się w materialnych środkach zaspokojenia wszystkich ludzkich potrzeb. Obecność tych środków stanowi to, cośmy przywykli nazywać *bogactwem*. Przeto mylą się ci, którzy się zgadzają ze zdaniem Rossi, jakoby bogactwo i byt materialny były dwie rzeczy różne. Pierwsze — jest tylko faktem, wyrażającym ten ostatni. Nikt dziś nie patrzy na bogactwo, jak na kupę złota: wszyscy dziś pojmują, że bogactwo zawiera się w materialnych środkach do zaspokojenia potrzeb za pomocą rzeczy. Rzecz godna uwagi, że w wykładzie świętej nauki, sam Rossi mimowolnie wyraża ten pogląd; z zapamięłunkiem powstaje przeciwko tym ekonomikom, którzy ograniczają się badaniem zmiennej wartości, usilnie dowodzą im, że zmienna wartość zawisła od potrzebowania; potrzebowanie rozstrzyga całą kwestję: gdyby nie było potrzebowania, nie byłoby i zmiennej wartości. — Przy takim poglądzie, niemożna nie nazwać sprzecznością jego pojęcia różnicy między bogactwem i fizycznym czyli ekonomicznym bytem, gdyż potrzeby tak są rozmaite, jako i rzeczy służące do ich zaspokojenia. W jednym miejscu powiada, że biorąc za jedno bogactwo i byt fizyczny, należałoby odnieść do politycznej ekonomji — architekturę i medycynę. Taki zarzut może być łatwo zbity. Architektura i medycyna w społeczności, w samej rzeczy nie są obce politycznej ekonomji, w miarę tego o ile, obiekty nauki zależą od warunków rzemieślniczych.

Romuald Podbereski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

STATYSTYKA.

KILKA SŁÓW

O DOMACH POPRAWY I OCHRONY

DLA NIEPEŁNOLETNICH.

ROZPRAWA

PRZEZ

Maćka Matewkę.

Część pierwsza.

Kochaj bliźniego twego, jako siebie samego.

Celem domów poprawy i ochrony, jest powstrzymać młode pokolenia na drodze występku; uchronić te młode łatorośle od mroźnych wiatrów, które w samym zarodzie mogłyby zniszczyć wszystkie soki pożywne.

Chcąc złe wykorzenieć, trzeba je zabić u samego źródła. Zhadać naturę człowieka jako jednostki, i jako cząstki ogółu, obowiązki jego naturalne dla towarzystwa, i towarzystwa dla niego, — oto jest pierwsze pytanie, które wypływa z natury rzeczy, i które zamierzyłem rozwiązać w pierwszej części przedsięwziętej pracy.

Pokazać — jak towarzystwo, widząc złe dęgnące się w swém łonie, starało się mu zapobiedz, — jakich używało środków, — o ile te środki zgodne były z naturą człowieka, — i o ile one wpłynęły na podniesienie mo-

ralności i religji, — będzie to założeniem drugiej części tej rozprawki.

Czuje że tak trudna praca przewyższa moje siły, biorę się jednak do roboty śmiało i z pogodną myślą — bo wiem że służę pocziwój sprawie — i wiem, że jeżeli kto nie może całego gmachu zbudować, to powinnością jego jest choć jedną niedzną cegielkę do budowy przydać.

I.

Wielu już pisało i mówiło o rozszerzeniu oświaty, za-
szczepieniu moralności i podniesieniu klasy biednych
z odrętwienia, spodlenia i zależności, w jakiej zostaje po-
grążoną, przez brak oświaty, złe nałogi, i nakoniec —
przez występki.

Każden podawał środki zaradzenia złemu; jedni wi-
dzieli złe w naturze człowieka, inni znówu w instytucjach;
które z tych zdań ma prawdę za sobą? — jest to pierw-
sze pytanie które założyłem sobie do rozwiązania.

Co do natury człowieka, rozmaite są hipotezy, jedni
powiadają: że człowiek rodzi się ze złemi skłonnościami,
i że nie go już poprawić nie potrafi; że nad kolebką ka-
żdego nowoprzybyłego obywatela świata — wisi *fatum*,
którego żadna moc ludzka przełamać nie może.

Inni twierdzą, że człowiek rodzi się istotą nijaką, bez
żadnych skłonności, i że tylko wychowanie może w nim
wyrobić pewien charakter, pewną normę dalszego postę-
powania.

Ostatnie zaś zdanie najbardziej prawdopodobne, że
wszyscy ludzie z natury swojej są dobrzy, ale tylko sta-
ją się występnyimi, w skutek złych instytucji.

Każde z tych zdań ma swoją stronę dobrą, ale ma też
i fałszywą — a środki do kształcenia młodych pokoleń,

wynikające z tych zasad, równie są nieodpowiednie potrzebom.

Wiele jest i innych jeszcze przypuszczeń, ale dlatego tylko o tych trzech wspominałem, że one służyły punktem wyjścia trzech religij, które wywarły wpływ na towarzystwo, i uosobiły się w formach instytucji rządowych.

Kalwinizm, Luteranizm i Katolicyzm, — możnowładztwo, indywidualizm (monarchja konstytucyjna) i monarchizm, mają się tak do siebie jak myśl i jej objawy.

Pierwszą zasadę uosobił w swęj nauce Kalwin, ascetyczno-krwio-żerczy reformator genewski.

„Ozłowiek nie ma wolnej woli, jednakże jest odpowiedzialnym za swoje postęпки,“ oto jest *ultimatum* Kalwina; ten paradoks następującęm popiera zdaniem: „*Ubi quaeritur cur ita fecerit Dominus, respondendum est, quia voluit.*“

Kalwin przypuszcza królestwo wybranych i królestwo przeklętych, a między nimi przepaść, nigdy niezapełniając, nigdy nieprzebytą.

Tomacząc grzech pierworodny za pomocą swojej krwawej i piekielnej logiki, skazał trzy czwarte rodu ludzkiego na pastwę szatana; odrzucając wolną wolę, a zatrzymując piekło, trzymał w odwodzie, za zbrodnie których niepodobna było uniknąć, kary pełne okropności. Skazując dziecię jeszcze we wnętrzościach matki, zadawał największą obelgę Bogu, uwielbiając jego niesprawiedliwość, okrucieństwo i wszechmocność.

Biorąc kalwinizm w przystosowaniu do życia, wybrani — są to bogacze, przeklęci — proletarjat, między jednymi i drugimi — fatalna przepaść — i boży kaprys, ślepy traf urodzenia, który trzeba znosić i uwielbiać.

Jeżeli byśmy, wychodząc z tej zasady, chcieli kształcić młode pokolenia, to byśmy musieli zostawić wszystko na wolę Boga, bo i na cóż się zdało wpływać na podniesie-

nie moralności w człowieku, który musi, nie zważając na wszelkie przeszkody, zostać łotrem? Byłby to czas na próżno stracony i praca jałowa.

Luther w swoim dziele: „*De libertate christiana*,” następujące zrobił założenie: „życie człowieka jest to ciągła walka ciała i duszy.” — A ponieważ według jego teorii dość było wiary bez uczynków do zbawienia, wiara zatem była wszystkiem, uczynki niczem; mnich noszący włosienicę, martwiący ciągle swoje ciało — staje niżej od laika mającego wiarę. „Z drugiej strony nie każdy może mieć wiarę, mówi dalej Luther, „Bóg ją daje lub ję odmawia; człowiek zatem nie jest wolny w swych postępkach; jeżeli zaś nie ma wolnej woli, kościół nie ma prawa nic mu przypisywać, jeżeli człowiek zależy jedynie od Boga. Zbawienie zatem jego, nie może zależeć od innego człowieka; zostając zaś w jednakowej zależności od Chrystusa, ostatni z wierzących i papież, są równi w obliczu Boga, — pocóż więc papież? — Oto są pierwsze *dane* protestantyzmu — jakie ich były skutki, każdemu wiadomo. Wychodząc z swęj zasady Luther, dalej wpada w błąd wielki.

„Cóż ztąd dla duszy, powiada on, że ciało będzie zdrowe, wolne i ożywione, że będzie jadło, piło, że będzie działało według swęj woli — nie jestże to udziałem zarówno wybranych pańskich, i hołdowników występku? I z drugiej strony jakąż przeszkodę może stawić duszy rozstrój ciała, głód, niewola, pragnienie — jedném słowem, złe zewnętrzne jakiegokolwiek rodzaju. Czyż ludzie najbardziej bogobojni, najczystsze sumienia, nie podlegają temu?”

Luther zatem podjąwszy na się trud usamowolnienia myśli, zapomniał o drugiej połowie człowieka, i to jest jednym z największych błędów tego myśliciela, który się krwawo odezwał w instytucjach zachodu.

Dusza i ciało są połączone tak, nierozzerwanemi węzłami, których nie przyznać byłoby niedorzecznością. Myśl maleje w zrujnowaném ciele, i jeżeli ciało przyzwyczaj się upadać, dusza musi się spodlić; bez wątpienia, bywały pojedyncze przykłady wolnych w więzieniu króli, pod łachmanami żebraka umierających, z uśmiechem na ustach, ludzi ciała chorobliwego, niedołężnego, rozwijających dziwną energję woli, ale liczba tych wybranych, z tak dzielnym charakterem, bardzo jest małą; — z tak małej zatem cząstki niepodobna wyprowadzać prawidła dla ogółu. — Rzeczą godną uwagi jest to: że czém niżej stoi w swym rozwoju towarzystwo, tém mniej taki heroizm potrzebny, bo nie będzie zrozumiany, oceniony i nie wywrze żądanego wpływu.

Widzimy zatem, że dusza i ciało stanowią jedną, nierozdzieloną całość, działającą harmonijnie bez wszelkich walk. — Dlaczegożby człowiek, przy ciągłym postępie nie mógł dojść do urzeczywistnienia zewnątrz siebie tej boskiej harmonji, którą czuje wewnątrz siebie — i która utrzymuje pokój światów?

A wtenczas możeby ustały te ciągłe jęki ludzkości, które, od najodleglejszej przeszłości, wciąż przez cały przeciąg wieków historii, wznoszą się napróżno do Boga.

Dusza niepowinna się kalać, ale i cierpienia ciała warte są także, by na nie zwrócić uwagę, bo życie każdego członka społeczeństwa, przedewszystkiem powinno być szanowane.

Kościół katolicki za główną zasadę swych ustaw wziął podobne założenie jak i Luther, to jest: dwoistość człowieka, ale do innych doszedł wyników: *Wiara bez uczynków jest niczem*.

Katolicyzm zaledwie ukonstytuowany, opiera swoją władzę na różnicy radykalnej między ciałem i duszą. — Jako skutek tej zasady, formują się dwa społeczeństwa

w całej ludzkości: — pierwsze duchowne, zachowujące celibat, urzeczywistniające ideę kasty, i przedstawiające władzę Boga na ziemi; druga materialna, cywilna, uwieczniająca się przez małżeństwo, urzeczywistniająca ideę familji, zajęta rzeczami ziemskimi, i dźwigająca jarzmo kasty duchownej; i oto od samego początku stanęły do walki, z jedną strony kościół, z drugiej ludzkość cała.

Nie spodziewajcie się zatem, aby kościół przepisywał i zalegał ludzkości to, czego sam używa w swęj kascie, — nie! — rozdział jest wieczny, nieprzebyty. W kościele weźmie górę prawo myśli, ale świat zostawi on pod przewagą przemocy; — dla kościoła elekcja — dla ludzkości następstwo.

Oddzielając się od świata, kościół nie miał na celu — żyć z nim w stosunkach zobopólnej miłości i braterstwa. — On się oddzielił jedynie dla tego, aby panować nad światem i nim kierować.

Cześć duszy, przekleństwo ciała — oto jest okrzyk, który rzucił społeczność cywilną pod jarzmo kasty duchownej. — Kościół, przywłaszczwszy sobie przywilej tłumaczenia słowa Bożego — i oznaczenia myśli zawartej w piśmie świętém, zawładnął duszą, myślą całej ludzkości, i kierował według swych widoków.

Luther żądał aby pośrednicy ustąpili placu, a wierzący zbliżył się bliżej do Boga; odrzuciwszy powagę przesądów, dał w rękę klęczącego ludu tłumaczenie Biblii i otwartą Ewangelię.

Kościół mówił wierzącym; spowiadajcie się, zachowajcie posty — uwielbiajcie księdza przy ołtarzu, gdy on sprowadza Boga na ziemię; ślepo wierzeie w tajemnice i dogmata, kupujcie indulgencje, uposażajcie klasztory, płacicie dziesięciny, a będziecie zbawieni.

Reformacja okryła śmiechem szyderstwa zewnętrzną zasługę uczynków, twierdząc: że człowiek, od grzechu

pierworodnego, sam przez się i przez swoje uczynki, nie jest w stanie siebie zbawić.

Wierzyć w dobrodziejstwo krwi Chrystusa, przelanej za nas na krzyżu, wierzyć w odkupienie wiarą silną i niezachwianą — oto jest, według Luthera, jedyny sposób zbawienia.

Zabraniając księżom żenić się, kościół postawił oddzielnie duchownych i świeckich, żadnym węzłem z sobą niepołączonych; reformacja by połączyć dwie rozerwane połowy ludzkości, podniosła ideę familji.

Kościół panował za pomocą swęj hierarchji, reformacja wydała okrzyk: „wszyscy chrześcianie są księżmi!”

Dziwném się zapewne wyda nie jednemu z moich czytelników — że przy statystycznej rozprawce zapuściłem się w badania teologicznych polemik, — przyczyna tego jest następująca: w życiu społeczeństwa, w każdej epoce jest myśl, która zakreśla dążność instytucji i prawodawstwa, jedném słowem, całe życie narodu; ta myśl-kierująca ludami — jest religją.

Cała religija chrześcianańska zawarta jest w tój wielkiej maxymie: „*kochaj bliźniego twego, jako siebie samego.*” Wszystko co tylko jest po za tём prawem, przestaje być religją, jest dogmatem tylko. — Póki naród jest w dzieciństwie — potrzebuje obrazowości, formy; przy dalszém rozwinięciu się ludzkości, formy i dogmata tracą swą wartość, a daje się czuć potrzeba myśli ożywiającej, kaźden postępek, jak pojedynczego tak zarównie i zbiorowego człowieka; daje się czuć potrzeba prawdziwój nauki Chrystusa, nieskalanej pogańskimi ubiory.

Nauka Chrystusa tak jest wielką i prostą zarazem, tak głęboko wkorzenioną w sercu całej ludzkości, że nie potrzebuje dla poparcia ani tęż dla nadania większój powagi żadnych tajemnic, żadnych sformułowań — i dlatego jedynie, że Chrystus nie zamknął swęj nauki w drobno-

stkowe formuły, ani téż w wązkie ramy obrządków, co może być dobrem jednocześnie dla pewnego stanu społeczeństwa; nauka Jego musi przetrwać wciąż przez wszystkie wieki, — bo każdy wiek z téj ogólnej formuły braterstwa wyprowadza wciąż nowe i często nawet sprzeczne wnioski.

Przytoczywszy tu religijne pojęcia o dwoistości natury człowieka, muszę jako ultimum, które wolno przyjąć lub odrzucić, jak się komu podoba, — przytoczyć moje zdanie o tym tak ważnym, ze swego wpływu na życie, przedmiocie.

Nie można sobie wystawić duszy działającej samodzielnie bez wpływu ciała — nie można także przypuścić aby dusza stanowiła coś odrębnego, niewspólnego ciału — bo w takim razie nie mogłaby wywierać wpływu na ciało — nie — materja bowiem nie może działać na materję.

Jeżeliby dusza i ciało stanowiły dwa oddzielne elementy, w takim razie moglibyśmy zauważać w życiu człowieka postęпки, które możnaby przypisać jedynie tylko ciału lub duszy — li tylko — bo jeżeli co istnieje samodzielnie, to takie istnienie musi się koniecznie przejawiać przez samodzielne działanie; a ponieważ nigdzie to postrzedz się nie daje, dusza zatém i ciało stanowią jedność nierozzerwaną, harmonijną we wszelkich działaniach — i tak jak myśl bez przejawienia się jéj w jakiegokolwiek bądź formie plastycznej jest niczém, tak zarównie i dusza bez przejawienia się w ciele, istniejąca oderwanie, panująca tylko nad ciałem, nie jako siła materji — ale jak coś zupełnie odrębnego, niezależnego — jest według mego zdania mrzonką nielogiczną.

Przypuściwszy tę jedność, musimy dalej rozwiązać to zagadnienie: w czém początek złego? czy w naturze czło-

wieka, czy w instytucjach, to jest: przejawieniu się religii rządzącej narodem, w formach namacalnych?

Człowiek, według mego zdania, rodzi się człowiekiem, a nie istotą nijaką, ni téż złą lub dobrą wyłącznie; powiadam *człowiekiem*, to jest: z usposobieniem do rozwinięcia, w mniejszych lub większych rozmiarach, wszelkich namiętności, przejawiających się w życiu, a zatem wspólnych ludzkiej naturze; rozwijając te namiętności, stosownie do organizmu, to jest — ziemi rodzajnej która plon musi wydać, jeżeli stosowném ziarnem zasiana, i stosownie do potrzeb społeczeństwa, — jest dziełem wychowania religii.

Natura ludzka nie zmienia się, nauka Chrystusa była i jest jedna i taż sama, z kądże ta zmienność w instytucjach?

Z każdym wiekiem instytucje przybierały coraz nowy wyraz, nowy kierunek nie dlatego, by natura ludzka się zmieniała z każdym wiekiem, ale dlatego że ludzkość przychodząc stopniowo do samopoznania, do zbadania swych potrzeb i dążeń, musiała przybierać odpowiednie stopniowi rozwoju formy prawodawstwa i instytucji.

Z każdym wiekiem religija przyjmowała na swe łono nowe dogmata, nowe komentacje, odpowiednie potrzebom klasy tłumaczącej myśl Bożą; wciąż przez wszystkie XVIII wieków nauka Chrystusa stanowiła coś oddzielnego od prawodawstwa, bo się nie wcieliła w życie; była religija w formach kościelnych ale nie w praktyce. *

Mógłby mi kto zaprzeczyć, że tak nie jest, lecz pocóż daleko się zagłębiać? przejrzyjmy się tylko bez uprzedzenia w nas samych.

Wszyscy jednogłośnie twierdzimy, żeśmy chrześcijanie, czemuż to się dzieje, że mała cząstka ludzkości opły-

* Mówię to o ogóle, a nie o jednostkach.

wa w dostatkach, i zajęta jest tylko spożywaniem, gdy tymczasem, bez porównania większa część, pracując w krwawym pocie, nie ma czém opędzić niezbędnych potrzeb? Jak to sobie wytłumaczyć, że w narodach chrześcijańskich ludzie mogą umierać z głodu?

Nasi obywatele także są chrześcijanie, przynajmniej jak sami powiadają, w niedzielę jeżdżą do kościoła, biją się w piersi, spowiadają się, komunikują, rozprawiają o moralności szeroko; na każdym feście są nieodzownie, na wotywie, processjach, u plebana na nabożnym preferansie; a jednak nie jeden z tych panów chrześcijan, przyjechawszy po świątobliwie spędzonym dzionku do domu, za źle podane krzesło, za to, że włościanin jesć nie ma czego, za to, że córka gospodarza nie chciała pójść do dworu uczyć się od pana i wszystkich officjalistów kolei, dworskiego nabożeństwa etc.... wmawiając tym biedakom, że Chrystus więcéj cierpiał — i że on sam moralnie bardzo cierpi nad tém, dysponuje temu sto, temu dwieście, temu znowu inną kwotę batogów, i znowu bierze się do klepania pacierzy.

Krzyczą wszyscy, że włościanie zdemoralizowani do najwyższego stopnia, ale czyjażto wina? — W każdej wsi zamiast domu poprawy albo ochrony, jest przynajmniej jedna karczma, z podniesioną do tego stopnia intratą, że arendarz chcąc nie chcąc, musi się starać rozpoić włościan.

Niech się panu podoba jaka młoda dziewczyna, ani się waha nawet zabrać ją do dworu, a później, gdy znudzi przegryziony owoc, rzuca stroskanéj rodzinie. Pan chrześcijanin nie uważa nawet tego za złe, bo to tylko prosta dziewczyna, jego własność, jego rzecz, którą on może rozporządzać jak się jemu zamarzy.

O panowie! nie sądźcie, że Boga zewnętrznemi formy potraficie oszukać, przyjdzie chwila, ale ja nie chcę być waszym prorokiem; wyście chrześcijanie, wszystko bar-

dzo zaeni i poważani ludzie; bo jakżeż was nie poważać? macie śliczne salony, wykwintne pojazdy, bogate stroje, smaczne obiady, luczne i wesołe bale, gdzie sam kwiat towarzystwa się zbiera; mógłby jaki warjat zapytać, gdzież jest serce, miłość bratnia, myśl szlachetna? ale pocóż wam te dziecinne przesady, wy i bez tego się obejdziecie. *

Nie dlatego powstaje na obywateli, żebym czuł ku nim gniew jaki, na kastę nie można się gniewać; można iść z jój dążnością, albo się jój opierać, albo téż się litować nad tém, że kasta przeżyła myśl swoją.

Tak się dzieje i z naszą szlachtą, która zatraciwszy swą myśl żywotną, którą ich przodkowie żyli, szukają jój w Niesieckim i innych spleśniałych foliatach, zamiast tego by się odrodzić w nowój myśli odpowiadającej ich położeniu. Płonne marzenia: to co samo umarło, drugiemu trupowi dać życia nie może, nie skleicie już częstokroć strupiałego olbrzyma szlacheetwem! więcej produkcji a mniej spożywania, panowie chrześciance!

Patrząc z innego punktu widzenia rzeczy, położenie dzisiejsze naszych obywateli jest godne zazdrości; —prawni opiekunowie kilkudziesięciu familji, tego dziewiczego gruntu, na którym każda myśl zasiana prędko się przyjmie, wybuja wysoko i wyda pożądany owoc, mogliby dać myśl ludowi, temu olbrzymowi, co leży w uspieniu; równolegle z podniesieniem oświaty, podniosłaby się i fizyczna strona, to jest dobry byt włóścian, bo jedno bez dru-

* Pojęcie to o panach zupełnie odpowiada pseudonimowi, który się autorowi artykułu obrać podobało; czyż można tak ogólnie potępiać ludzi jeżdżących w pojazdach i mieszkających w ślicznych salonach? czyż tam nie ma serca, miłości bratniej i myśli szlachetnej? czyż mało w téj klasie widzieliśmy poświęcenia się i ofiar w imię ludzkości?... za porywco jest sądzić tak o klasie najwykształceńszej.

giego istnieć nie może; człowiek kiedy głodny, znękany, traci potęgę uczucia, drętwieje w nim cała działalność umysłowa, przestaje być człowiekiem. Wlać iskrę bóstwa w lud, wrócić mu człowieczeństwo, czyż nie jest to godna i pełna zasługi praca?

Jeszcze raz muszę się usprawiedliwić z wyprowadzenia na scenę w ścisłej rozprawie zbyt otwartych może, lecz słusznych wyrzutów przeciw obywatelom; spowodowała mię do tego, nie prosty wybryk, ale konieczna potrzeba wystawienia gangreny toczącej tę warstwę społeczeństwa, która jedna może wpłynąć praktycznie na podniesienie dobrego bytu i moralności włościan; stawię więc na wybór, kielich żółci i dobroczynnego, zbawienego płynu, *sum cuique*.

Założywszy tedy, że człowiek każdy rodzi się z usposobieniem do wszelkich namiętności, że żaden postępek człowieka nie nosi na sobie piętna dwoistości, jak przypuszczają theologowie, zostaje mi do wykazania, czy człowiek jest zupełnie wolnym w swém postępowaniu; jaki wpływ na poprawienie moralności ma prawo karne; na jakim stopniu są zakłady dobroczynne, dążące do podniesienia moralności w innych krajach, i rzucić kilka myśli które mogłyby naprowadzić naszych obywateli na przystosowanie środków, stosownych do miejscowości, podźwignienia włościan ze stanu moralnego poniżenia w jakim zostają.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA.

LIST KAZIMIERZA MIŁOŚNICKIEGO

DO

WYDAWCY PAMIĘTNIKA.

Żądasz pan usłyszeć moje zdanie o zeszycie IV Pamiętnika. Chętnie odpowiadam temu wezwaniu, bo jest zaiste o czém pomówić; grozę tedy, jak widzisz, nienajkrótszą gawędą.

Zeszyt IV, równie jak trzy poprzedzające, jest zajmujący, redagowany starannie i ma w sobie rzeczy dobre, niektóre nawet bardzo dobre, ale podobnie jak w pierwszych znalazłoby się coś do wykreślenia; trudne bo też jest w tym względzie położenie wydawcy zbiorowego pisma. Trzeba wreszcie być wyrozumiałym, i głównie na duch pisma obracając baczność, pomiąć mniej ważne usterki na tej nowej drodze, na której młodzi myśliciele pierwsze stawiają kroki. Wielką bowiem na polu myślenia postrzegamy zmianę. Niedawno jeszcze był w modzie filozoficzny racjonalny pathos, teraz już on ustępuje miejsca filozoficznemu pietyzmowi. Krytykę *czystego rozumu* zastępuje krytyka *czystego Chrystyanizmu*. Co raz rzadziej, w filozoficznych rozprawach spotykamy się z imionami Kanta, Hegla, Fichte, Jacobi, a coraz częściej ze SS. Janem, Pawłem, Łukaszem, Markiem; *texta Ewangelii* wynurzają się z powodzi axiomatów, aforyzmów, wniosków

à priori i *à posteriori*, postulatów i t. d. Szczytna prostota słów Chrystusa kontrastuje z pompatyczną, zawiłą frazeologią filozofji wieku. Cóż to wszystko oznacza? Oto, obudzone religijne uczucie w sercach obok resztek niemieckiej filozofji, fermentujących jeszcze w głowach. Już więc nie to co przedtém lekceważenie chrześcijańskiego dogmatu, ale tylko żądza, usiłowanie wciskania go w filozoficzną formę, obrócenia w systemat. Ja w tym stanie rzeczy nie uważam nie bardzo smutnego, cieszy mię on owszem poniekąd; albowiem dojrzała reflexya, i co za nią idzie, spokojny przegląd faktów historii umysłu ludzkiego, wskazują mi tu fenomen naturalny, bieg odpowiedny przyrodzie intelektualnego człowieka. Droga prawdy, jak wiemy, przekrzyżowana jest mnóstwem szlaków błędu. Drogę prawdy oświeca łagodny promień onej Betlemskiej gwiazdy, a na szlakach krzyżowych pełgają różnobarwne, jaskrawe błyski bijące ze świątyń ludzkiej mądrości, z przybytków wyzwolonego rozumu. O, jak więc łatwo, śród tej fantasmagorji, stracić z oczu przewodniczą gwiazdę i zejść z prostej drogi! Byłoby atoli serce nie było zepsute, człowiek się spostrzeże, i jakkolwiek by daleko w błąd zabruął, wróci w końcu do prawdy. Otóż ten powrót może być bardzo powolny, zrazu nieznaczny, kółujący, z usterkami, z waltaniem się, jak zwykle się zdarza wychodzącym z upojenia, powstającym z gorączki. Miałoby to frasować szczerych miłośników prawdy? Bynajmniej. Cieszyć się owszem powinni i dziękować Bogu, a braći swoich wracających niech się nie wazą zrażać jakim przykrém słowem. Rzeczą naszą wychłagać liku nim ręce z miłością, pomagać im uprzejmie w poszukiwaniu prawdy, a resztę zostawić Bogu i tym których on powołuje na trudny urząd nauczycieli ludu. Ach, niech pamięta każdy na tę przestrożę apostoła: „Si

charitatem non habuere nihil sum.“ Bez miłości na nic człowiekowi rozum, nauka, talent.

Związek mistyczny serca wziął swój początek wraz ze stworzeniem ludzkiego plemienia; zeń to jedynie wypływa harmonia moralna świata, w nim tli święty ogień utrzymujący życie społeczne. Nad zniszczeniem tego związku pracuje piekło od wieków, rozdymając w człowieku miłość własną z ujmą miłości bliźniego, aż się ta zamieni w nienawiść. Samolubstwo, sobkostwo, wyrodek uczucia naturalnego w sercu naszym, płodzi namiętności burzące pokój tego serca, i kolejną niosące zamieszanie w moralny porządek świata. Są chwile w narodach powszechniej niezgody, zalewającej ludzkość niezliczonymi klęskami; ciało polityczne rozpada się na partje, których zacięte między sobą walki, osłabiają jego siły i wiedą potężne kraje do upadku, do politycznej śmierci. Cóż w tych kataklyzmach najwidoczniej daje się spostrzegać? oto zupełne w sercach ostudzenie miłości bliźniego, a wybuch namiętności zapalonych miłością osobistego interesu pod hasłem publicznego dobra.

Ze wszystkich podniet do niezgody piśmiennictwo (jak to widzimy w Europie) staje się najpotężniejszą; osobliwie dziennikarstwo, które chyżo po kraju roznosi opaczne zdania i drażliwe kwestje, popierane argumentacją i przyozdobione retoryką. Lecz to samo narzędzie dobrze użyte sprawuje przeciwny skutek, wiedząc ludzi do zgody słowami prawdy i miłości. Nim przyjdzie do téj zgody, muszą się koniecznie ścierać między sobą przeciwne zdania; wszystko więc zawisło od charakteru téj walki. Gwałtowna, namiętna, nienawistna zrodzi bój śmiertelny między bracią, bój Polynika z Eteoklem, i zostawi po sobie ruiny; łagodna zaś, w duchu miłości i prawdy, pojedna różniące umysły, zagoi rany zadane sarkastycznymi przycinkami lub zelżywą apostrofą.

Od czegoż należałoby zacząć tę pożądaną przeobrazę zapędu i niechęci w łagodność i miłość? — Od wejścia z każdej strony głęboko w siebie samych. Złożmy pychę z serca, a wnet się wewnątrz nasze oświeci, i każe nam sądzić łagodniej o ludziach różniących się z nami w zdaniu; postrzeżemy, że można błądzić nie będąc atoli złym człowiekiem w duszy — ba, i owszem, że można mieć zamiar najchwalebniejszy a mylić się srodze w dobieraniu środków; że błąd rozumu nie jest to samo co złość serca; że nakoniec wszyscy wyznawcy prawdziwego Boga mają między sobą pewne stałe punkta styczności, pewien religijno-moralny związek, który nie dopuszcza wiecznego między nami rozbratu. Antagonizm, jest to stan, mniemam, przechodowy, którego dłuższe lub krótsze trwanie zależeć będzie od przedszej lub późniejszej poprawy w nas tego, co nam dotąd stoi na przeszkodzie do zgody. Oddzielmy tylko kwestye od osób, usuńmy na bok uprzedzenia, szanujmy słowa prawdy chociażby one wyszły z ust przeciwnika, a wojujmy błąd choćbyśmy się z nim spotkać mieli we własnym swoim obozie. „Amicus Plato, amicus Aristoteles, sed magis amica veritas.“ Oto godło szczerych czcicieli prawdy.

W przypisku, na str. 118 zesz. IV, napomknąłeś pan o rozbracie starszego pokolenia z młodszym. Smutny ten fenomen wieku daje się zaiste postrzegać u nas jawniej aniżeli gdziekolwiek indziej; a gdy tak jest, nie waham się najmnieć powiedzieć, że starsze powinno być wzorem młodszemu, i że zatem wykracza podwójnie, gdy w walce pióra nie rządzi się miłością, nie zachowuje łagodności w wyrazach. Zapęd w młodym wieku daje się czasem wymówić, w dojrzałym nigdy. Utrzymuję to tém śmieliej, iż sam należę do rzędu starszych. Wiek dojrzały uspasabia człowieka do zachowania zimnej krwi w dyskusyji; nie wreszcie bardziej nie opóźnia zwycięstwa prawdy,

jak *zelus immoderatus*, owa nieumiarkowana żarliwość walczących w jej sprawie; co zaś sprzeciwia się nie tylko miłości ale nawet godności, z jaką każdy spór poważny, wiedziony być powinien, to sadzenie się w nim na dowcip, chęć okrywania przeciwnika śmiesznością, broń zawołana sofistów XVIII wieku. Starodawne gburstwo w dysputach, mianowicie religijnych (np. polemika *de cena Domini*, między Lutrem i Kalwinem) przywdziało wytworną formę pod piórem Woltera, ale jadowity sarkazm boleśniej rani jak prostacka połajanka. Dowcip, gdy nie obraża, miłą jest okrasą pisma lub rozmowy, ale dowcip kłujący nie ma prawdziwego wdzięku, a w rzeczach poważnych osłabia argumentację, źle jakoś uprzedzając o moralnym usposobieniu rozprawiającego. Złośliwy dowcip obraża wreszcie samą przyzwoitość, którą każdy człowiek ukształcony szanować, zdaje mi się, powinien; bo niech co chcą mówią nieprzyjaciele *grzeczności*, nie przekonają nikogo o korzyściach *niegrzeczności*, nie wmówią nikomu, że ona jest oznaką postępu, nie zdołają pogodzić ją z miłością. Niegrzeczność sieje kłótnie: jestże to dziełem miłości? — Wielec także błędnem jest mniemanie, jakoby grzeczność, przyzwoitość, delikatność wyrazów szkodziły szczerości, a posługiwały li tylko obłudzie. Można w delikatnych wyrazach objawić z całą szczerością swe zdanie, jak to widzimy np. w krytyce *Listopada* przez pana W. W....skiego w Athenaeum. Trzeba, o, trzeba mówić prawdę, ale mówić ją grzecznie, a to wcale nie jest toż samo co tajić prawdę przez grzeczność. Pozłocona pigułka nie traci swęj leczebnej siły, traci tylko smak swój odrażliwy. Starożytni Ateńczykowie nie byli dworakami, a przecie to u nich zrodził się ów *atty-cyzm*, owa ogłada, delikatność smaku, przedmiot podziwu i naśladowania w każdej dobrej literaturze, aż do naszych czasów. Dobroduszość, prostota serca ma swój osobny

język, niewytworny ale przyzwoity, otwartość myśli jak największą, ale w nich poznasz chęć życzliwą, i nie obrazi cię zaniedbanie formy. Otwartość nienawiści innego jest rodzaju. Nienawiść czepia się więcej do osoby przeciwnika niż do jego zdania, szpera przeto w skrytościach jego duszy, posądza o fałsz rozmysłny, o chytrłość, obłudę, i za ostatni swój argument, ciska mu w oczy oklepamy zarzut *jesuityzmu*. Nie mogę się więc żadną miarą zgodzić na niegrzeczność, jakimbykolwiek ona wreszcie pokrywała się pretextem. W młodym lub starym człeku niegrzeczność szpetną jest wadą, nazbyt często dowodem złego charakteru, a zawsze pewną oznaką złego wychowania.

Wracając do postrzeżonego *rozbratu pojęć między starszym i młodszym pokoleniem*, wieleby o tém rozprawiać można — ale do czegooby się to przydało? — Byłli kiedy wiek młody w zupełnej zgodzie z wiekiem dojrzałym? — Niechno tylko każdy z podżytych przypomni sobie pierwsze swoje lata, tę burzliwą lecz piękną dobę życia, w której każda nowa idea podbijała jego umysł, każdy brzmiały wyraz chwycił za serce, każdy świetny paradox wyglądał świętą prawdą, każda utopia zbawieniem ludzkości. Niech sobie przypomni z jaką przykrością słuchał rad i przestróg starszych, jak ciasnemi, jednostronnemi wydawały mu się ich pojęcia, jak zimnemi ich dusze, jak trwożliwemi serca. Wychowany w posłuszeństwie, we czci ku starszym, nie sarkał na nich głośno jak dzisiaj, lecz dąsał się skrycie, i pałał chęcią wyzwolenia się z tych więzów. Wyzwolił się nakoniec i bujał swobodnie. Aliści, postępując w lata, powoli, nieznacznie zbywał się pięknych złudzeń, żegnał pierzchające jeden po drugim lubie ideały, i na coraz twardszej drodze doświadczenia poglądał na rzeczy z punktu coraz bliższego, ze stanowiska coraz pewniejszego. Tak zaszedł aż w lata

dojrzałe, i oto ten sam człowiek inaczej teraz myśli, inaczej pojmuje, inaczej mówi, jak kiedy był młody. Zmieniły się w nim dobre chęci? Z przyjaciela ludzkości stał się jój wrogiem? — Wyzulże się z uczuć szlachetnych i tkliwych? — O, bynajmniej! — Widzi tylko rzeczy w inném już świetle, przestał ufać nieograniczenie rozumowi, policzywszy ile razy ta ufność go zawiodła. Ztąd więc młodzieź sądzi go na umyśle osłabionym, a ponieważ utracił coś z dumnej swojej odwagi, mają go za tchórza, gdy nakoniec wróciwszy do wiary i obyczaju swych ojców, trzyma się już ich stale, nazywają go wstecznym; zgoła, odmierzają mu tą miarą, jaką on mierzył starszym od siebie w on czas kiedy był młodym. Nie ma się tedy za co gniewać, cierpliwie wychylić powinien kielich ten expiacyjny, a robić swoje; to jest, łagodnie upominać młodszych, uprzejmie pochwalać w nich pracowitość, chęć odkrycia prawdy, a nadewszystko w obec nich praktykować religijne obywatelskie cnoty.

Co do mnie, nie mieszam się, jak panu wiadomo, w krytykę, ani bym też mógł wejść tu w szczegółowy rozbiór artykułów zawartych we czterech tych zeszytach Pamiętnika. Ograniczam się więc przyznaniem, że podług mego zdania, artykuły te w ogólności składają zajmującą całość; że w tych nawet które mi się z pewnego względu nie podobały, znalazłem niektóre myśli trafne, a co do chęci piszących nie wątpię, że były dobre, bo widocznie mają na celu wytępić to wszystko, co w przekonaniu mojem uważają za złe istotne, a rozkrzewiać prawdy podług nich, niemyślne. Język napotykam czysty, rzadko kiedy neologizmami upstrzony i zupełną przyzwoitość w wyrazach, pomimo rzuconej na *grzeczność* anatemy (Zeszyt IV str. 19). Zgadzaam się wreszcie z panią Zofią K* z Brzozówki, że używanie słówek *perfumowanych*, owego języka pisarzy-dworaków minionego wieku, nie

może być cierpiane; i dlatego bez obawy obrażenia tej pani, powiem otwarcie, że jej zdania o *Felicycie* nie pojmuje, tak mi ono wydaje się sprzecznem z własnem jej tuż zaraz, wyznaniem, iż powinniśmy obecnie, w duchu miłości chrześcijańskiej, „myśleć, pisać, czynić to co nadaje bujniejszy wzrost temu duchowi, garnąc coraz więcej warstw społecznych pod sztandar Chrystusa, pod chorągiew Ewangelii.“ Felicytę zaś nazywa dramatem, który „wypada z ram obecnego wieku i dążeń jego, będąc objawem ducha, co się zbłąkał w przeszłości i gdzieś w ognistych *spopielał* stosach.“ Ztąd więc wnioskuje, „że usposobienie wewnętrzne autora *Felicyty* nie zlewa się z usposobieniem obecnjej społeczności, która choć była i jest jeszcze w czyscowym ogniu życia — nie śpiewa dla siebie *memento*, ale usiłuje dopełnić życia, ześrodkować myśl, wolę i czyn w wielkie rodzinne ognisko.“ Z tego wypadało mniemać, że usposobienie społeczności nie jest chrześcijańskie, że jej dążenie odwraca się od *sztandaru Chrystusa*; albowiem z dramatu p. Odyńca wieje duch pierwotnego, drgającego pełnem życiem chrześcijaństwa; bohaterami jego są wyznawcy Chrystusa, wojujący z poganami pod jego sztandarem, i zwyciężający nieprzyjaciół nie orężem, nie wymową, ale poddaniem się dobrowolnóm na męki, aby ofiarą życia swego dać świadectwo o prawdzie Ewangelii. Takie to *memento* śpiewa nam wieszcz natchniony, i wzniosłe jego akkordy nie znalazłyby w sercach naszych echa? Niech mi pokażą w tym dramacie jedną myśl, jedną maxymę, która by się nie zgadzała najzupełniej z duchem wiary Chrystusa. Z tej strony przynajmniej wytrzyma Felicyta najsurowszą krytykę. Nie rozumiem tedy, czemu by ten dramat *wypadał z ram obecnego wieku*, jeżeli wiek obecny ma dążyć do *ześrodkowania myśli, woli i czynu w wielkie rodzinne ognisko* pod sztandarem Chrystusa? — Że nasza społeczność nie jest usposobio-

na do zdobycia palmy męczeńskiej na wzór dawnych chrześcian, o tém nikt nie wątpi, i nikt tego po niej nie wymaga; ale duch ofiary objawia się nie samym tylko własnej krwi wylewem, nie samą tylko katuszą ciała; szranki męczeństwa stoją zawsze dla wiernych otworem, od nas tedy zależy wstąpić w te szranki i wytrwać do końca. Cóż rozumić mamy przez *sztandar Chrystusa*, jeżeli nie krzyż na którym on został umęczony? Kto się więc pod ten sztandar garnie, niech jak Chrystus zgadza się w pokorze z wolą Ojca przedwiecznego, niech z głębi serca powtórzy te słowa Zbawcy: „ażali kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę?”

Cierpliwe wytrzymanie każdej, choćby najcięższej próby, któremi Bóg nas doświadcza, oto męczeństwo, oto ofiara przypodobana Jemu, i zdolna samą sprawiedliwość w miłosierdzie zamienić.

„Tak, jedna tylko jest święta ofiara, ofiara Boska: — gdy Mu w nią dajemy co On mieć pragnie, nie co my dać chcemy.“

Oto jak z autorem *Felicyty* pojmujemy prawdziwego ducha wiary chrześciańskiej. Takim był ten duch w *przeszłości*, to jest w pierwszych wiekach Ewangelii, takim on będzie w *przyszłości*, gdy ludzkość po długich błędach wejdzie na tór prawdy. W taką przeszłość przenosić się duchem, nie jest to iść wstecznie, jest to raczej wchodzić na drogę postępu, z której byliśmy zesli z łaski fałszywej mądrości jednych, a fałszywej pobożności drugich. Dzieje się też to obecnie, i pisarze nasi (niektórzy sami o tém nie wiedząc) cofają się w przeszłość, ile razy w badaniach swoich uniesieni bywają potęgą prawdy w krainę objawienia.

W życiu ludzkości ukazuje historia tenże sam fenomen, to jest walkę dwóch sił — organicznej i burzącej. Kolejają to jedna to druga biorą przewagę, ale siła burząca, jako

odjemna, niszczy się w swoich wysileniach, podczas gdy siła organiczna skutkiem swój natury dodatniej wzrasta w potęgę, dążąc do udoskonalenia społecznego związku. Chrystyanizm jest wyrazem, objawem téj siły, a jój zasadą miłość. Duch miłości jest duchem ofiary, życie więc chrześcianina ciągłą być ma ofiarą. Dziś jeszcze pracujemy nad przenikaniem się tą prawdą, i każdy krok naprzód w tém dążeniu jest prawym postępem, a gdy już idea przejdzie w czyn, wtedy dopiero spełni się dzieło Chrystusa, i królestwo Boże zstąpi na ziemię.

Kończę więc na tém od czego zaczął: że bez miłości, bez ofiar, na nic nam rozum, nauka, talent; że tedy starzy i młodzi, ręka w rękę ku jednemu dążąc celowi, nieść sobie wzajem powinni pomoc, jedni silniejsi doświadczeniem a drudzy zapałem. Każdy zaś z nas w sobie samym niech wojuje pychę, tę królowę piekła, która pod różnemi postaciami wkrada się w serce człowieka, i grzech w niem zaszezepia. W młódzieży objawia się ona zarozumiałością, a w ludziach podeszłego wieku przechodzi nieraz w zaciętą niewyrozumiałość, w ponurą surowość, w despotyczne narzucanie zdań swoich, lub w zimną pogardę względem inaczéj myślących. Czuwajmyż i módlmy się, byśmy nie weszli w pokuszenie.

Życząc Pamiętnikowi najlepszego powodzenia, uważam z przyjemnością, że go już od kolebki otacza silne współczucie. Spis Kollaboratorów bardzo go téż pięknie zaleca. Wszystko więc chwalebnemu przedsięwzięciu gorliwego redaktora pomyślny zapowiada skutek; a gdy, jak się spodziewam, w zbiorze tym, pomimo różnaitości zdań, stale widzieć będziemy piętno ducha chrześciańskiego, piętno miłości, zniknie w nim a przynajmniej się zmodyfikuje ów rozbrat w pojęciach między starszém i młodszeń pokoleniem, rozbrat więcéj pozorny niż istotny, bo

tak jedno jak drugie zarówno jest przejęte chęcią postępu na drodze prawdy.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego mojego szacunku i przyjaźni.

d. 25 Czerwca 1850 r.

K. Miłośnicki, *
z rodziny *Staruszkiewiczów*.

LIST DO WYDAWCY PAMIĘTNIKA.

Szanowny Redaktorze!

Nad wszelki zamiar postanowiłem zakolatać do ucha czytającego świata naszego przez organ *Pamiętnika*, jeżeli łaskawie przyjmiesz te moich słów kilka, do szacownego swego pisma zbiorowego. Powodem do takiego wystąpienia jest świeżutko wyszła u Zawadzkiego pierwsza broszura: P. *Emanuela Jastrzębczyka*, mająca być organem czystych zasad chrześcijaństwa, których autor, jak sam powiada, jest wyznawcą, z dopuszczenia Bożego.

Ze skrucłą wziąłem się tedy do czytania tak chwalebnych rzeczy; atoli wnet na str. 9 zdumiałem się czytając coś naksztalt paszkwila, trącającego obmową wysnutą na niedokładnej i jednostronnej znajomości przedmiotu, o którym P. Jastrzębczyk tak stanowczo rozprawia. Jest to opisanie czyli *ocharakteryzowanie* obywateli litewskich. Jak to jest dalekie od czystych zasad chrześcijaństwa, każdy, który przeczyta broszurę, osądzi; jak zaś opisanie

* Składamy dzięki autorowi listu za jego dobre mniemanie o piśmie naszym i sąd — pochodzący z najczystszej bezinteresowności. Zapraszamy do dalszej korespondencji, którą nam zawsze miło będzie widzieć na kartach *Pamiętnika*.

to wiele i bardzo wiele mija się z prawdą, postaram się niżej okazać. Winienem najprzód uprzedzić czytelników, że sam liczę się do rzędu obywateli Litewskich, czyli (jak P. Jastrzębczyk nazywa) Wilkołaków, i to nie panów ale do Wilkołaków szlachty. Może nie wszyscy czytali broszurkę p. Jastrzębczyka; trzeba więc objaśnić, że *Wilkołak* oznacza człowieka *niekczemnego i bezwładnego ducha, zatęłego w materji, egoizmie i drobiazgowości*, a takim ma być każdy bez wyjątku obywatel Litewski. * Przejdźmy po kolei wszystkie oskarżenia, jakimi szanowny autor broszury obarcza bez litości i miłosierdzia biednych obywateli.

Najprzód zarzuca im *ciemnotę*, okropną, straszną *ciemnotę*, a na dowód tego twierdzi, że *większa część obywateli, nawet nie jeden wysoki urzędnik od wyborów, nie wskaże na karcie Europy miejsca, gdzie leży Portugalja*, i przejęty zgrozą wykrzykuje: *O zgorzenie! o skandal! o tempora!* — Na tak straszne, przerażające wyrazy, włosy powstały mi na głowie; skoczyłem co tchu do karty Europy i o cudo! pomimo pomieszania jakim byłem przejęty, natychmiast znalazłem Portugalję! — zachwycony tém odkryciem jak Kolumb, kiedy po raz pierwszy ujrzał stały ląd nowego świata, sądziłem, że sam jeden jestem Fenixem pomiędzy obywatelami, umiejącym znaleźć Portugalję na karcie; wyznaję, że z razu uniosłem się pychą, atoli po krótkim namyśle, nie chcąc naśladować pana Jastrzębczyka, i sądzić o rzeczach bez głębszego ich rozpoznania, kazałem zaprzęgać konie, zwinąłem kartę Europy, i włożyłem ją do bryczki (gdyż dopiero byłem w powatpiewaniu czy znajdę mapę u moich współobywateli), i klusem puściłem się w podróż, objeżdżając wszy-

* Nie każdy, lecz tylko Wilkołak.

stkich moich sąsiadów, i pytając każdego, czy wie gdzie leży Portugalja? — Chociaż to mocno osłabiło wysokie rozumienie jakie o sobie powziąłem, muszę jednak wyznać, że każdy natychmiast oznaczył mi miejsce, nie tylko Portugalji, ale nawet wszystkich drobnych Państw składających rzeszę Niemiecką. — Odetchnąłem więc swobodniej, i zacząłem się dorozumiewać, że pan Jastrzębczyk wyexaminowawszy z geografji jakiegoś biedaka, który zapewne dla braku sposobności lub funduszków nie ukończył pierwszej klasy, osądził, że wszyscy obywatele Litewscy nie wiedzą gdzie leży Portugalja. Zapewnić mogę śmiało pana Jastrzębczyka, że na sejmikach nikt o Portugalję pytać się nie będzie, ale raczej czy kandydat, na którego się kreskuje jest człowiekiem uczciwym, sumiennym i zdolnym do urzędu który ma piastować. Gdyby szanowny autor przed wydaniem sądu stanowczego o obywatelach, chciał się bliżej z nimi obeznać, znalazłby zapewne, że we wszystkich prawie dworach obywatelskich utrzymują i czytają gazety nietylko krajowe ale i zagraniczne, a dziwném byłoby aby się zajmowano polityką obcych krajów, nie wiedząc nawet ich położenia geograficznego; znalazłby w wielu dworach gustowne i porządne budowle, stawiane prawie zawsze pod rozporządzeniem samych właścicieli, co dowodzi pewnej znajomości architektury i budownictwa; znalazłby w domach wiele pięknych malowideł nietylko nowoczesnych, ale nawet dawnych znakomitszych mistrzów, i przekonałby się, że wielka część obywateli naszych posiada znajomość a nawet zamiłowanie sztuk pięknych; znalazłby nakoniec biblioteki, jeżeli nieliczne, przynajmniej z dzieł dobranych złożone. Co do zarzutu, jakoby Litwini (którzy według pana Jastrzębczyk nie więcej *nie-umieją, jak tylko zasiać, zebrać i sprzedać zboże*), tylko według starodawniej litewskiej systemy gospodarzą, i tu

przekonałby się autor o mylném swém zdaniu; gdyż w wielu miejscach zamieniono tryb trzypolowego gospodarstwa, na czteropolowe, płodozmienne i inne za granicą używane. Same — coraz więcej upowszechniające się, uprawa roślin pastewnych, zaprowadzanie młockarń, sieczkarń amerykańskich i innych machin rolniczych; wreszcie stosownie do funduszów, usiłowanie ożywienia przemysłu przez zakładanie rozmaitych fabryk, wszystko to dowodzi, że Litwini nie są Chińczykami, jakimi ich chce przedstawić pan Jastrzębczyk, i że starają się pospieszać za cywilizacją europejską; a jeżeli nie mogą tak szybko postępować, przyczyna tego jest niezbadana, nie zaś ich ciemnota.

Przejdźmy do dwóch innych zarzutów, to jest: że obywatel litewski, *Wilkołak* nie zna żadnych obowiązków, i żadnych cnót nie posiada, które w jedno połączyć wypada, albowiem cnoty obywatela właśnie na tém zależą, jeżeli dokładnie swe obowiązki wypełnia. Przyznaje jednak p. Jastrzębczyk, że obywatele litewscy posiadają niektóre cnoty, a mianowicie: umieją zachować w całości fundusz, i chłopstwa nie rozpuszczać; do cnót zalicza także: *wydać parę fetek do roku*. Dwie pierwsze, pomimo ironicznego tonu, jakim autor broszury o nich się odzywa, są rzeczywiście wielkimi, niezbędnymi dla obywatela cnotami; jeżeli je posiada, tém samém wypełnia większą część swych obowiązków. Obowiązkiem albowiem obywatela jest czuwać najprzód nad rodziną i potomstwem swém, zabezpieczyć im kawał chleba; gdyż nikt, a nawet i pan Jastrzębczyk pewnieby im takowego nie dał; powtóre obywatel winien czuwać nad dobrym bytem i moralnością włościan swoich, nad którymi, prawda, że obszerną władzę posiada; ale wyjątkami i to nielicznymi są ci, którzy jój na złe używają. Mogę zaręczyć także pana Jastrzębczyka, że obywatele litewscy bynajmniej nie

są tak przywiązani do swoich barbarzyńskich, jak je nazywa, przywilejów, i niepotrzeba postrachu, aby ich przymuszać do wyrzeczenia się ich. Barbarzyńskie te przywileje, pod któremi zapewne autor broszury rozumie prawo własności nad włościanami, istniały w całej Europie, i to nie tak jeszcze dawno, a że się dotąd u nas utrzymało, nie jest to winą obywateli, ale wynikiem wewnętrznej administracji krajowej, która dla uniknienia gwałtownych wstrząśnień, tak szkodliwych dla ogółu, chociaż powoli, zawsze jednak dąży do zrównoważenia wszystkich praw człowieka. Wreszcie upór i zarozumiałość nie jest jedynie wadą obywateli Litewskich; nie jeden napisawszy 16 stronic nonsensów, nadyma się i pyszni jak gdyby co nadzwyczaj wielkiego dokonał; z wysokości swojej na oślep sądzi o rzeczach i ludziach, chociaż ich nie zna bynajmniej. Dalej pan Jastrzębczyk w swoich czystych zasadach chrześcijaństwa, stara się zniszczyć zgubny według niego wpływ starszych (*niedołężnych*) na młodzież (*postępową?*) to jest rodziców na dzieci. Zaiste jest to bardzo moralnie! Jednakże niech pan Jastrzębczyk uważniej się rozpatrzy, a znajdzie, że większa część tych starych, ciemnych, niedołężnych obywateli, którzy tak wielką niedorzeczność popełniają, że starają się swój fundusz w całości utrzymać, właśnie funduszu tego używają na to, aby synów swych wysyłać do Petersburga, Dorpatu, Moskwy, Kijowa, Charkowa, nawet za granicę; dlaczegoż to wszystko? Mnie się zdaje, że nie dlatego, aby porównali smak potraw tamiecznych z domowymi, ale dla nabycia wiadomości i ukształcenia umysłu. O jakito zgubny wpływ na młodzież!

W dalszym ciągu broszury znajduję opisanie Salono-wiczów, Karjerowiczów. Może być, że autor lepiej się im przypatrzywszy, trafnie ich przedstawił; nie považam się sądzić o tém, nie mając nic do czynienia z podobnymi

oryginałami. Co zaś do obywateli, radziłbym mu aby starał się bliżej i gruntowniej ich poznać, a ręczę że przemieni o nich swój sąd inaczej. Można mu będzie odpowiedzieć własnem jego zdaniem na str. 11 wyrażonem: „Zarozumiałość i upór w zdaniu, to zwykłe towarzyszeki ograniczonego umysłu.“

Obywatel, *Wilkołak.*

ROZMAITOŚCI.

KILKA SŁÓW

O ELFACH I ELFINACH.

Mitologia Skandynawska jest prawie obcą dla naszej literatury. Oprócz dwukrotnego wydania ksiąg Eddy przez J. L. z historycznemi i filologicznemi objaśnieniami, nie mamy żadnego dzieła, któreby szczegółowiej zaznajomiło nas z tym przedmiotem. Dodać należy że praca ta, jakkolwiek gruntowna i obejmująca wszystko, co przed trzydziestą laty wiedzano o mitologii Skandynawskiej, dzisiaj staje się niedostateczną, przy nowo odkrytych źródłach i innym poglądzie na religijne pojęcia pierwotnych ludów. — Wprawdzie, w czasie walki u nas tak zwanych romantyków i klasyków, trącono i tę kwestję. — Uka-

zał się w jakowémś czasowém piśmie (podobno w *Bibliotece Polskiej*) niewielki artykuł, wnosząc, żeby w zamian obcej dla nas mitologii Greekiej i Rzymskiej, używać w poetycznych utworach skandynawskiego Mytu;— jako plemienia bliższego dla nas przez sąsiedztwo. Ale obrońca klassycznych tradycji, odpowiedział na to drugim artykułem, wręcz przeczącym — i na tém się skończyło. Około tegoż czasu zjawiała się broszura Jana Łobojki, pod tytułem: „*Rzut oka na Starożytną Literaturę Skandynawji*“—któręj nie miałem pod ręką. Potém M. Mochnacki w *Dzienniku Warszawskim* na r. 1825 kilka słów o niej powiedział — i już zupełna cisza przez lat kilkanaście; oprócz jeszcze uczonych dzieł Czackiego, w których dotykając często rzeczy skandynawskich, upewnia: że w sagach znalazł wiele źródeł naszych ustaw, czego nie mógł dopatrzeć się w pieśniach naszego ludu. Aż dopiero w Bibliotece Warszawskiej na rok 1844 znajdujemy rozprawkę pana *Leona Połockiego*, a pieśniach ludu na Północy — ale autor, czerpiąc z dzieła Marmier, znajomi nas powiększają częśći tylko z utworami nowszej poezji Szwecji, Danji i Norwegji, pomijając starożytne pieśni Skandynawskich Skaldów. Podobnie pan *Lucjan Siemieński*, wydając rokiem pierwój w Poznaniu *Piosennik Ludów*, oprócz krótkiego rysu mitologii Skandynawskiej, umieścił w drugim tomiku zbiorów ulotnych tylko skandynawskich pieśni. Jednóm więc słowem, nie mamy dotąd dzieła, któreby mniej więcej dokładniej, bez zawitych erudycyjnych zaciekań, oznajmiło popularnie czytających z całością Skandynawskiego Mytu i duchem dzikiego, bojowniczego życia tych północnych królów ziemi i morza. Nim doczekamy się podobnej rozprawy — może tych kilka słów o Elfach i Elfinach, nie będą nadto.

Głównym dogmatem mitologii Skandynawskiej, jest wielobóstwo, to jest wiara w Asów i najstarszego z nich Odyna, czyli ojca powszechnego. Jest jednakże moc niewidoma, wyższa nad Asy, która wywiodła z nicości ich samych i wszystko co istnieje. A chociaż poruciła Asom sprawę świata, poddała ich nieodzownemu *przeznaczeniu*, które oni czują, przewidują — ale nie są w stanie odwrócić od siebie. Jestto *Ragna-Rokur*, czyli skończenie świata, i odrodzenie się jego w nowej krassie — ale dla nowych ludzi i Bogów. Cały żywot Asów schodzi na ciągłą, rozpaczliwą walkę ze złemi siłami, wykonawcami tego złowrogiego przeznaczenia. Pojęcie o nieśmiertelności duszy, nie jest obcym mitologii Skandynawskiej, ale obleczone w formę właściwą charakterowi ludu, który ją utworzył. Podoczesna szczęśliwość okupuje się tylko walecznym zgonem na polu bitwy, i zależeć ma na powtarzaniu wojennych zapasów w Walhali — przybytku szczęśliwości. Tehórzow zaś, i umierających zwyczajną śmiercią w starości, albo z choroby, pochłonie na wieki piekło, wiecznie mroźne i głodne. Wierze tej towarzyszyły pewne obrzędy, przed posągami Bogów, którym stawiano świątynie i przynoszono ofiary.

Oprócz głównych Bogów, płci obojg, mitologia Skandynawska przyjmuje inne jeszcze nadnaturalne istoty, podrzędne Asom, z których Alfy czyli Elfy — niby duchy dobrego i złego, grają główniejszą rolę. Nazwa ta znana jest wszystkim teutońskim narzeczom, i ukazuje się często w poezji niemieckiej i angielskiej średnich wieków, jakoteż w Szkocji, Danji i Norwegii. Zdaje się jednak, że Elfy winne są swój początek mitologii Skandynawskiej, gdyż najdawniejsze wspomnienia o nich znaj-

dujemy w księgach Eddy. Niektórzy badacze północnych starożytności, starali się wykazać historyczny początek tych mytycznych istot, dowodząc, że nazwisko ich pochodzi od pokolenia Alfów; zamieszkających onego czasu w prowincji Bahus, należącej dzisiaj do Szwecji. Przypuszczenie to jednak zostało dotąd tylko przypuszczeniem. Ale rzecz godna uwagi, że jeszcze w XVII wieku, znaleźli się prostoduszni pisarze, roztrząsający na *serjo*, czy Elfy były stworzone od Boga, czy pochodzą od Adama i Ewy?..... Czyli też należą do tak zwanych przed-adamitów?!...

Wedle zaś tradycji, jaką nam dochowały księgi Eddy, dwa są rodzaje Elfów — niby symbole dwóch pierwiastków, dobrego i złego, właściwe wszystkim religjom. Elfy *promieniści*, są natury szlachetnej i dobroczynnej, postaci pięknej, a twarz mają jaśniejszą od słońca. Mieszkanie ich jest pod dębem Igdrasyl, którego konary rozpostarte są po niebie i ziemi, a wierzchołek ogarnia świat cały. Przeciwnie zaś Elfy *czarni*, czyli karły, są chytry, złośliwi — w postaci małych człowieczków, czarniejszych od smoły. Nie mogąc znieść światła, muszą ukrywać się w ziemi.

* * *

Nie ulega wątpieniu, że wiara w Elfy, z echem donośnej pieśni Skandynawskich Skaldów, przeszła do Niemców, Anglosaksonów, i z niektórymi odmianami znajduje się u wszystkich ludów europejskich. Wszędzie napotykamy gromady jakichś duchów, które stosownie do pojęć ludu, przybrały tę lub ową postać i charakter. W Szkocji *Trylby*, zawiesza się u kądzieli młodej dziewczyny, kręci się z jej wrzecionem, a na spoczynek układa się w fałdach jej gorsetu, albo między spletańi jej włosów.

W Norwegii utrzymuje się dotąd wiara pomiędzy ludem, że Elfy, przemieniają się we dnie w drzewa, a w nocy przyjmują właściwe sobie kształty. Nie raz pasterz widzi na pastwiskach, przy wschodzie słońca, misterne kręgi, wydeptane w nocy, tanecznymi kołami Elfów. Z pojęć zaś ludu ukraińskiego, należy tu odnieść podanie o Miaunkach — stworzeniach złościwych, kryjących się w łanach nieżniętego zboża.

* *

Do rzędu podobnych istot należą Elfiny, winne zapewne swój początek Elfom. Sąto nimfy wodne pobrzeżów Bałtyckiego morza, Elby, Dunaju i Renu; niby syreny greckie, niby nasze dniewprowe Rusalki i Switezianki na Litwie. Fantazja ludu przystroiła je urocznymi wdziękami. Elfina mieszka zwykle na dnie wód. Niekiedy tylko ukazuje się w postaci pięknej kobiety, kołyszącej się na falach, przeglądającej się w wód kryształ, i splatającej złociste warkocze. Niekiedy znowu, w postaci młodej dziewczyny, drżącej i bojaźliwej, przychodzi pośród nocy zimowych, ogrzewać się przy pasterskich ogniskach. Zawsze jednak Elfina jest piękną i młodą, głos ma słodki i ujmujący — i lubi uwodzić chłopców. Onato wieczorem wzdycha na brzegach rzeki, onato wydaje lekki szelst w sitowiu i żałosne szmery w srebrzystych falach, rozbijających się o piasek nadbrzeżny. Onato oczarowuje oko rybaka, pociąga go za sobą do topieli, i zoprowadza do grot kryształowych. Niekiedy, niewidzialna, wydaje w wód przelew, harmonję tak przynęcającą, że nikt nie jest w stanie oprzeć się czarującej ułudzie. Jeżeli Elfina pokocha jakiego młodego śmiertelnika, wówczas podwaja swoje czary i złudzenia. Wyzywa go śpiewem na brzeg rzeki, czeka na wybrzeżu, a nawet idzie sama szu-

kać go na lądzie. Jeżeli chłopiec podziela jej miłość, wówczas wyczerpuje dla niego skarby swego pałacu i całą władzę swoich czarów. Towarzyszy mu pośród bitwy, strzeże od niebezpieczeństw, czuwa nad nim troskliwie — i ukazuje mu się zwykle w błękitnej szacie, błyszczącej perłami i w diamentowej koronie. Lecz biada mu jeżeli nie dotrzyma przysięgi, albo zdradzi tajemnicę, zemsta jej, równie jak miłość, nie zna granic. Elfina potrafi wszędzie doścignąć wiarołomnego kochanka, i za zwyczaj śmierć nagła jest jego karą.

J. J. Prusłowski.

KILKA SŁÓW

O STAROŻYTNYM DZWONIE

W NOWOGRÓDKU KRYWICZAŃSKIM.

Zasługuje na uwagę bardzo starożytny dzwon, będący własnością monasteru Bazyljanów w Nowogródku, który jako pęknięty od dołu do głowy, już dzisiaj do dzwonięcia nie jest używany. Podług miejscowej tradycji, dzwon ten miał być sprowadzony z Wenecji przez jakąś księżną litewską, jeszcze za czasów pogaństwa w tym kraju. Napis znajdujący się w okół głowy dzwonu, który niżej dołączam, pochodzenia jego niewyjaśnia; ale na czterech bokach dzwonu, umieszczone wyobrażenia lwów, będących herbami Wenerji, pochodzenie jego podaniem wska-

zane, potwierdzać się zdają. Najciekawszą jednak rzeczą przy tym dzwonie jest liczba 893, w napisie umieszczona. Powszechnie utrzymują, że pierwszym (w Europie) wynalazcą odlewania dzwonów, był ś. Paulin biskup Noloński, zmarły 431 roku. Jeśliby zatem owe liczby w napisie umieszczone, oznaczały rok ery chrześcijańskiej, dzwon Nowogrodzki należałby do najstarszych dzwonów, a następnie możnaby wnosić, że już za Menedoga lub Gedymina do Litwy był sprowadzony. Lecz gdybyśmy owe liczby wzięli i za rok od stworzenia świata, z opuszczeniem tysięcy, jak to we zwyczaju było, to jest za rok 6,893; owe zaś lwy za przypadkowe ozdoby; to i tak data wylania dzwonu sięgałaby roku 1385, w którym właśnie Jagiello został królem Polskim, a Litwa chrześcijańska. Nie mam pod ręką alfabetów z różnych wieków, jednakże zważając kształty niektórych liter, a mianowicie D. E. X., napis do bardzo odległych czasów odnieść należy.

Możeby jaki ślad historii tego dzwonu można było odkryć w starożytnych księgach liturgicznych, które, jak mię upewniano, znajdowały się, a może i dotąd jeszcze się znajdują w Nowogrodzkiej Bazylianów cerkwi, wysoko za ołtarzem złożone. Wiadomo bowiem, że był zwyczaj zapisywania czynionych ofiar cerkwiom na kartach lub okładkach ksiąg takowych.

Napis w okóło dzwonu umieszczony, nie pokazuje gdzie jego początek i koniec; sądzę jednak, że go tak czytać należy:

SALVE * PACIENTIA * GLORIOSA *
 VIR * MARIA * IESVS * NAZARENVS *
 REX * IVDEORVM * VENI * REX *
 CYM * PACIEN * 893 *

Dodać tu jeszcze winienem, że w téjże cerkwi Bazylianów Nowogródzkich, jak mię upewnił (dziś ś. p.), prałat Bobrowski, jest niemało napisów starożytnych słowiańskich, wyrytych na płytach marmurowych, z których jedne są w podłodze, inne w ścianę wmurowane. Warto by te napisy skopjować i wyrozumieć.

Józef Jaroszewicz.

DZIWNE PSYCHOLOGICZNE ZJAWISKO.

W *Wendeniskim* powiecie, w majątku *Kudling*, na granicy *Ramelshofu*, w *Jaunwelmer*, mieszkał z rodziną wiejski krawiec, łotysz, *Johan Murr*, sprawujący zarazem obowiązki leśniczego w pobliskim okręgu. Był powtórnie żonaty, miał dzieci z obu małżeństw, a z ostatniej żony między innemi ośmioletnią córeczkę *Magdalene*. *Murr* nie miał w okolicy dobrej opinii, i z powtórnią żoną, niewiastą pracowitą, często się kłócił. Pomimo pepsji leśniczego i dochodów z krawieckiego i weterynaryjnego rzemiosła (umiał bowiem leczyć bydło), *Murr* często cierpiał niedostatek, zapewne z powodu próżniaczego i nieporządnego sposobu życia. Położenie jego przyszło naręście do takiego stanu, że zmuszony był wiosną na początku 1829 roku, porzucić obowiązki leśnika. Przeniosłszy się do sąsiedniego leśnego wydziału w majątku *Ra-*

melshof, zowiącego się *Upitta*, najał się za podziennika u tamecznego leśniczego Hazenberga.

Tam mieszkał Murr z rodziną swoją do miesiąca lutego 1830 roku.

W czasie jego pobytu w majątku Upicie, zwolna rozeszła się wieść w okolicy, jakoby Murr w 1829 r. (kiedy jeszcze mieszkał w Jaunwelmer'ze) zabił żyda handlarza i zabrawszy towary, przechowuje w skrzynce żony. Wieści te coraz stając się głośniejsze, nie mogły wręście nie zwrócić uwagi leśnej ramelhofskiej straży, osobliwie kiedy małoletnia córeczka Murra ze wszelkimi szczegółami opowiedziała stróżowi Johanowi i jeszcze jednej kobiecie imieniem Marji, jakim sposobem i kiedy mianowicie ojciec jój zabił żyda.

Opowiadanie Magdaleny odnosi się do tego czesu, kiedy Johan jednego poranku zastał Murra przy dziwném zajęciu: Murr kopał mogiłę; na zapytanie Johana dla kogo kopie mogiłę? Murr odpowiedział: „szkapsko moje zdechło, więc chcę ją pochować....“ ale nikt wtedy nie słyszał aby zdechł koń jaki u niego.

Tymczasem miejscowa policja zabrała u Murra skrzynkę z wódką, i znalazła w téj skrzynce wiele rzeczy, które rzadko biedakowi dostają się uczciwym sposobem. Podejrzenie od téj chwili, nowój wagi nabierać zaczęło.

Z rozporządzenia sądu ziemskiego, Murr i żona jego byli wzięci pod straż. Rozpoczęło się śledztwo: a ponieważ Murr był obwiniony o kryminał, ta sprawa przeszła do sądu powiatowego (*Landgericht*) dla dalszego śledztwa. Sąd powiatowy polegając jedynie na zeznaniu dziecka i na wieściach (gdyż nie było wiadomo, czy w téj stronie umarł albo zginął kiedy żyd jaki) ciągnął dalej swe badania.

Rozpatrzywszy troskliwie rzeczy znalezione, w skrzynce znalezionej u Murra, i sporządziwszy ich opisanie, sąd

powiatowy przystąpił do śledztwa. Marja i stróż Johan zeznali wszystko co im opowiadała Magdalena, lecz kiedy zaczęto dopytywać Magdalene, to ona albo całkiem wyrzekła się uprzednich słów swoich, albo je znowu dosłownie powtarzała. Wahanie się to zdawało się pōchodzić od wpływu osób ją otaczających, — i podejrzenia o zbrodni Murra rosły....

W skrzynce zabranéj u niego, znalazły się podług opisu sądu powiatowego następane rzeczy:

- 1) Kilka sukien kobiecych.
- 2) 22 chustki jedwabne i bawełniczne; niektóre zupełnie nowe.
- 3) Pięć posrebrzonych guzików, uwinionych w papier.
- 4) Pięć plecionych guzików, przytwierdzonych do kartonu.
- 5) Ozdobne pudełeczko z kartonu.
- 6) Mała podróżna toaletka safjanowa ze zwierciadłem.
- 7) Arkusz zmiętego pocztowego papieru.
- 8) Sześć arkuszy téż zmiętego cieniłego papieru, który zwykle używa się dla obwijania lepszych towarów.

— Czy nie przymuszał kto ciebie do wyrzeczenia się uprzednich zeznań, zapytał urzędnik Magdalene.

I dziewczyna pod sekretem wyznała, że przymusił ją stróż Johan.

Tak było w rzeczy saméj. Johan wątpiąc o prawdziwości jéj zeznań, groził jéj ukaraniem, jeżeli będzie powtarzać kłamstwo przed sądem.

— Cóż ty wiesz o zabójstwie? pytał dalej sędzia: mów wszystko co wiesz, otwarcie, nie tając.

Ośmielona dziewczyna z właściwą wiekowi swemu naivnością, złożyła następane zeznanie:

„W głuchéj jesieni 1828 roku przyszedł do domu jéj ojca (w Jaunwelmer) żyd handlarz i prosił o nocleg; Anny,

jéj matki, nie było wtedy w domu. Z chorém dzieckiem poszła była do doktora w sąsiedztwie. Murr przyjął prośbę żyda i przygotował dlań pościel, na której ten spokojnie przespał do świtu. O świcie, wdziawszy płaszczy i bóty, żyd poszedł do stodoły, zadał siana koniowi i znowu spać się położył. Murr miał wtedy w gościnie u siebie jednego ze swych przyjaciół, z którym porozumiewszy się, uczynili spólną zмовę (tę zмовę podsłuchiwała Magdalena) na zabicie żyda. Murr przygotował mocny i gruby sznur z konopi. Magdalena pożałowała żyda, który w wigilją wieczorem ujął ją dla siebie, darowawszy jéj plecionkę z włosów; postanowiła więc odkryć przed nim zamiar ojca swego. Zanim żyd przyszedł do siebie na wieść tak niespodziewaną, zbójcy weszli do izby, związali go, i pomimo prośb, pomimo że oddawał wszystkie swoje towary, związanego wywlekli z domu i poprowadzili do blizkiego lasku. Uwiązawszy biednego żyda do pnia, Murr z całej siły uderzył go dębina po głowie, i żyd skonał niebawnie.

„Potém mordercy zaczęli kopać jamę. Zapewne nie chciało się im kopać głębokiej i wielkiej jamy, i dlatego Murr rozebrawszy trupa do nagości, toporem odrąbał mu głowę, ręce i nogi, a tułów po połowie przerznął. Schowawszy do worka porąbane ciało, Murr z towarzyszem powlekli je do jamy i zakopali razem z rozdartym płaszczem żydowskim. Magdalena widziała całą tą scenę z po za krzaków, za którymi się przyczaiła. Mordercy dokonawszy zbrodni, zabierali się do powrotu do domu, gdy tymczasem Magdalena ich uprzedziła, i przybiegłszy do domu, zaczęła bacznie przypatrywać się ojcowi. Widziała jak schował pod łóżko bóty żydowskie, i zauważyła, że kamizelka ojcowska była krwią zbroczona, gdyż zabierając się do zabójstwa, zdjął był kaftan z siebie. Kiedy towarzysz odszedł, Murr zaczął przepatrywać to-

wary nieboszczyka, Magdalena przydała, że wiele z nich potem widziała w skrzynce matczynej. Tamże między innymi widziała wówczas i małą podróżną toaletkę...

„Anna z dzieckiem przy piersi wróciła nazajutrz wieczorem, i kiedy Murr opowiedział jej zaszły wypadek, przelekła się, nazwała go zbójcą; a Murr tak zbił ją harpem, że blisko sześciu tygodni musiała w łóżku przeleżeć.“

Opowiadanie wydało się w niektórych miejscach nieprawdopodobnym; lecz Magdalena pomiędzy pozostałemi po żydzie rzeczami dostrzegła takie, które rzeczywiście znajdowały się w skrzynce jej matki, i objawiła, że gotową jest wskazać zaraz wszystkie rzeczy które się zostały po żydzie. Skrzynkę otworzono w jej obecności.

Ze wszystkich rzeczy w niej znajdujących się, Magdalena poznała niektóre jako należące do żyda: srebrna spinka do koszuli, posrebrzane guziki, kartonowe pudełko, dwie jedwabne i jedna bawełniana chusteczka, wełnianą i jedwabną wstążkę przeplecioną złotym szyciem, fartuszek, dwa nie wielkie kawałki różnobarwnej jedwabnej materji, sztuczka nankinu i podróżne pudełko ze zwierciadłem. O innych rzeczach nie mogła z pewnością powiedzieć, czy należały do żyda lub nie.

Nim przystąpiono do śledztwa, zkaż Anna Murr wzięła te rzeczy, przeszukano dom cały obwinionego, i pod łóżkiem znaleziono trzy bóty schowane w worku razem z jedną cholewą i kamizelką z zaschłą krwią na niej. Magdalena zeznała, że para bótów należała do ojca, a jeden do żyda, i że skrwawiona kamizelka była właśnie tą samą, którą miał na sobie ojciec w chwili morderstwa.

Z baczego porównania trzech bótów, zrobionego przez szewcá, pokazało się, że dwa były większe a trzeci mniejszy, lecz że i pierwsze dwa mogły być zaciasne, gdyż jeden z nich był rozdarty w skurczu nogi: z tego mo-

zna było wnioskować, iż trzy te bóty nie mogły być noszone przez tęż samą osobę.

Anna Murr na śledztwie wprost zeznała z kąd i kiedy miała swe rzeczy, odwołując się do świadków; tylko na zapytanie z kąd wzięła toaletkę i kartonowe pudełko, trochę się zmieszała. Podług jój wyznania, rzeczy te miała jeszcze będąc dziewczyną służącą w parafji; lecz jakim sposobem i od kogo się jój dostały, tego powiedzieć nie chciała.

Sąd wezwał ludzi, do których Anna Murr odwoływała się jako do świadków; przyjął oświadczenie Magdaleny pokazania miejsca gdzie był zakopany porznięty na szmaty przez ojca trup izraelity.

Sądowa deputacja razem z Magdaleną udała się do Jaunwelmeru.... Podług opisu dziewczyny, porąbane ciało żyda znajdowało się przy lesistej drodze z prawej strony, na końcu niewielkiej pasieki. Po niej jakim czasie znaleziono pasiekę, i Magdalena wskazała miejsce, gdzie, podług jój zdania, mogło się znajdować ciało. Dziesięciu ludzi kopało ziemię przez kilka godzin, ale wszelkie usiłowania były daremne. Żadnych śladów trupa nie znaleziono.

— Cóż to się znaczy! zapytali sędziowie Magdaleny. Więc ty skłamałaś?

Ale dziewczynka zapewniała, że omyliła się co do miejsca, bożyła się i klęła, że latem łatwiej znajdzie mogilę żyda; wskazała pień na którym był żyd zamordowany. Złamana gałąź leżała na ziemi; na pnju jednak nie znaleziono ani kropli krwi.

Chociaż nie znaleziono mogiły zabitego żyda, chociaż Magdalena nie dowiodła swoich zeznań, wszakże z tego niemożna było wniesć z pewnością, że dziewczynka wymyśliła powieść dla obwinienia ojca; bo i za cóż miała go obwiniać? a przeto śledztwo ciągnęło się dalej.

Miejsce mogiły, wedle wskazania dziewczynki, jakieśmy widzieli wyżej, było na końcu pasieki która prowadziła do obszernej polany, otoczonej wysokimi dębami i zawalonej łomem; ziemia była pokryta śniegiem.... Cóż dziwnego, że Magdalena zbiła się z drogi i nie znalazła mogiły? A chusteczki od nosa, a toaletka podróżna, a kartonowe ładne pudełko? Zkąd te rzeczy u biednej wieśniaczki? Wszystko to wzbudzało straszliwe podejrzenie, które jeszcze urosło, kiedy Anna Murr zaczęła się mieszać i nie dawać odpowiedzi jakim sposobem one jej dostały się?

Znalezione zaś pod łóżkiem bóty i skrwawiona kamizelka zupełnie potwierdzały opowiadanie Magdaleny.

Dla tych przyczyn obwinieni byli wzięci pod straż, aż póki się nie odkryje prawda.

Sąd powiatowy miał jeszcze zamiar ciągnąć indagacje z wielu nieobecnych świadków, daleko mieszkających, i oczekiwał wiosny, gdyż Magdalena ciągle dowodziła, że wiosną koniecznie odkryje mogiłę żyda.

Lecz wiele wyraźnej przesady w opowiadaniu Magdaleny, moćna chęć dowiedzenia ojcę straszliwej zbrodni, zmusiły sąd baczniej zastanowić się nad charakterem tej dziewczyny, i stosunkami jej względem rodziców. Pokazało się, że wyobraźnia Magdaleny od najrańszej młodości była nadzwyczajnie rozwiniętą na kato innych zdolności. Ciągłe jej marzyły się posępne, dzikie obrazy, straszliwe sceny i to rozdrażnienie imaginacji powiększyło się od r. 1828, kiedy po silnym przest్రachu objawiły się w niej epileptyczne symptomata. Magdalena też wyznała swoją nienawiść dla ojca, który podług niej, okrutnie z nią postępował.

Lecz jeżeli wszystko co dotąd odkryto, potwierdzało opowiadanie Magdaleny, i służyło na szkodę Jana Murra, to odpowiedzi przy śledztwie świadków i samego obwi-

nionego, zaczęły przelewać zupełnie inne światło na tę zawiłą sprawę.

Ze śledztwa okazało się:

1) Że chustki do nosa znalezione w skrzynce Anny Murr, prócz należących właściwie do niej, dostały się jej od pierwszej żony mężowskiej, od męża i jego matki. Prócz tego, świadkowie zupełnie potwierdzili zeznanie Anny od kogo dostała te chustki, które, podług słów Magdaleny, jakoby należać miały do żyda.

2) Że srebrna spinka była podarunkiem dziewczyny Katarzyny P***, kiedy Anna służyła, nie będąc jeszcze zamężną.

3) Że dwie wstążki były jej darowane przez pastora-wę L***, około tegoż czasu.

4) Że Anna jeszcze w swjej młodości zamieniła fartuszek na sztukę jedwabnej materji i resztki téj materji pozostały u niej od sukni, którą sobie uszyła.

5) Że sztuczka nankinu znaleziona u niej, była resztką kamizelki, którą przed rokiem uszył Murr dla jakiegoś inwalida, i że posrebrzane guziki téż były kupione dla odzieży tegoż inwalida w Wendeniu, lecz guziki nie-podobały się inwalidowi, i takim sposobem pozostały u krawca.

6) Że Murr w kramie kupca N*** w Wendeniu kupił guziki tkane z włóczki.

7) Że przedewszystkiém obudzające podejrzenia pudełko z kartonu i toaletka podróżna ze zwierciadłem były skradzione przez Annę Murr przed 15 laty w parafji R*** u pastora L***, lecz pastor z uczucia ludzkości nie chciał wówczas dochodzić téj kradzieży.

8) Że arkusz pocztowego papieru wzięty był przez nią u tegoż pastora i wielkie arkusze cienkiego papieru dla obwijania, były jej rzeczywiście darowane przez handlu-jącego żyda.

9) Jan Murr zeznał, że wszystkie trzy bóty należą do niego, i dla dowodu wszystkie trzy bóty w obecności sędziów wdziewał na nogi.... i—

10) Jan Murr nie wypierał się, że skrwawiona i podszargana kamizelka należała do niego, i wyznał, że używał ją zamiast szmaty płótna dla kompressów, w czasie silnych krwotoków, co okazało się zupełną prawdą.

Wszystko to mocno wpłynęło na osłabienie wiary w zeznania Magdaleny, lecz ta nie odstępowała od swoich twierdzeń, i ciągle upewniała i kłęła się, że odkryje mogiłę żyda.

Upór Magdaleny był niepojętym, osobliwie po jednozgodnem zaświadczeniu przez wszystkich świadków, że ojciec z nią nie obchodził się srogo, i że części jej dostało się jej od matki, która ją uczyła czytać. Zkądże taka zaciekłość, taka nienawiść w dziecku ku ojcu? Sędziowie zgoła tego pojąć nie byli w stanie.

Sam upór Magdaleny i na niczem nieoparte obwinienia, nie mogły służyć za powód do przedłużenia śledztwa, przytém Magdaleny nie można było uznać za donosicielkę, gdyż prawo nie przyjmuje żadnych dowodów dzieci na rodziców..... Sąd miał już zupełnie przerwać śledztwo, gdy nagle otrzymał doniesienie od ramelhofskiego leśnika, że z nastąpieniem wiosny, z pierwszą odligą, w rzeczy samiej została postrzeżoną na témże miejscu, gdzie zimową porą szukano, nie wielka mogiła, w całej swjej objętości osiadła w ziemi.

Polecono szczegółowie opisać mogiłę.... wskazania Magdaleny zupełnie były podobne do opisu leśniczego,.... wtedy sąd udał się znowu do Jaunwelter....

Mogiła była znalezioną podług opisu Magdaleny i leśnika.... Ostрым żelaznym prętem przekonano się, że na dnie mogiły wrzeczy samiej leżały kości. Rozkopano — i kości znaleziono, ale nie człowiecze lecz końskie — że-

bra i golenie: wszakże na całej przestrzeni dokoła nie odkryto ani śladu ludzkiego szkieletu.

To ważne odkrycie okazało zupełną nieprawdę dowodów Magdaleny i niewinność jej rodziców, którzy byli natychmiast uwolnieni; lecz postępowanie Magdaleny, przyczyny pobudzające ją do oskarżenia ojca o taką zbrodnię, kłamliwe świadectwo przeciwko niemu, — wszystko to było tajemniczym przedmiotem dla psychologicznych badań. Kłamstwo — albo jest wyrozumowanym środkiem dla dopięcia jakiegoś celu, albo oznaką słabości umysłu człowieka który wierzy, że jego kłamstwo nigdy się nie odkryje, i nie przewiduje szkodliwych skutków ze swego kłamstwa.

Lecz czegoż chciała dopiąć Magdalena obwiniając swego ojca? Nienawiść ku ojcu, podług zeznania świadków, nie miała żadnych powodów.... A przeto w tém zdarzeniu, nie mogła mieć żadnych wyrozumowanych powodów. Z drugiej strony, nie można było nazwać ją tępą dziewczyną; dała bowiem dowody rozsądku i pojętności, nader godne uwagi w tak młodym wieku.

Kiedy po śledztwie przekonano się o fałszywości jej zeznań co do rzeczy żydowskich, trzymała się zawsze jednak przy swoim zdaniu, i dowodziła sędziemu, że te rzeczy mogły rzeczywiście dostać się jej matce jak on powiada, lecz to nie usuwa możności aby i żyd nie miał podobnych rzeczy, i utrzymywała, że widziała je u niego.

Tak zagmatwane kłamstwo i upór w dziecięciu nie mogły nie zwrócić na nią bacznój uwagi sędziów.

W czasie śledztwa sędziowie kilkakrotnie powtarzali Magdalenie pytania: „czy nie zdarzyło się jej coś podobnego widzieć, lub czy nie słyszała podobnej powieści, którą dopiero uważa za rzeczywistą prawdę?“ Ojciec i matka rozpytywali u niej, błagając aby się przyznała,

co ją pobudziło do ich obwinienia? Leez Magdalena nie odpowiadała na pytania, i zagadka była nierozwiązaną.

Leez z rozkopanej mogiły, gdzie leżały końskie kości, powinno było wyjść światło, które miało objaśnić tę zagmatwaną sprawę...

Kiedy opowiedziano Magdalenie, że ramelhofski leśniczy odkrył też samą mogiłę, którą ona wskazała, i że w niej nie znaleziono nic innego prócz końskich kości, zdawało się jakby nagle z oczu jej spadła zasłona. I w tej chwili wszystko samo przez się wyjaśniło się w jej pamięci.

Krzyknęła z radości i wyznała z zupełną szczerością, że w rzeczy samej ojciec jej jest niewinnym, że opowiadanie jego o zabójstwie żyda, którego on był kiedyś świadkiem, tak mocno wrażyło się w pamięć, iż zdawało się jej jakoby sama widziała to wszystko na własne oczy, i — że dopiero dobrze przypomina, iż w owej mogiłe leżą kości konia, którego leczył jej ojciec, a kiedy zdechł, porąbał go na części, i z pomocą gospodarza, zakopał do dołu.

Z dalszych śledzeń pokazało się co następuje: iż Jan Murr przed 10 laty, kiedy jeszcze mieszkał w weselhofskim majątku, musiał z rozkazu rządcy być obecnym przy śledztwie w domu, gdzie były złożone rzeczy zabrane u handlujących żydków. Gospodarze tego domu napadli z nienacka na nocujących u nich żydów pod przewodnictwem jakiegoś zbiegłego żołnierza, który wystrzelił do jednego z żydów i ranił go. Żydom zabrano chustki, wstążki i różne materje.... Murr często opowiadał ten wypadek (w którym chociaż nie było morderstwa, zawsze jednak nie obeszło się bez krwi rozlewu) w obecności Magdaleny, i wówczas kiedy zakopywał konia, toż samo rozpowiadał właścicielowi jego, a Magdalena ukryta za krzakami, tajnie podsłuchiwała rozmowy.

Napad, żydzi, towary, krew, rąbanina ścierwa końskiego, mogiła—wszystko to splątało się w młodej jej wyobraźni, i z całej mieszaniny powstała fantastyczna, krwawa powieść, w którą sama uwierzyła z głębokim przekonaniem.

Po ukończeniu śledztwa, Magdalena była ukarana stosownie do wieku swojego.

Z obawy aby gniew rodziców za doznane przykrości nie wywarł na nią złych skutków, oddalono ją od nich na czas niejaki.

Pastor L*** wziął ją do siebie, i po upływie półroku, na żądanie rodziców i jej własne, odesłał ją do domu....

(Z opowiadania naocznego świadka).

POPRAWKI.

Stronica 33, w odsyłaczu u dołu: Geron popr. Germ.

— — consultant, popr. consultant.

— 142 wiersz 6 z góry: prowadzenia: popr. powodzenia.



14347A







